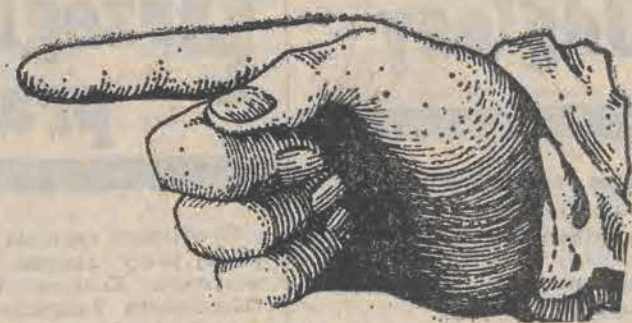


- Co się stało z polskim złotem? — str. 1 i 6
- Andrzej Hampel o sobie i telewizji — str. 7
- Rok 1956 - zbliżał się przełom — str. 3
- Podróż do Ziemi Świętej — str. 13



Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 49 (1497) ROK XXIX

6 GRUDNIA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

Czy musi brakować lekarstw?

BOGDA MADEJ

Spotkałam znajomego, który obficie pachniał czosnkiem.

— Przepraszam cię za ten zapach — powiedział na wstępie — ale wolę pachnieć czosnkiem niż zachorować na grype i mieć potem komplikacje, co przy obecnym stanie zaopatrzenia aptek może mieć fatalne skutki.

Potraktowałam wypowiedź mego znajomego jako niecodzienny objaw hipochondrii, ale okazało się, że nie miałam racji. W Łódzkich Wiadomościach zobaczyłam aptekę zdejmowaną przez napierających klientów, bo właśnie przywieźli lekarstwa, których od dawna nie było. A w gazetach niepokoiły tytuły:

„W aptekach narasta front burzowy”,
„Co drugi lek jest albo go nie ma”,

„Produkować leki? Komu to się opłaca?”,

„Leków na lekarstwo”,

„Terapia pod znakiem zapytania”.

Leków rzeczywiście brakuje. Na posiedzeniu Komisji Polityki Społecznej, Zdrowia i Kultury Fizycznej Sejmu PRL, 16 września 1986 roku, posłowie mówili, że dostawy lekarstw dla „Cefarmu” w Poznaniu w trzecim kwartale tego roku wyniosły 38 procent zamówień, w Kielcach — 35 procent. Posłanka Teresa Dobelińska-Eliszewska wręcz wtedy powiedziała:

— Szpitale odczuwają chroniczny brak dostaw gazy, środków odkażających, bandaży, plasterów. W szpitalu na oddziale onkologicznym na 40 łóżek otrzymujemy jeden plaster: jak mamy nim obdzielić pacjentów? Coraz gorsza jest jakość rekwizytów lekarskich, po sterylizacji nie nadają się one do użytku.

Dowiedziałam się później, że w niektórych szpitalach używa się rękawiczek gospodarczych zamiast lekarskich, bo tych po prostu nie ma. Rękawiczki gospodarcze są niewygodne, fatalne przy precyzyjnych operacjach, ale jak nie ma innych, to i takich trzeba używać. Nie ma cat-gutu. Brakuje lekarstw kardiologicznych, czyli przeciw

chorobom serca, przeciwzakrzepowym, cytostatycznym, czyli przeciw nowotworom, preparatów na schorzenia wątroby, brakuje lekarstw okulistycznych.

W 1985 roku łódzki „Cefarm” chciał dostać lekarstwa o wartości 17 mld. złotych, tak było zamówienie. Obiecano dostarczyć leki o wartości 8,6 mld. złotych, a faktycznie dostarczono o wartości 7,5 mld. złotych. W 1986 roku „Cefarm” w Łodzi miał dostać lekarstw za 20 mld. złotych, a przez trzy minione kwartały dostał za... 6 mld. złotych.

Są leki, których nie powinno nigdy brakować, pod żadnym pozorem. Do takich należą na przykład cytostatyki, którymi leczy się wcześniej wykryte nowotwory. Przy zastosowaniu leków cytostatycznych można w 90 procentach wyleczyć nowotwory. Przy braku tych leków, około 70 procent chorych niechybnie umrze.

DLACZEGO BRAKUJE LEKARSTW?

Na pytanie to próbował odpowiedzieć minister przemysłu lekkiego i chemicznego — Edward Grzywa w czasie wspomnianych obrad sejmowej komisji. Wymienił on dwie przyczyny:

— pierwsza — to stale rosnące zapotrzebowanie na lekarstwa, które bierze się z rozszerzenia opieki lekarskiej na nowe grupy ludności, na przykład rolników indywidualnych, z rosnącej liczby ludności, zmian zachodzących w strukturze panujących chorób oraz z postępu farmakologii.

— druga — to wyczerpane możliwości produkcyjne przemysłu farmaceutycznego, opóźnienia w jego rozwoju, jak też w rozwoju przemysłu zielarskiego oraz spółdzielczości chemiczno-farmaceutycznej.

Od siebie mogę dodać, że Krajowy Związek Spółdzielni Farmaceutycznych i Chemicznych w Kra-

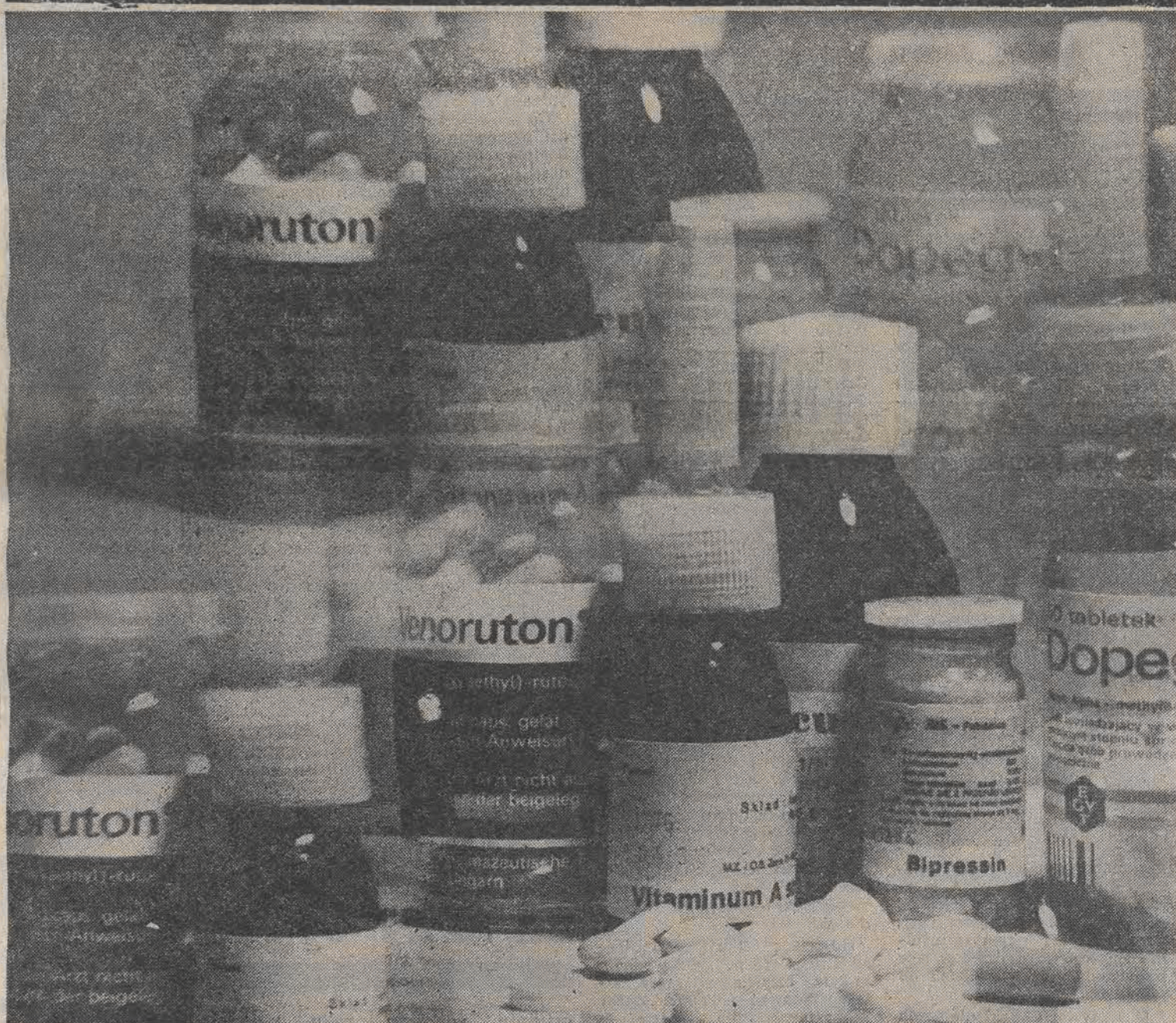


Foto: Grzegorz Galasinski

Gdy polskie złoto wędrowało po świecie

TADEUSZ DUBICKI

Wartość złota pozostającego w dyspozycji władz polskich w przeddzień wybuchu drugiej wojny światowej wynosiła 463 mln zł. Z tej kwoty niespełna 100 mln pozostawało w depozytach zagranicznych: głównie w Bank of England w Londynie — 64,1 mln i w Banque de France w Paryżu — 25,2 mln. Pozostałe około 364 mln złotych, stanowiące równowartość zmagazynowanych ponad 70 ton złota, spoczywało w skarbcach Banku Polskiego. W czerwcu i lipcu 1939 r. BP przeniósł część złota z Warszawy do swych oddziałów we wschodniej części państwa. W ten sposób 19 ton złota o wartości blisko 100 mln zł znalazło się w Brześciu nad Bugiem, Lublinie, Zamościu i Siedlcach.

W połowie sierpnia 1939 r. władze państwowe zmieniły swoje wcześniejsze dyspozycje mówiące o konieczności przechowywania części zapasu złota w kraju, mającego stanowić „nienaruszalną rezerwę” na wy-

padek wojny. Poleciły one znalezienie dróg dla jego wywozu poza granice Polski. Inicjatywa ta okazała się jednak spóźniona. Zagraniczne towarzystwa ubezpieczeniowe nie chciały bowiem wziąć na siebie ryzyka związanego z organizacją takiego transportu, a gubernator Banku Szwedzkiego wręcz odmówił przyjęcia polskiego złota w depozyt. Brano także pod uwagę możliwość przetransportowania złota drogą powietrzną przez samoloty „Lot”. Zrezygnowano z niej ze względu na sprzeciw gen. Ludomira Rayskiego, który ocenił ją jako mało efektywną. Rzeczywiście, ówczesny „Lockhead” mógł unieść do 1,5 tony bagażu, co wymagałoby wykonania aż stu przelotów.

Wybuch wojny postawił przed władzami polskimi zadanie ocalenia za wszelką cenę przed Niemcami zapasu złota. Inicjatywę w tym względzie przejęły władze wojskowe, kierowane przez wiceministra spraw wojskowych, gen. Aleksandra Litwinowicza. Na jego rozkaz 4

września 1939 r. przewieziono do Brześcia drugi ładunek wartości 80 mln zł, a następnego dnia wyruszył z Warszawy transport złota wartości około 113 mln zł. Kierownictwo nad nim objął płk Adam Koc, były prezes BP. Konwój tworzyła kolumna kilkudziesięciu pojazdów, w tym zarekwirowanych czerwonych autobusów miejskich, ciężarowe różnego autoramentu, a także samochody osobowe, którymi ewakuowały się władze naczelne BP (m. in. prezes Władysław Byrka i dyr. naczelny Leon Barański) i 130-osobowa grupa urzędników i konwojentów.

Tak utworzona ekipa wolno poruszała się po zatłoczonych drogach w kierunku Lublina, gdzie w trakcie krótkiego postoju dołączono ulokowany tam wcześniej zapas złota wartości 20 mln zł. Do dalszej drogi przynaglały kolejne rozkazy władz wojskowych, które zawiadły transport do Łucka, a tam, 9 września 1939 r. zdecydowano o dalszym przewozie złota — ku

granicy rumuńskiej. Wkrótce zdecydowano też o konieczności wywozu złota za granicę, w związku z czym przeorganizowano dotychczasowy konwój, zmniejszając go do 20 osób. Kierownictwo nad tą ekipą objął płk Ignacy Matyszewski (b. kierownik Ministerstwa Skarbu w latach 1929—1931), któremu pomagał mjr Henryk Floyar-Rajchman.

Decyzja o wywozie złota obejmowała cały jego zapas, stąd powstała konieczność zorganizowania innych ekip, które przetransportowałyby złoto ze wschodnich oddziałów BP do Siatynia nad granicę rumuńską, gdzie wyznaczono im punkt zborny. Tak więc od 9 września 1939 r. posuwały się w kierunku południowo-wschodnim 3 transporty — z Łucka, Brześcia i Zamościa.

Z Brześcia ruszył transport koleją z ładunkiem blisko 25 ton złota (wcześniej przewieziono do Brześcia złoto z Siedlec). Podczas postoju w Dubnie wyłączono z niego 70 skrzynek złota (4 tony) z przeznaczeniem na bieżące potrzeby wojska. Trzeci transport — z Zamościa, wartości 30 mln zł zbliżał się do granicy rumuńskiej pod opieką inż. Wrażaja. Jako pierwszy dotarł na miejsce przeznaczenia 12 września 1939 r. transport „Łucki”. Następnego dnia dołączyły do niego dwa pozostałe.

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113,
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują:
Tadeusz Błażejowski,
Bohdan Gadowski, Jacek
Głębski Witold
Kasperkiewicz,
Marek Koprowski,
Włodzimierz Krzemieński,
Władysław Malka, Marek
Mamos, Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakoneczny, Jerzy
Panasewicz, Karol J.
Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch”, Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28.

Redakcja nie zwraca na za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woj-
wódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucji i zakładów pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” opła-
cają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli; 2.
dla indywidualnych prenumera-
torów: osoby fizyczne zamieszka-
łe na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” opła-
cają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli; 3.
osoby fizyczne zamieszkałe
w miastach — siedzibach Odd-
ziałów RSW „Prasa — Książka
— Ruch” opłacają prenumera-
tę wyłącznie w urzędach pocztowych
nadawczo-oddawczych właściwych
dla miejsca zamieszkania prenumera-
tora. Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW
„Prasa — Książka — Ruch”; 3.
prenumeratę ze zleceniem wysyłki
za granicę przysyła RSW
„Prasa — Książka — Ruch” Cen-
trala Kolportażu Prasy i Wy-
dawnictw, ul. Towarowa 28,
00-958 Warszawa konto NBP XV
Oddział w Warszawie, nr 1153-
201045-139-11. Prenumerata ze
zleceniem wysyłki za granicę
począz zwykłą jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.,
dla zleceniodawców indywidualnych
o 100 proc. dla zlecających
ceny instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenumera-
tury na kraj i za granicę —
do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenumera-
ty roku bieżącego.

Zam. 3651 B-2.

Przegląd prasy

W ubiegłym tygodniu uwagę
naszej prasy skupiał przede
wszystkim Kongres Polskich
Odrodzonych Związków Zawo-
dowych. W stolicy zebrał się
delegaci reprezentujący blisko
7 mln związkowców z różnych
branż, federacji i organizacji.
Podczas obrad plenarnych i w
zespołach problemowych dzien-
nikarze odnotowali wiele cieka-
wych i krytycznych głosów.
Wskazywano ewidentne

BŁĘDY I ZANIEDBANIA

Bardzo ostro wypowiadano się
na temat administracji pań-
stwowej. Mówiono o interesach
ogólnych i potrzebach jednost-
kowych. W referacie programo-
wym Rady OPZZ — opubliko-
wanym m.in. przez „TRYBUNĘ
LUDU” (nr 278) — znalazły się
dostatecznie pytania:
„dlaczego my, Polacy, dysponu-
jąc poważnym potencjałem, nie
potrafimy skutecznie go spoży-
tkować do szybkiego pokonywa-
nia trudności? Społeczeństwo
jest przecież nieźle wykształco-
ne, nie brakuje ludzi pomysło-
wych. Na różnych targach, gieł-
dach oglądamy całe zastępy
wynalazców. Polak jest pracow-
ity. To nieprawda, że tylko
patrzy, jakby się zarymował w
pracy czy skoczyć na piwo. Na-
si robotnicy na budowach za-
granicznych są wzorem pracow-
itości. W wielu dziedzinach
można dostrzec ogromną przed-
sięwziętość Polaków. Dlaczego
zaś narastają społeczne fru-
stracje? Dlaczego ludziom czę-
sto opadają ręce?”

Alfred Miodowicz stwierdził
dalej, że rozmaite są przyczyny
w konkretnych przypadkach,
lecz wszystkie sprowadzają
się do „niskiej jakości organiza-
cji naszego życia społecznego i
gospodarczego. Niektóre naj-
prostsze czynności urzędowe
zorganizowane są tak, jakby je
wymyślono na przekór tym, któ-
rzy mają je wykonywać lub z
nich korzystać. Niesprawne ad-
ministracje, brak konsekwencji
w egzekwowaniu racjo-
nalnej organizacji życia i pra-
cy — oto przyczyna wielu u-
ciążliwości dnia codziennego.
Sprawy i sprawy zatracone
dlaśnieważne przeciętne go-
spospoli nie mają pojęcia o go-
spospoli. Mamy się już nawet
do tego przyzwyczaili — lecz
czy to można usprawiedliwić i
dalej tolerować?”

Do ważnych czynników okre-
ślających poziom jakości nasze-
go życia referent zaliczył także
stan środowiska naturalnego.
„Nie możemy — mówił — bier-
nie godzić się z niedocenianiem
problematyki ochrony środowi-
ska naturalnego i zdrowia, z
ciągłym odsuwaniem tych za-
gadnień na dalsze terminy. Nie
możemy bezkrytycznie akcepto-
wać poglądów niektórych dila-
tatorów gospodarczych, którzy de-
wastację środowiska naturalne-
go traktują jako cenę za roz-
wój gospodarczy”. Niezwykle i-
stotne znaczenie w tej kwestii
ma odpowiednia

KULTURA EKOLOGICZNA

Eksperti bowiem szacują, że
około 30 proc. zanieczyszczeń
wynika z braku wrażliwości lu-
dzi i można je zlikwidować bez
dodatkowych inwestycji.

Mankamenty wyknięte przez
Radę OPZZ i delegatów zwiaz-
kowych na pewno znane są na-
szym władzom, gdyż ujawniają
je różnorodne kontrole. Ostat-
nio ujawniono poważne zanied-
bania w województwie piotrkow-
skim. Po 16 dniach komple-
ksowej kontroli Zespół Inspek-
cji Terenowej Urzędu Rady
Ministrów wystawił piotrkow-
skiemu łączną ocenę 3,09.
„Szczególnie źle — jak doniósł
„SZTANDAR MŁODYCH” (nr
233) — wypadły dwie dziedziny:
zarządzanie i funkcjonowanie
terenowych organów administ-
racji państwowej oraz ochrona
środowiska naturalnego. Przy-
czym w tym ostatnim wypadku
kontrola nie została zaliczona”.
Wysoko natomiast oceniono
cztery dziedziny: szkolnictwo,
kulturę fizyczną, kulturę i szt-
kę oraz gospodarkę rolną.

Całe nasze życie inaczej by
wyglądało, gdyby udało nam
się znacząco poprawić funkcyj-
nowanie systemu ekonomiczno-

go. Nie jest to jednak możliwe
bez gruntownej restrukturaliza-
cji gospodarki polskiej. Musimy
przełamać branzowy układ po-
działu interesów. Mówi o tym
dr Andrzej Eckhardt w rozm-
owie przeprowadzonej przez Pio-
tra Grochmalskiego i opubliko-
wanej w tygodniku „WPROST”
(nr 48).

Na temat ostatniego kryzysu
w Polsce naukowiec z Univer-
sytetu Wrocławskiego powiedział:
„Na pewno jest to największe
załamanie produkcji w skali
Europy, jakie miało miejsce po
drugiej wojnie światowej”.
Nasz dochód narodowy zmalał
według optymistów o 25 proc.,
a zdaniem realistów aż o 30
procent. Na to, co się w Polsce
stało, teoretycy ekonomii nie
mają konkretnej recepty. Ok-
azuje się bowiem, że nasze za-
łamanie gospodarcze jest „faktem
jednostkowym, bez precedensu
w historii ekonomii”.

Z załamaniem strukturalnym
mamy do czynienia już od po-
czątku lat pięćdziesiątych. W
całości polskiej gospodarki co-
raz bardziej wzrastał udział
przemysłu ciężkiego, co dopro-
wadziło do jej wykoślawienia i
upośledzenia. Przemysł ciężki,
wydobywczy i częściowo prze-
twórczy zorganizował się w po-
tężne ugrupowania (branże) i
panuje nad resztą życia gos-
podarczego. „Centrum wydawało
się — czytamy — że jeśli
zgrupuje przedsiębiorstwa w
jeden kompleks, na przykład
hutniczy, to wówczas będzie w
stanie sprawniej i lepiej zapla-
nować produkcję rzeczową i
zwiększyć produkcję w
takiej branży”. Produkcja więc
odbywała się na dole, a jej
planowanie i odbiór następ-
owały na górze.

Powstanie wielkich komple-
ksów branzowych spowodowa-
ło jednakże

ROZPARCELOWANIE GOSPODARKI

na odrębne resorty i autonomi-
czne mikroświaty. W konse-
kwencji nie mamy nawet je-
dnego rynku i jednego pienią-
dza. „Absurdalny to fakt —
mówi ekonomista wrocławski
— ale w pewnym sensie nie
istnieje coś takiego jak polski
pieniądz. Jest tylko pieniądz
górnicy, hutniczy, stoczniow-
y...”

Przełamanie istniejącej struk-
tury branzowej umożliwił stwo-
rzenie mechanizmów ekono-
micznych ujawniających rzeczy-
wistą efektywność przedsię-
wzięcia. Powstała sytuacja
konfliktowa, w której wygra-
ja lepsi. „Przeprana w kon-
flikcie gospodarczym — czy to
będzie bankructwo, spadek zys-
ku czy konieczność zmiany ro-
dzaju produkcji — jest przecież
niezmiennym jak ekonomiczny
weryfikacja działalności dane-
go przedsiębiorstwa. A więc nie
jest to żadne nieszczęście, ale
wręcz przeciwnie”. Innymi sł-
owy: chodzi o to, żeby samo-
dzielne przedsiębiorstwa same
musiały sobie radzić w obliczu
nieubłaganych praw rynko-
wych, żeby nauczyły się gos-
podarować dobrze.

W nowej sytuacji wszyscy
zostaniemy ekonomicznie zmu-
szeni do lepszej pracy. A przy-
musem ekonomiczny jest bardziej
skuteczny niż administracyjny.
Przekonały się o tym szczegól-
nie społeczeństwa przechodzące
bepośrednio od feudalizmu do
socjalizmu.

O motywach skłaniających
ludzi do pracy interesująco pi-
sze w miesięczniku „ODRA”
(nr 11) prof. Jan Szczepański.
Wskazuje na odmienną rangę
pracy w poszczególnych ustro-
jach społeczno-ekonomicznych.
„W kapitalizmie praca jest ko-
niecznym warunkiem przetrwa-
nia, przeżycia i realizacji ce-
lów życiowych dla ludzi, któ-
rzy nie mogli żyć z wycisku
czy majątku dziedzicznego. W
ustroju feudalnym realizacja
celów życiowych klas wyższych
dokonywała się przez szukanie
przywilejów, łaski feudała,
przez wojnę czy rabunek. Pra-
ca była przeznaczaniem chło-
pów, rzemieślników, którzy sta-
nowili ekonomiczną podstawę
tego ustroju, jednakże otoczona
była pogardą. (...) Te społecz-
stwa, które nie przeszły przez
twardą szkołę kapitalizmu,
gdzie tylko praca mogła zape-
wnić podniesienie stopy życio-
wej i awans klasom niższym,
a nierobstwo i nieefektywna
praca pociągły za sobą kata-
strofę i zejście na dno, nie u-
mieją także lepiej pracować
w ustroju socjalistycznym. Wi-
dzieliśmy to w latach siedem-
dziesiątych, kiedy dążenia do
podniesienia stopy konsumpcji
były realizowane nie przez in-
tensyfikację pracy, ale przez
szukanie przywilejów”.

IDEOLOGIA SOCJALISTYCZNA

gloryfikuje pracę, lecz w pań-
stwach realnego socjalizmu nie
rozwiązano dotąd ważnych pro-
blemów pracowniczych. Próby
zmiany pracy w działalność
bardziej zhumanizowaną napo-
kały kilka barier. Nie udało się
zastąpić kapitalistycznych sty-
mulatorów wydajności (dążenie
do osobistych korzyści i przy-
mus ekonomiczny) równie sku-
tecznymi mechanizmami socja-
listycznymi (dążenie do ogólno-
społecznego dobra i przymus
administracyjny). „Nieszczęściem
socjalizmu — podkreśla Jan
Szczepański — jest stworzenie
systemu identyfikującego za-
trudnienie z pracą i placą zwi-
żaną jest nie z pracą, ale z
zatrudnieniem”.

Autor odnosi wrażenie, że w
krajach, gdzie ludzie efekty-
wnie pracują, mniej rozprawia
się o pracy niż tam, gdzie e-
fekty są gorsze. W Polsce do-
strzegamy dużą skłonność do two-
rzenia filozofii pracy. Sens
pracy nie wynika jednak z fi-
lozofii, lecz z sensu całej pro-
dukcji oraz bodźców material-
nych i moralnych.

Społeczeństwa socjalistyczne
przeważnie startowały z niskie-
go poziomu ekonomicznego i
kulturalnego. Muszą więc po-
konywać w swym rozwoju roz-
maite bariery. W tworzeniu
nowej rzeczywistości ustrojo-
wej mogą brać udział osoby
wyznające różne światopoglą-
dy: idealistyczne i materialistycz-
ne. W naszym kraju szcze-
gólne znaczenie ma

WSPÓŁPRACA MARKSISTÓW I KATOLIKÓW.

Bardzo cenne doświadczenia
w tym zakresie mają Węgrzy.
Sekretarz Episkopatu Wę-
gieńskiego, biskup József Cser-
hádi, wypowiedział się na
w marksistowskim miesięczniku
„Világosság”. Przekład jego
artykułu pt. „Chrześcijaństwo
i marksizm” zamieścił „CZŁO-
WIEK I ŚWIATOPOGLĄD”
(nr 9).

Biskup rzymskokatolicki J.
Cserhádi pisze między innymi:
„Zgodnie z wyobrażeniem so-
cjalistycznym lata Kościoła by-
ły północne. Jeśli uda się ka-
żdemu zapewnić kawałek chle-
ba, zaspokoili jego wysublimo-
wane potrzeby i stworzyli wy-
starczający socjalistyczny do-
brobyt, ludzie zrezygnują ze
swoich przekonań religijnych,
bo nie będzie już istniała po-
treba modlitwy i wiary w
świat pozaziemski. W umysłach
wiernych Kościoła rysował się
obraz nierzeczywistych mrzonek:
porządek, system socjalistyczny,
państwo komunistyczne nie są
zdolne do zapuszczenia korzeni
i trudno sobie wyobrazić, żeby
przed socjalizmem w skali
światowej istniała przyszłość.
Żadne z tych oczekiwań nie
spełniło się: w ten sposób po-
stało nowe węgierskie spo-
łeczeństwo składające się z wie-
rzących i niewierzących, o któ-
rych można powiedzieć, że są
sobie bliżsi wzajemnie i coraz
bardziej skłonni do szukania
wspólnego rozwiązania poprzez
dialog”.

Sekretarz Episkopatu Wę-
gieńskiego nie podziela poglądu,
że tylko człowiek wierzący mo-
że postępować moralnie. „Znam
wielu marksistów — pisze —
którzy posiadają naprawdę wy-
sokie morale; jest wśród nich
niejeden mój przyjaciel, który
wiernie zasadom opiera się na
podstawach ideologii partii,
prowadzi życie uczciwe, żyje
moralnych altruistów, życie
mogące stanowić przykład. O-
gólnie wiadomo, że członkowie
elity należą do warstwy kie-
rowniczej kraju, a także dyktar-
ze administracji państwowej
reprezentują dojrzałość moral-
ną i dają świadectwo poczucia
odpowiedzialności”.

Biskup Cserhádi stwierdza, że
Węgrzy mogą ufać swym przy-
wódcom politycznym oraz wy-
woda katolików do współdziałania
z marksistami i tworzenia so-
lidarnego społeczeństwa. Przy-
pomina artykuł 21 soborowej
konstytucji duszpasterskiej
gdzie mówi się, że choć Kościół
odrzuca ateizm, to jednak
szczerze wyznaje, iż wszyscy
winni przyczynić się do budo-
wy tego świata.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Heroldzi nienawiści

Przeżywamy akurat takie czasy (i to od dobrych kilku lat),
które dla zgodnego współżycia różnych środowisk, czyli tzw. po-
koju społecznego wymagają nastawienia tolerancyjnych. Kiedyś,
dawno temu, wystarczyło być może trzymanie społeczeństwa przez
władzę twardą ręką, ale zdajemy sobie sprawę, że pod bezwzględ-
nym i nierozumnym uciskiem gromadzi się w kotłach społecznym
nienawiść, która wreszcie wybuchy również nierozumnie i niszc-
czyliście. Powinniśmy przypomnieć sobie 3-majowe hasło „Vivat
król, vivat naród, vivat wszystkie stany!”.

Pisząc o tolerancji nie mam na myśli tylko wzajemnej wyrozu-
mialości ludzi dla cudzych słabości i dziwactw (bo z tym nie
jest jeszcze tak źle), a nawet dla pewnych wad i przywar na-
szych współziomków (o co już trudniej), lecz przede wszystkim
dla poglądów i postaw filozoficzno-politycznych. Oczywiście nie
należy być utopistą i oczekiwać, jak niektórzy publicyści rozta-
czający sielankowe wizje świata, że poglądy wykluczające się wz-
ajemnie jak ogień i woda przestaną ludzi dzielić, a nawet że samo-
czynnie i bezboleśnie wygasną.

Jestem zdania, że nie wolno zamazywać niektórych różnic i go-
dzić się z niektórymi odmiennymi poglądami, jeśli godzą one
w elementarne wartości ogólnoludzkie (jak np. faszyzm). Chodzi
jednak o to, żeby nad nieuniknionymi podziałami górowały war-
tości nadrzędne — dobro materialne i moralne ogółu, bezpie-
czeństwo państwa, w imię których trzeba powściągnąć zapędy domi-
nacji, po to, by móc współdziałać z innymi zawodowo i społecznie.
Ale oczywiście w takich narzuconych sobie ryzach tolerancji
można się utrzymać tylko dopóty, dopóki gotowość do wysłu-
chiwania odmiennych racji (choćby dla zaspokojenia ciekawości)
nie ustąpi pola wrogości, zmierzającej nie do przekonania partne-
ra dialogu, lecz do zniszczenia „wroga”. Ale trzeba być najpierw podat-
nym na pewne wyższe motywacje — obywatelskie, humanitarne,
patriotyczne, czy po prostu intelektualne, żeby zachowywać po-
stawę otwartą.

Toteż nie bezpodstawnym jest niepokój, odczuwany przez każdego
rozsądnego człowieka, który styka się z przepojonymi straszącą
nienawiścią i niedopuszczalnymi (sprzecznymi z prawem i Konstytu-
cją) wezwaniami do nietolerancji wobec osób niewierzących, gło-
szonymi przez część katolickich duchownych. Jeśli za istotę nauk
moralnych chrześcijaństwa trzeba uznać miłość bliźniego, to owoch
głosicieli nienawiści należałoby zakwalifikować jako całkowicie
obcych chrześcijaństwu, mimo iż reprezentują urząd kapłański
jednego z chrześcijańskich wyznań.

Co prawda, akurat wśród księży trudno byłoby dziś znaleźć lu-
dzi poszkodowanych przez władzę ludową, przynajmniej od pa-
miętnego Października sprzed 30 lat. Ale może wskutek niezdo-
łności do politycznych ocen, czują się oni obrońcami ludzi, których
uważają za skrzywdzonych przez władzę, toteż uprawiają niena-
wiść zupełnie bezinteresowną, choć zarazem całkowicie niechrześ-
cijańską.

Zastanawiam się nieraz, czy od tzw. zwykłego obywatela można
dość dużo wymagać, gdy jest on księdzem, członkiem partii lub
militantem. Nie każdy wśród nich ma dość szerokie horyzonty i
wystarczającą dozę osobistej uczciwości, żeby godnie reprezen-
tować organizację lub wspólnotę ideową, do której należy. Musiałby
być kimś, kto zdecydowanie wybija się ponad umysłowy i moral-
ny stan dużej części społeczeństwa, być wolnym od przywar: pi-
jaństwa, nierobstwa, skłonności do kradzieży... Jak to „odsiad-
ać” przy rekrutacji do jakiegokolwiek zawodu czy stowarzyszenia, a
zwłaszcza do tych, które wymagają wysokiego morale.

Istnieją jednak we współnotach ideowych wysokie instancje,
mające statutowy, organizacyjny wpływ na działalność swoich
współwyznawców, a zwłaszcza na osoby formalnie podległe, ma-
jące też prawo wykluczyć je ze swoich szeregów. Wymaga się tego
od partii i ma się jej za zię, a także poddaje ją ostrym osądowi
w przypadku niewywiązania należnych konsekwencji wobec swo-
ich członków, naruszających normy prawne i zasady społecznego
współżycia. Myślę, że ma się również moralne prawo oczekiwać od
wysokich instancji kościelnych, jawnego, publicznego potępienia
i karania księży działających sprzecznie z zasadami chrześcijań-
skiej miłości bliźniego i obrażających godność ludzi o odmiennym
światopoglądzie. I nie można się dziwić, jeśli publiczne milczenie
w tych sprawach poczytywałby ktoś za milczącą aprobatę.

A nie byłaby ona korzystna dla trudnego procesu odnowy mo-
ralnej społeczeństwa, która jest przedmiotem troski zarówno wie-
lu wierzących, jak i niewierzących...

JERZY KWIECIŃSKI

Już za trzy tygodnie...

ostatnie w tym roku wydanie „Odgłosów”. Bę-
dzie ono miało charakter specjalny: JUBILEU-
SZOWY (1500 numer) oraz ŚWIATECZNY (Boże
Narodzenie). W tygodniku — liczącym 20 stron — znaj-
dą Czytelnicy wiele interesujących materiałów, a między
innymi:

— pierwszy odcinek pasjonującego reportażu ROMA-
NA KUBIAKA pt. „Na południe od Czernobyla”, w któ-
rym ukazuje dramatyczną walkę człowieka z niewidzial-
nym wrogiem jądrowym bez zapachu, barwy i smaku;

— obszerny esej EDMUNDA LEWANDOWSKIEGO
pt. „Narodziny i dzieciństwo Jezusa” — oparty na źró-
dłach historycznych i ewangelicznych oraz mało znanych
tekstach apokryficznych;

— szkic BOHDANA GADOMSKIEGO prezentujący
postać wybitnej i popularnej aktorki, Aleksandry Ślag-
skiej, znanej m. in. z serialu telewizyjnego o Królowej
Bonie;

— niezwykle rozmowę DARIUSZA DOROŻYŃSKIE-
GO z dwoma mężczyznami, którzy jeszcze trzy lata temu
byli kobietami, a potem zdecydowali się zmienić płeć;

— ciekawy reportaż RYSZARDA BINKOWSKIEGO z
niedzielnej wyprawy dziennikarzy „Odgłosów” do łódz-
kich hodowców ryb;

— opowieść KETTY KELEY o wielkiej miłości i nie-
nawości między Avą Gardner a Frankiem Sinatram;

— rozmowę ANDRZEJA KAROLCZAKA z dwoma
działaczami sportowymi o tym, że 30 tysięcy biedaków
patrzy jak 22 bogaczy zarabia pieniądze.

Dalsze szczegóły za tydzień!

Najpierw był wstrząs pierwszy — referat Nikity S. Chruszczowa wygłoszony na niejawnym posiedzeniu na zakończenie obrad XX Zjazdu KPZR. W referacie tym N. S. Chruszczow opowiadał o metodach postępowania Józefa Stalina. Drugim wstrząsem były wypadki poznańskie.

W Poznaniu 28 i 29 czerwca 1956 roku robotnicy wystąpili przeciw władzy. Byli zabici i ranni. Wydarzenia te oficjalnie uznano jako prowokację agentów imperializmu, którzy wykorzystali robotnicze niezadowolenie. Byli jednak i tacy, którzy — nie negując wrogości wobec władzy ludowej charakteru poznańskich wystąpień, jakie w konsekwencji przybrały — na plan pierwszy wysuwali przyczyny ekonomiczne: niskie płace, wadliwie obliczane podatki, wysokie normy, obojętność administracji na robotnicze interwencje.

„Spory o interpretację Poznania — napisali w „Polityce” w artykule „Na tydzień czy miesiąc” Wiesław Władysław i Zbysław Rykowski (nr 34) — u sposób wyraźny ujawniły głęboki kryzys systemu politycznego. Były także jeszcze jednym, jakże wymownym, świadectwem walki o ocenę rzeczywistości społecznej i poszukiwaniu jej przyczyn. Przyspieszył proces dojrzewania partii do zasadniczych zmian.

Po Poznaniu stawali się one nieuchronne. Po Poznaniu nie można było już myśleć i żyć tak, jak można było myśleć i żyć przed Poznaniem”. Po wydarzeniach poznańskich

LUDZIE PISALI LISTY

do redakcji gazet, podejmowano rezolucje. 2 lipca 1956 roku „Głos Robotniczy” odnotował, że „do redakcji przychodzi listy skierowane do poznańskich robotników. Listy te zawierają gorętsze, ból, oburzenie i niezłomną wolę kontynuowania naszej drogi umacniania władzy ludowej”. 3 lipca „Głos Robotniczy” opublikował następujące stwierdzenie: „Wielu korespondentów zastanawia się w swych listach, komu potrzebna była prowokacja w Poznaniu”. — Nie leżała ona w interesie ludzi pracy, pragnących rozwoju naszej ojczyzny.

Kryzys objął też partię, a przede wszystkim jej kierownictwo. Nikt nie kwestionował konieczności zmian. Wydawały się one nieuchronne. Spory toczyły się natomiast o zakres tych zmian i sposoby ich dokonania. Jedni uważali, że powinny one mieć zakres ograniczony, właściwie pozorny, taktyczny i ci w rezultacie utworzyli grupę zwaną „natolińską”. Inni uważali natomiast, że proces liberalizacji stosunków politycznych powinien być głębszy i oni stworzyli grupę nazywaną „puławską”. Ale jedni i drudzy coraz bardziej dochodzili do wniosku, że kierownictwo partii musi ulec zmianie, że powinno wrócić do niego ludzie w 1948 roku odsunęci — a wśród nich Władysław Gomułka. Pogląd taki kształtował się stopniowo i nie bez oporów. Pewną rolę w jego kształtowaniu odegrał sam Władysław Gomułka.

W marcu 1956 roku Jerzy Morawski opublikował w „Nowych Drogach” artykuł „Nauki XX Zjazdu KPZR”, który to artykuł został przedrukowany przez „Trybunę Ludu” 26 marca. W artykule tym Jerzy Morawski podtrzymał prawie wszystkie zarzuty wobec Władysława Gomułki o odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne, jakie zostały sformułowane w 1949 roku. W odpowiedzi na ten artykuł

WŁADYSŁAW GOMUŁKA NAPISAŁ LIST DO „TRYBUNY LUDU”

„W „Trybunie Ludu” z dnia 26 marca br. ukazał się artykuł J. Morawskiego, przedrukowany za „Nowymi Drogami” nr 3 z br. W artykule tym ponownie mówi się o stanowisku tzw. gomułkowszczyzny, co każdy uważa za równoznaczne ze stanowiskiem Gomułki, a więc moim.

W związku z tym pragnę oświadczyć, że poglądy wyrażane w tej sprawie przez autora artykułu niewiele mają wspólnego z rzeczywistym stanowiskiem, jakie zajmowałem w przeszłości w zagadnieniach poruszonych w tymże artykule.

Przypuszczam, że „Trybuna Ludu”, która w przeszłości niejednokrotnie umieszczała skierowane przeciwko mnie artykuły pełne kłamstwa, fałszerstw, oszczerstw i brudnych insynuacji, będzie uważała sobie obecnie za obowiązek podać powyższe oświadczenie do publicznej wiadomości.

Z poważaniem (—) Wł. Gomułka.

„Trybuna Ludu” oświadczenia tego nie opublikowała. Chyba po raz pierwszy — jeśli się nie myli — ukazało się ono drukiem w książce Eleonory Syzdek i Bronisława Syzdek „Polityczne dylematy Władysława Gomułki”, która nakładem Czytelnika ukazała się w 1985 roku.

Kierownictwo partii swego stanowiska wobec Władysława Gomułki nie zmieniło, ale coraz wyraźniej stawało się jasnym, że partia oczekuje wyjaśnienia w sprawie „gomułkowszczyzny”. W wielu środowiskach pojawiało się wręcz żądanie wyjaśnienia „sprawy Gomułki”. Żądań tych nie postrzegano przemówienie i sekretarza KC PZPR — Edwarda Ochab na warszawskiej naradzie aktywów partyjnych, które następnie zostało opublikowane w prasie. W przemówieniu tym Edward Ochab poinformował, że Władysław Gomułka został zwolniony z więzienia, że teoria „o nieuniknionym przesłaniu się odchylenia oportunistycznego w awangardę imperializmu” nie była słuszną, że nieprawdziwe były oskarżenia Władysława Gomułki o „wrogą i dywersyjną działalność”, ale podtrzymał pogląd, i stanowisko Biura Politycznego KC PZPR przez to, że „polityczna krytyka gomułkowszczyzny była i pozostaje słuszną”.

Tu warto może podkreślić, że Edward Ochab do dziś pozostał wierny temu przekonaniu, czemu dał wyraz w liście skierowanym do redakcji „Z Pola Walki” i opublikowanym przez tę redakcję w numerze 2 z 1985 roku. Odwołując się do udziału w dyskusji organizowanej przez redakcję „Z Pola Walki” na temat wydarzeń 1948 roku w PPR, Edward Ochab pisał: „Pragnę zaznaczyć, że nadal solidaryzuję się z ówczesnym KC PPR, a zwłaszcza z wystąpieniami wybitnych robotników kapeluszowców, którzy na czele z Bolesławem Bierutem, Aleksandrem Zawadzkiem, Pawłem Wójcikiem, Franciszkiem

Józefakiem dali słuszny odpór licznym błędnym tezom towarzysza Gomułki i uchronili partię przed zepchnięciem jej na pozycję w pryncie rzeczy antyradzieckie i awanturnicze. Sumienny marksistowski badacz polityki PPR w 1948—1949 r. nie może rozpatrywać tej polityki w oderwaniu od sytuacji w całym międzynarodowym ruchu robotniczym i zaostrzającej się walki z ofensywą i kłamstwami imperializmu”.

Wróćmy do wydarzenia 1956 roku.

Po opublikowaniu przemówienia Edwarda Ochab na początku kwietnia 1956 roku Władysław Gomułka tym razem kieruje list do Biura Politycznego KC PZPR. W liście tym pisze:

„Z przemówienia pierwszego sekretarza KC PZPR wygłoszonego na naradzie aktywów partyjnego Stoicy i województwa warszawskiego i ogłoszonego w „Trybunie Ludu” z dnia 7 kwietnia br. dowiedziałem się o rehabilitacji, o oczyszczeniu mnie z oszczerstw zarzutów wrogości i dywersyjnej działalności.

Dla wszystkich, którzy się do tego przyczynili, mogę czuć tylko wdzięczność.

W stosunku zaś do tych, którzy wobec mnie świadomie stosowali metody oszczerstwa i pro-

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Rok 1956 — zblizał się przełom

wokacji, mam prawo domagać się wyciągnięcia wszystkich konsekwencji.

W tym zaś przemówieniu, w celu uzasadnienia walki z tzw. oportunistycznym i nacjonalistycznym odchyleniem w partii, znalazły się sformułowania skierowane pod moim adresem zniekształcające w sposób istotny moje stanowisko zajmowane w przeszłości w poruszanych w tym przemówieniu zagadnieniach.

Rzecz jasna, że kierownictwo partii może każdą sprawę, a więc i moje poglądy wyrażone w przeszłości na różne zagadnienia, oceniać tak, jak to uważa za słusne. Chodzi jednak o to, aby postępowano się pełną prawdą, faktycznymi materiałami, a nie domysłami i przeinaczonymi faktami.

Jeśli kierownictwo partii uważa za potrzebne poinformować partię i opinię publiczną o moich poglądach na ważne sprawy polityczne i gospodarcze, to mam pełne prawo wymagać, aby informacja taka była obiektywna, odpowiadała rzeczywistej prawdzie i była oparta na faktach materialnych. Tak się niestety nie stało.

Równocześnie zwracam się o poinformowanie mnie, jakie stanowisko zajmuje obecnie kierownictwo partii wobec dotyczących mnie i znanych mi (a być może i nieznanymi) organizacyjnych uchwał plenarnych posiedzeń Komitetu Centralnego Partii podjętych w przeszłości. Zaliczam przy niniejszym odpisie pisma do Prezydium Rządu PRL w sprawie zwrotu zabranych mi materiałów. (—) Wł. Gomułka.

Wobec tak sformułowanych żądań i faktu, że wyjaśnienie Edwarda Ochab nie w zasadzie nie wyjaśniało, Biuro Polityczne KC PZPR musiało zająć jakieś stanowisko. Jerzy Zawiejski zanotował w swoich „Kartkach z dziennika”, że na zebraniu ZLP Jerzy Pytlakowski stwierdził, nagrodzony burzą oklasków: „Oświadczenie Ochab na temat gomułkowszczyzny jest niezadowolające i wymaga poważnego ustosunkowania się do tej sprawy. I nie Ochab ani KC zdecydował o Gomułce”. Zatem 19 kwietnia 1956 roku Biuro Polityczne KC PZPR postanowiło, że z Władysławem Gomułką trzeba przeprowadzić rozmowę, zorientować się w jego poglądach i na tej podstawie podjąć określone decyzje. Do rozmów z Władysławem Gomułką wydelegowano Franciszka Mazurę i Zenona Nowaka.

W maju 1956 roku najpierw w mieszkaniu J. Klimowicza przy ulicy Katowickiej, a następnie w mieszkaniu przy ulicy Saskiej Władysław Gomułka spotyka się ze zwolnionym z więzienia Grzegorzem Korczyńskim, który opowiada o przebiegu śledztwa i procesie.

Od 2 do 5 maja obraduje Biuro Polityczne KC PZPR, które negatywnie ocenia działalność Jakuba Bermana. Składa on rezonansy z członka BP i wicepremiera Rządu PRL. Biuro Polityczne KC PZPR informuje o tym opinii publiczną w specjalnym komunikacie. 10 maja Biuro Polityczne KC PZPR zapoznaje się z rezultatami rozmowy Franciszka Mazury i Zenona Nowaka z Władysławem Gomułką. Ponownie treść tych rozmów BP KC PZPR zajmowało się 17 maja i postanowiło kontynuować rozmowy, upoważniając do nich Franciszka Mazurę i Aleksandra Zawadzkiego. 29 maja 1956 roku Władysław Gomułka pisze drugi list do Biura Politycznego KC PZPR, w którym

DOMAGA SIĘ ZWROTU LEGITYMACJI PARTYJNEJ

a więc pełnej rehabilitacji politycznej i rozpatrzenia sprawy odchylenia nacjonalistyczno-prawicowego przez KC PZPR z jego udziałem.

Rozpoczyna się teraz seria spotkań różnych działaczy z Władysławem Gomułką. Odbijają się one najpierw w jego mieszkaniu przy ulicy Saskiej, a następnie w Ciechocinku, dokąd Władysław Gomułka wraz z żoną Zofią wyjechał w lipcu 1956 roku. Spotykają się z Władysławem Gomułką: L. Gluck — był współpracownik w Ministerstwie Ziemi Odkrytych, który informuje Władysława Gomułkę o poglądach

ekonomistów na sytuację gospodarczą Polski i przebiegu odbywającego się w tym czasie II Zjazdu Ekonomistów; Zenon Nowak rozmawia z własnej inicjatywy i na własną prośbę; Wiktor Kłosiewicz odbywa długą rozmowę; podobnie Bolesław Rumiński. Do Ciechocinka, gdzie w sanatorium „Grażyna” leczy się Władysław Gomułka, przyjeżdża Grzegorz Korczyński. Wizyty w Ciechocinku nasiliły się po VII Plenum KC PZPR.

VII Plenum KC PZPR obradowało 10 dni — najdłuższemu w historii PZPR — z dwoma dniami przerwy na obchody 22 lipca. Na obchody te przybyła do Polski delegacja ZSRR z Nikołajem A. Baigunim — premierem Związku ZSRR i marszałkiem Georgiem K. Zukowem. 23 lipca delegacja radziecka bawiła w Łodzi, zwiedziła WZPB 1 Maja i spotkała się z robotnikami Łodzi w hali „Włókniarza”. Następnie udała się do Krakowa, gdzie zwiedziła zbudowaną przy pomocy ZSRR Hutę im. Włodzimierza Lenina w Nowej Hucie i następnie powróciła do Moskwy.

Polska w tym czasie budziła duże zainteresowanie świata. Od 28 czerwca do 30 czerwca przebywał w Polsce sekretarz generalny ONZ

poszanowane prawo obywatela”. Chodziło o szersze jej rozumienie, a nie tylko odnoszące się do postępowania UB, milicji i sądów, ale o przestrzeganie jej i wymuszanie niejako przez organizacje polityczne, masowe, młodzieżowe, rady narodowe i ludzi pracy.

Trzecią sprawą była „sprawa swobody krytyki i rozwijania krytyki z dołu”. Poza oczywiście tymi stwierdzeniami o roli i znaczeniu krytyki Edward Ochab mówił:

„Krepcowanie, tłumienie krytyki, twórczej, zdrowej krytyki, mającej na uwadze interesy państwa ludowego i budownictwa socjalistycznego musi prowadzić do zdławienia demokratyzmu, do podważenia autorytetu organów władzy ludowej, a w następstwie — partii i państwa.

Walka burokratów ze zdrową krytyką nie ustala. Przeciwnie, na ile licznych przebiegów publicznej krytyki, szeregu burokratów w aparacie państwowym i gospodarce, a niekiedy i partyjnym, próbuje przez odgrębnienie się i rozprawienie z „winowajcami”, ze „śmiakami”.

Liczne są jeszcze sygnały o szczytach w stosunku do ludzi, którzy na zebraniach załóg czy nawet na zebraniach partyjnych próbowali podnieść głos krytyczny wobec swych zwierzchników. Jednym z najbardziej skutecznych sposobów tłumienia krytyki jest obojętność, głuchota, nieręgowanie na najslusniejsze uwagi i krytyczne wnioski”.

Przy okazji tych rozważań dostało się prasie: „Jednakże równocześnie musimy stwierdzić, że prasa popełnia również sporo błędów”. Zarzucono wielu pismom, które uprawiają rzetelną i sprawozdaniową krytykę, że zaniedbują „określenie pozytywnych wysiłków mas pracujących, partii i władzy ludowej”, przez co stwarzają „nieprawdliwy i jednostronny obraz życia”. Innym zarzucono, że uprawiają demagogiczną krytykę, pozwalają sobie na przekraczanie faktów, na popularyzowanie obcych i czasem wrogich poglądów. A nawet „Trybuna Ludu” nie daje „odporu tej fali czarnowidztwa”.

W czasie trwania VII Plenum KC PZPR, na którym obok referatu Edwarda Ochab, referat o problemach gospodarczych wygłosił Józef Cyrankiewicz, prasa opublikowała oba referaty oraz komunikaty o kolejnych dniach obrad. Opublikowano też — z kilkudniowym opóźnieniem — Uchwałę VII Plenum KC PZPR. Referaty i uchwała ukazały się też w 7—8 numerze „Nowych Drog” z 1956 roku. Członków KC PZPR zobowiązano do nieujawniania przebiegu obrad, ale nie wszyscy zobowiązanie to wykonali.

Cofnięto część zarzutów wobec Władysława Gomułki i Mariana Sychalskiego, a w szczególności zarzut z uchwały z listopada 1949 roku, w której stwierdzano, że „nie wykazali oni dobrej woli w naprawianiu szkód wyrządzonych partii przez odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne, z czym wiązały się rachuby imperializmu i jego agenty”. Samego zarzutu odchylenia nie odwołano. Nie zgodzono się — większością głosów — na zaproszenie Władysława Gomułki na obrady VII Plenum KC PZPR, co postulował Wiktor Kłosiewicz.

W skład Biura Politycznego KC PZPR wybrano: Edwarda Gierka, Romana Nowaka i Adama Rapackiego, na zastępców członków BP — Stefana Jędrzychowskiego i Eugeniusza Stawiskiego. Sekretarzem KC PZPR wybrano Witolda Jarosińskiego. Przewodniczącym Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej został Roman Nowak.

Uchwały VII Plenum KC PZPR miały ważne znaczenie

W PROCESIE ODNOWY

otwierały nowy etap dyskusji i poszukiwania wyjścia z głębokiego kryzysu politycznego. Jednocześnie pogłębiły podział w kierownictwie, co stanowiło silną przeszkodę w realizacji uchwał VII Plenum KC PZPR.

30 lipca 1956 roku Biuro Polityczne upoważniło Edwarda Ochabę i Aleksandra Zawadzkiego do odbycia rozmowy z Władysławem Gomułką. Poinformowano go o decyzji uchylającej uchwałę III Plenum KC PZPR z listopada 1949 roku, a także o przebiegu dyskusji na VII Plenum KC PZPR. Rozmowa odbyła się w Warszawie, gdzie przyjechał na kilka dni z Ciechocinka Władysław Gomułka. Biuro Polityczne KC PZPR podjęło też decyzję o zwrocie legitymacji Władysławowi Gomułce, Grzegorzowi Korczyńskiemu, Zenonowi Kiliście i Grzegorzowi Korczyńskiemu. Władysław Gomułka miał już wstępne informacje o przebiegu VII Plenum od Ignacego Logi-Sowińskiego, który po pierwszej części obrad odwiedził go w Ciechocinku.

2 sierpnia 1956 roku sekretarz POP przy KC PZPR — Stefan Miaszek zwrócił Władysławowi Gomułce legitymację partyjną. Władysław Gomułka powrócił do Ciechocinka.

Do tej letniskowej miejscowości nad Wisłą ciągną teraz całe korowody działaczy partyjnych. Odwiedzają tu Władysława Gomułkę: Grzegorz Korczyński, Mieczysław Moczar, Maria Rutkiewiczowa, Jerzy Albrecht, Jerzy Morawski, Artur Starewicz, Wiktor Kłosiewicz. Odbywają z nim rozmowy. Informują go o przebiegu VII Plenum KC PZPR.

Na początku września 1956 roku Władysław Gomułka jest już w Warszawie. Odbywa z L. Gluckiem rozmowę o sytuacji gospodarczej kraju. Następnie w Natolinie spotyka się z Józefem Cyrankiewiczem, z którym rozmawia o powrocie do działalności partyjnej. Od 8 do 17 października obradowało Biuro Polityczne KC PZPR nad przygotowaniem VIII Plenum KC PZPR. W obradach uczestniczył Władysław Gomułka. Komunikat o tym fakcie opublikowano 17 października 1956 roku.

10 października poinformowano opinię publiczną, że Biuro Polityczne KC PZPR przychyliło się do prośby Hilarego Minca o zwolnienie go z obowiązków członka BP i I zastępcy prezesa Rady Ministrów. Powodem — jak podano — była przewlekła choroba, która uniemożliwiała dalszą pracę na tych funkcjach i stanowiskach.

19 października 1956 roku rozpoczęły się obrady VIII Plenum KC PZPR.

Codziennie kłopoty, silne napięcia, pośpiech, ciśnienie, którego coraz częściej nie wytrzymujemy. To wszystko rodzi stresy, nerwice, zawały i śmierć w wieku największej aktywności życiowej.

Nie tylko reforma gospodarcza, stan państwa i poziom życia społecznego są problemami do rozwiązania. Coraz większej wagi nabiera także to, co dzieje się w nas samych. Proponujemy dziś czytelnikom artykuł

psychoterapeuty oraz pendant do niego — tekst opracowany na podstawie rozmów z osobami, które podjęły trud leczenia swojej nerwicy. Zapraszamy wszystkich zainteresowanych tą problematyką do nadsyłania swych uwag i opinii

pomocnych w przygotowywaniu następnych publikacji. Szczególnie zaś liczymy na opinie fachowców, lekarzy psychiatrów, psychologów, ale nie tylko tych, którzy zawodowo zajmują się zjawiskiem nerwicy.

Kiedy pojawiły się pierwsze książki profesora Antoniego Kepińskiego, na mojej drodze zawodowej lekarza psychiatry dokonywały się akurat istotne przewrótów. Po blisko dziesięciu latach zgłębiania biologicznych aspektów psychiatrii, przyszła wtedy kolej na głębsze niż dotychczas zainteresowanie psychoterapią. Jesienią 1972 roku przebiełem intensywnie praktyczne szkolenie psychoterapeutyczne zorganizowane po raz pierwszy przez Sekcję Naukową Psychoterapii Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Doświadczyłem na sobie samym jak się tworzy i funkcjonuje grupa terapeutyczna, a także poznałem oddziały-

prawdy. Rezygnacja pojawia się wówczas, gdy zwycięża lek i niewiara w możliwości jakiegokolwiek zmiany neurotycznego status quo. Kryje się za tym, nie zawsze świadoma, niechęć do ponoszenia kosztów emocjonalnych procesu leczenia. Gdy natomiast obie strony zawierają własnej postawie „do” i zechcą przeżyć do końca to spojrzenie prawdzie w oczy, nawet za cenę przejściowego zamętu czy czasem ośnienia — to wtedy rosną ich szanse na dalszy pomyślny rozwój psychoterapii. W tej korzystnej ewolucji procesu psychoterapeutycznego ogromnie odpowiedzialna, a jednocześnie wielką satysfakcjonującą rolę spełnia psychoterapeuta. Może i powinien on

Człowiek dążąc do swojej indywidualnej doskonałości, odkrywając w sobie i rozwijając coraz to nowe potencjalne możliwości, ma raczej poczucie ciągłego zbliżania się do swego ideału, który stale mu się wymyka, oddala, wymaga korekt i... pozostaje granicą leżącą w nieskończoności. Satysfakcja człowieka z samego siebie jest tym większa, im szybciej (w swoim odczuciu) zmierza on do swego ideału, im bardziej intensywny jest proces jego samourzeczywistniania się. Wszelkie potknięcia i zwalnianie na drodze do celu, jakim jest pełne samourzeczywistnienie, są źródłem dyskomfortu psychicznego i różnych psychopatologicznych konsekwencji tego dyskomfortu.

Jednocześnie równie silne potrzeby transcendentne, nie związane z realiami jego biologicznej egzystencji. A wśród nich także potrzebę nieustannego dążenia do absolutu prawdy, dobra, piękna, miłości, do niepojętego Boga, jakkolwiek pojmowałoby to pojęcie. Człowiek ten nie ma łatwego życia, ale i nie chce go sprowadzać do wymiarów bardziej prostych i jednoznacznych, gdyż w jego indywidualnym przypadku równowaga psychiczna utrzymywana jest nie wskutek eliminacji którejkolwiek z wymienionych potrzeb, lecz dzięki ich integracji. Nie zawsze możliwe jest całkowite zglebienie fenomenu tej integracji. Tak, jak nie zawsze „mędrcą szkiełko i oko” wystar-

Tvoja forteca

Mówisz, że życie cię uwiiera, że nęka cię ból istnienia? Powieś, że dusza ci wyje? A komu dziś nie wyje? Wszyscy to mają. Popatrz dookoła. Normalna. Trzymaj się w kupie. Plecy proste, biust do przodu, głowa do góry. Tak właśnie. Nie obnosz się z tragicznym wnętrzem. To nikogo nie obchodzi. Każdy ma swoje własne piekło. Nie pchaj się ze swoim.

Więc się nie pchasz. Robisz dobrą minę i masz hasło: JEST NIEZŁE. Ludzie lubią uśmiechniętych, dzielnych. Nie chcesz więcej usłyszeć, że jesteś wiecznie skwaszona, że ci źle. Ludzie się odsuną. A tego się boisz. Boisz się bardziej niż chcesz się przynajmniej. Jesteś wśród ludzi.

Kłamię. JESTES OSOBNĄ. To jest jak z tą Czarną Małką, co szła tłumną ulicą i krzychała, że do człowieka jej się chce. Ona przynajmniej się przynajmniej. A ty się nie przynajmniej. Za nic. To nie pasuje do twojej wylakierowanej fasady, na której napisano, że JEST DOBRZE. Jesteś dzielna, samodzielną, wyzwoleń i ponad to wszystko. A na zapleczu podpierasz ten piękny front przerażone, wyjące z rozpacz stworki. Kłamię. To też jesteś ty. Od dawna już nie wiesz która jest prawdziwa, która jest igraszką i pozą. Może jedna i druga. Nie wiesz. Nie rozumiesz.

No więc masz nerwicę. Tyle. I to jest twoja sprawa. No, gdyby tak alkoholizm, albo narkotyki — to jeszcze. Wtedy zalicz cię do statystyk, Monar jest dla ciebie, albo Klub Anonimowych Alkoholików. Spróbuj. Daj sobie szansę. Masz konkretną barykadę do przeskokowania. A goła nerwica? Co za problem. Wszyscy dziś mają nerwicę. A jak jeszcze nie mają, to będą mieć. Zaden powód do chluby. Nawet nie możesz liczyć na współczucie.

Bluszcz. Czepliwanie się innych. To oni mają ci dać wiarę w siebie, mają cię dowartościować. Bo ty jesteś niedopieczona. To jest twoja strategia. Niech dadzą ci miłość, bezpieczeństwo, zrozumienie i wszelką pomyślność.

No więc ty przynajmniej rozumiesz. Przed sobą masz ścianę. Walisz w nią łbem. I krzyczysz że boisz się samotności, że trzeba ci dobrego słowa. I nikt ci nie słyszy. Tyle już wiesz. Masz wybór. Uciec spod ściany. Wrócić do znajomego życia, którego nie umiesz znieść. Będzie jak było. Izolacja, jalone, bezcelowe istnienie. Udawanie, że żyjesz.

Wtedy jeszcze musisz się przynajmniej. Że ta ściana odgradzająca cię od ludzi nie wyrosła nagle. Latami, w pocie czoła zbudowałaś ją sama. Aż zbudowałaś fortecę. I zatrasnęłaś się w środku. Ona miała cię bronić, a nie broniła. Więc stawiałaś jeszcze wyższą ścianę. A jednak każdy mógł cię tak łatwo skałeczyć. Wolał cię przez ten mur do ludzi i nikt ci nie słyszy. Możesz wyć w samotności do sądnego dnia.

Tyle już wiesz. Że koniec. Absolutna samoblokada. Nie umiesz zrobić kroku. I jeszcze przynajmniej się tchórz, że nie jesteś z tych dzielnych twardzieli, co to wzięli się, zapałali, dali radę sami się z sobą pozbierać. Wiedzą czego chcą. Mają cel. Walą do przodu. Ty jesteś bezwolna galareta. Nie umiesz sama.

Wtedy trafiaś do psychiatry. Siadasz naprzeciwko, a uczony w piśmie zaczyna z ciebie wywyciszyć wnętrze. Znajdziesz jak najęta. Och, słów ci nie brakuje. Wylewają się jak rzeka. Wszystkie takie okragłe, zgrabne, z sensem, niegłupie nawet. Umiesz mówić. I to jest wszystko.

Trochę cię uwiiera myśl, że psychoterapeuta słucha cię tak uważnie, bo mu za to płać. Bo od tego jest. Nauczył się grzebać w człowieku. Nie takich jak ty rozpracował. Można by mu nad drzwiami gabinetu przybić napis: „Przekupniowi szczęścia — wdzięczni klienci”.

Ale ten człowiek nie ucieka z krzykiem kiedy wywalasz mu na głowę całe swoje piekło. Nie przerywa ci zniecierpliwiony, kiedy się płaczesz w szczegółach i opowiadasz jakieś dyrdymały. Zaczynasz powolutku się oswajać. Nie, jeszcze nie tak. Zaczynasz ufać. Chcesz uwierzyć w cokolwiek, bo już nie masz. Wierzysz mu, on nie chce cię skrzywdzić. On wytrzyma. Całym ciężarem opierasz się o tego człowieka, jak o plot. I on się nie chwiele. On chce pomóc. A tobie jest wstyd, że tak nie potrafisz ustać na własnych nogach, że nosisz cię po tym życiu, jak pijaka od ściany do ściany. I jeszcze wyplakujesz w kamizelkę, żeś taka biedna.

Czepliasz się nadziei, że ten człowiek cię nie zostawi, pomoże ci się w tym wszystkim porządkiem. Bo wreszcie dociera do ciebie, że tobie nie jest potrzebna ryba, żeby się najęść. Musisz się nauczyć posługiwać wędką. Samodzielnie i odpowiedzialnie.

Najpierw musisz zacząć od rozebrania fortecy, którą w sobie zbudowałaś. Nikt tego za ciebie nie zrobi. Piekielnie się boisz, że nie dasz rady. Że nie wiesz jak się do tego zabrać. Starą metodą dobudowujesz sobie znowu ideologię. Że przecież jakoś dotąd było. I są gorsi od ciebie a lepiej im się wiedzie. I że właściwie to jest niemożliwe, żeby można się było stworzyć od nowa.

Tchórzysz. Znowu uciekasz. I grasz tę samą gierkę co dotąd. Walka i obrona. Atak i ucieczka. I jeszcze jedna maska przyklejona do twarzy.

Najtrudniej przecież przychodzi przyjęcie prawdy o sobie. Bez reszty. Bez protez, retuszów. Goła prawda. To może być nie do zniesienia. Boisz się, że zobaczysz w lustrze potwora i że to będzie właśnie ty.

Nadal nie jeszcze nie rozumiesz, ale już wiesz, że jest z tobą przyjaciel. Że on pomalą znajduje jakiś porządek w chaosie. Każdy magiel w psychoterapeuty zlewa ci plecy potem, ale potrzebujesz tych rozmów jak powietrza. Każda z nich budzi w tobie nadzieję. Każda pomaga ci cegła po cegle rozbierać swoją fortecę. Bardzo chcesz uwierzyć, że skoro innym się udało, uda się i tobie. Nie jesteś już sama.

Wciąż się gubisz, szukasz po omacku jakiejś linii porządkującej twoje życie. Nic jeszcze nie potrafisz nazwać ani nie wiesz dokąd idziesz. Życie cię boli jak bolało. Szukasz siebie pod sterą załgania.

I wiesz jedno. Już wiesz. Że czeka cię straszna praca. Ona nie jest ponad siły człowieka, ale będzie morderczą. I goździsz się na to. Jest z tobą człowiek rozumiejący jak ciężko jest nauczyć się siebie od nowa.

Opracował: J. W.

APOLONIUSZ MADEJ

Refleksje psychoterapeuty

wanie szeregu metod i technik psychoterapeutycznych, które wkrótce sam zacząłem stosować w mej pracy z chorymi. Moje wcześniejsze przygotowanie teoretyczne zostało skonfrontowane z praktyką, co z kolei zapoczątkowało proces dalszych poszukiwań i wyboru własnej drogi.

W tym okresie ogromnie pomogła mi lektura prac Antoniego Kepińskiego. Były one dla mnie wielką inspiracją w różnych płaszczyznach uprawianej przeze mnie psychoterapii.

Chciałbym omówić tu dwa jedynie, spośród wielu, wątki owej inspiracji. Po pierwsze — prace Profesora pozwoliły mi, jeżeli nie do końca zrozumieć, to chyba prawie do końca przetrwać emocjonalnie proces nawiązywania i pogłębiania związku psychoterapeutycznego z pacjentem oraz wchodzenia w taką z nim relację, w wyniku której doświadcza on akceptacji ze strony terapeuty.

Po drugie — lektura książek Antoniego Kepińskiego pomogła mi w stworzeniu sobie własnej syntezy niektórych aspektów zdrowia psychicznego. I chociaż zapewne ta synteza nie jest niczym odkrywczym, a może nawet nieswiadomie popełniam tu jakiś plagiat — to jednak ma ona dla mnie walor prawdy zweryfikowanej i potwierdzonej przez własne doświadczenie, prawdy wielce przydatnej w praktyce psychoterapeuty.

W początkowej fazie psychoterapii, kiedy nadszedł ogromny oczekiwania i nadzieje pacjenta wychodzą naprzeciw rozumiejącemu, a jednocześnie niekonwencjonalnie i żywiołwie reagującemu terapeutę — dochodzi do znacznego zintensyfikowania i przyspieszenia procesu, który profesor Kepiński nazwał zbliżaniem się do siebie dwóch tajemnic. W relacji psychoterapeutycznej tajemnica pacjenta zbliża się do tajemnicy terapeuty z szybkością i intensywnością nie spotykaną na ogół w innych, zwykłych relacjach międzyludzkich. Powoduje to gwałtowne spletnienie się emocji leku i zarazem fascynacji. Pociąga za sobą ambivalentne sady, uczucia i postawy wywołujące się z chaosu i dezorientacji. Rozwija się związek, w którym odbiera się i jest odbieranym. Dokonuje się intuicyjne odkrywanie nowych prawd poprzez stawianie pytań, budowanie nowych hipotez, przetwarzanie tej intensywnie wymiany między dwójgłem ludzi. W jej wyniku, po wielu skokowych, przeważnie nieświadomych, selekcjach i eliminacjach, dochodzi do stopniowego wyjaśniania i porządkowania sytuacji. Do stworzenia warunków dalszego rozwoju procesu psychoterapeutycznego.

Etap spotykania się dwóch tajemnic zawiera w sobie niebezpieczeństwo rezygnacji obu partnerów z dalszego zbliżania się do siebie, rezygnacji jakby spowodowanej obawą przed nadmiernym zbliżeniem się do

sprzyjać otwieraniu się pacjentowi poprzez otwarcie samego siebie. Przynajmniej tak dalece, by umożliwić stworzenie optymalnej płaszczyzny kontaktu psychologicznego i konstruktywne przeżycie pierwsze, niekonwencjonalnego zbliżenia dwóch, dotychczas obcych sobie osób. Terapeuta, wspierając urzeczywistnianie się postawy „do” pomiędzy nim a pacjentem — otwiera się także na możliwość dostrzeżenia w osobie pacjenta tych wartości, które stanowią rekojmie, gwarancję jego powrotu do zdrowia i dalszego rozwoju. W ten sposób zostają stworzone warunki umożliwiające terapię rozpoznania, a raczej doświadczanie wspomnianych wartości pacjenta, wpiętych na zasadzie intuicyjno-hipotetycznej konstatacji, stopniowo sprawdzanej i weryfikowanej następnie w dalszych etapach procesu terapeutycznego już na poziomie coraz bardziej „świadomym”.

Wówczas z terapeutą zaczyna współpracować pacjent, osiąga coraz pełniejszy wgląd w siebie, nie tylko emocjonalny, lecz także intelektualny. Ale już ta wstępna konstatacja terapeuty, odkrywająca wartości pacjenta, uruchamia tak intensywną, głównie pozawerbalną wymianę między nim a pacjentem, że ten drugi sam zaczyna doświadczać poczucia, że jest człowiekiem zdolnym sprostać wysiłkowi przynależnemu zdrowiu i pełniejszemu samourzeczywistnieniu. Że ma w sobie dyspozycje i wartości, na których może się oprzeć już teraz, zanim pójdzie dalej. Tak chyba można wyrazić najistotniejszą treść pojęcia akceptacji pacjenta przez terapeuta i pacjenta przez siebie samego. Tak rozumiana akceptacja stanowi warunek dalszych postępów psychoterapii i jednocześnie w decydującym stopniu kształtuje właściwą motywację do tego typu leczenia. Urzeczywistnia praktycznie zasadę podmiotowości pacjenta w partnerskim związku z terapeutą.

Co się natomiast tyczy niektórych aspektów zdrowia psychicznego jako pewnej orientacji i racjonalności, do której zbliżają się pacjent i psychoterapeuta w ich współpracy — to koncepcje Antoniego Kepińskiego zainspirowały mnie do zwrócenia szczególnej uwagi na dwa istotne atrybuty zdrowia psychicznego. A mianowicie — na jego dynamiczny, a nie statyczny charakter. Zdrowie psychiczne nie jest wartością stałą i niezmienną. Jest ciągłym, trwałym procesem. Po wtóre — w przejawianiu się poszczególnych potrzeb i dyspozycji psychicznych występuje proporcjonalność. A także zdolność człowieka do integracji pozornie sprzecznych, a właściwie skrajnie zróżnicowanych potrzeb, uczuć i sądów.

Zdrowie psychiczne, jako proces, nieustannie „stawianie się” odpowiada koncepcji permanentnego urzeczywistniania się, samoaktualizacji człowieka.

W powyższym ujęciu człowiek nigdy nie osiąga swego „idealnego” zdrowia psychicznego, a jego poczucie zdrowia w tym zakresie jest tym pełniejsze, jakby bardziej intensywnie i oczywiste, im szybciej i skuteczniej pokonuje on swą drogę do ideału samego siebie, ideału — granicy w nieskończoności.

Zagadnienie proporcjonalności i integralności w życiu psychicznym człowieka uwidacznia się szczególnie wyraźnie, gdy rozpatruje się wzajemne relacje między tym, co w człowieku racjonalne, a tym, co irracjonalne. Między tym, co proste i zrozumiałe, a tym, co niepojęte i nieweryfikowalne. Jest rzeczą dowiedzioną, że osobowość funkcjonuje jednocześnie na wielu poziomach ukstałowanych w różnych okresach jej rozwoju. Uświadomienie sobie tego złożonego „współbrzmienia” różnych warstw psychiki przejawia się niemożliwością z uwagi na to, że na ogół ta „warstwa”, która kształtowała się najpóźniej w procesie rozwoju, ma tendencję do „przykrywania”, podporządkowywania sobie wcześniejszych i starszych struktur i dynamizmów. Co nie znaczy, że te starsze przestają oddziaływać na człowieka. Oddziałują one nadal, tyle tylko, że poza świadomością. Jeżeli określone schematy czy stereotypy psychiczne, np. intelektualne, nabyte najpóźniej w życiu są sprzeczne z wcześniej ugruntowanymi w psychice postawami, przekonaniami, a przede wszystkim potrzebami i tendencjami emocjonalnymi — to wówczas dojdzie do zaburzeń psychicznych o różnym stopniu nasilenia ze wszystkich psychopatologicznych konsekwencjami. Od umiędzielenia „godzenia” ze sobą tych pozornie sprzecznych tendencji, uczuć i myśli, znajdowania dla nich właściwych proporcji i miejsca w życiu psychicznym zależy niejednokrotnie równowaga psychiczna człowieka. Jest ona najciszej utrzymana dzięki temu, że człowiek może zaspokajać równocześnie różne swoje potrzeby, które mogą wydawać się sprzeczne, a z których nie może on zrezygnować. Rezygnacja bowiem z jakiegokolwiek potrzeby ugruntowanej (zinternalizowanej) w hierarchii wartości, staje się większym zagrożeniem i przysparza więcej trudności niż konieczność ich godzenia (integracji).

Widać to wyraźnie na przykładzie człowieka uwikłanego w rozterki i dylematy światopoglądowe, dotyczące jego spraw ostatecznych i związane z jego potrzebami transcendentnymi. Wyobraźmy sobie naukowca z silnie rozwiniętą potrzebą nieustannego sprawdzania, weryfikowania rzeczywistości według przyjętych w naukach ścisłych procedur badawczych, opartych na metodologii matematyczno-przyrodniczej, odrzucającej pytania o sens i cel ludzkiego życia, jako pytania teleologiczne. Naukowiec ten, co nie należy do rzadkości, może przeżywać

czułość tego, co przesądza o niepowtarzalności każdego człowieka i odmienności jego losu.

Z rozważań tych można, między innymi, wysnuć i taki wniosek, że z punktu widzenia higieny psychicznej, psychoprofilaktyki i psychoterapii — nie można nie liczyć się z głęboko ugruntowanymi potrzebami człowieka. Nie można brutalnie i jednostronnie ingerować w proces rozwoju jego osobowości, w jego hierarchię wartości, którą powinien „wyprowadzić” sam, a przynajmniej w poczuciu, że jest ona w istotnej mierze jego własnym dziełem, że zaspokaja wszystkie jego ważne potrzeby i budzi szacunek dla samego siebie.

W pracach Antoniego Kepińskiego uderza skromność autora w ocenach możliwości poznawczych psychiatry i prostota sformułowań na temat zjawisk najtrudniej poddających się próbom ich zdefiniowania. Prostota ta nie ma nie wspólnego z upraszczaniem złożonej rzeczywistości. Wyraża ona natomiast przekonującą syntezę najgłębszego ludzkiego doświadczenia o tak uniwersalnym charakterze, że wydaje się nie zagrozić zafałszowaniem najbardziej szczegółowych wariantów ludzkiej odmienności. Jest raczej wynikiem głębokiego przeświadczenia autora, że proces poznawania człowieka przez człowieka cechuje metodologiczna nieoznaczoność i nieograniczoność w czasie.

Poważnym zagrożeniem dla psychoterapii bywa poczucie nieomniotności i omnipotencji u psychoterapeuty. Postawa taka nie tylko uniemożliwia głębsze poznanie pacjenta, lecz i budzi poważne zastrzeżenia natury moralnej. Sprzyja bowiem manipulatorskim nadużyciom terapeuty, który — wykorzystując podatność pacjenta na sugestie płynące od domniemanego autorytetu — może, co najwyżej, spowodować krótkotrwałą poprawę u pacjenta, wyłączenie objawów. Ale jednocześnie powoduje z całą pewnością długotrwałą niemożność pacjenta w dotarciu do przyczyn własnego cierpienia, co z kolei prowadzi do kolejnych dekomensacji psychicznych wśród narastającego poczucia bezradności i zagubienia.

Życie i dzieło profesora Antoniego Kepińskiego są zaprzeczeniem poczucia diagnostycznej nieomniotności i terapeutycznej omnipotencji.

Skromność, tolerancja i natchniona bezwarunkowa akceptacja postawa „do człowieka” zawarte w jego pracach są wciąż nośne i inspirujące.

Doktor nauk medycznych Apoloniusz Madej jest adiunktem w I Klinice Psychiatrycznej i kierownikiem Oddziału Leczenia Nerwicy tejże Kliniki Akademii Medycznej w Łodzi.

kowie zrzesza 49 spółdzielni, ale tylko 9 z nich produkuje leki. Ich produkcja wymaga zachowania nadzwyczajnej czystości. Tu nie może być żadnych odpadów — obowiązuje norm i wymagań. Spółdzielnie często nie posiadają takich możliwości i zamiast lekarstw... produkują kosmetyki. Podobnie postępują firmy polonijne. Kosmetyki — to towar również poszukiwany, a przy tym nie obowiązuje w czasie ich produkcji tak ostre wymagania.

Do rejestru powodów, dla których brakuje nam leków, należy wpisać jeszcze kilka, mniej lub bardziej istotnych. Być może Czytelnik zdziwi się, bo w tej sprawie panuje sporo nieporozumień, ale mimo niedostatku lekarstw w kraju, również je eksportujemy. Jest to konieczne, gdyż przemysł farmaceutyczny może w ten sposób zdobyć niezbędne mu dewizy na zakup surowców i półfabrykatów. Przemysł ten chciałby eksportować leków za 50 milionów dolarów, a udaje mu się to zaledwie nawet nie w połowie, bo w granicach 20—22 milionów dolarów. Pozostają więc dotacje Skarbu Państwa, ale te są ograniczone stanem zadłużenia i koniecznością spłacania kolejnych rat i płatności procentów. Natomiast bez kupna surowców i półfabrykatów, importu leków, maszyn, technologii i urządzeń nasz przemysł farmaceutyczny nie wyjdzie z dolki, który od lat się pogłębia.

Błędne koło wydaje się być zamknięte również i dlatego, że nasze lekarstwa są złej jakości i fatalnie opakowane. Z tego powodu są mało konkurencyjne na zachodnich rynkach. Nie jesteśmy w stanie przebić się z lekami na te rynki, więc i przemysł farmaceutyczny nie zarobi potrzebnych mu dolarów na dobre, atrakcyjne opakowania, na niezbędną poprawę jakości, na surowce.

Mój kolega, który ma kilkumiesięczne dziecko, zwierzył mi się, że lekarka opiekująca się tym dzieckiem, każeła postarać się o preparat żelaza produkcji belgijskiej, bo po polskim dziecku niestannie cierpiał na zwolnienie. Polski preparat „Terapin” stosowany do hiperalimentacji — szybkiego odnawiania chorego organizmu — śmierdzi i nie daje się połączyć, tak okropny ma smak. Nie odpowiada on normom obowiązującym na świecie, a mimo to jest produkowany i z wyżej podanych przyczyn — wyrzuca.

Lekarze, producenci leków, farmaceuci, organizatorzy służby zdrowia powiadają, że jedną z przyczyn braku leków jest ich bezpłatność oraz marnotrawstwo, co jedno wiąże się z drugim. Grupa ludzi, którzy otrzymują lekarstwa bezpłatnie jest duża. Są wśród nich renciści, emeryci, pracownicy służby zdrowia i inni. Na przykład, w Warszawie i województwie stołecznym 63 procent wartości wszystkich wydanych lekarstw wydano bezpłatnie. A co darmo i łatwo przychodzi, tego się nie szanuje. Ludzie poza tym lubią gromadzić specyfiki, bo pewniej się czują, gdy wiedzą, że w szafce są lekarstwa, które w razie choroby można zażyć i stan zdrowia zaraz poprawi się. Lekarstwa leżą, tracą wartość, później się je wyrzuca.

Przez pewien czas apteki zbierały nie zużyte leki. Teraz zaniechano tego, gdyż były to leki na ogół już przeterminowane, nie nadające się do użycia, które trzeba było niszczyć. Wobec postuluje się, że lekarstwa powinny być wydawane za choćby częściową odpłatnością. Leki są coraz droższe. Na przykład — jak mi to opowiedział znajomy lekarz — ampułka leku przeciw nowotworowi kosztowała niegdyś 1200 złotych i to wydawało się drogo. Dziś kosztuje około 80 tysięcy złotych.

— Jak chory zobaczy ile lek kosztuje — powiedział ten sam lekarz — to tak łatwo go nie wyrzuci.

CZY WSZYSTCI BĘDIEMY PŁACILI ZA LEKARSTWA?

Idea płacenia za leki ma coraz więcej zwolenników. Również postawie, obradujący 18 września 1986 roku w Komisji Polityki Społecznej, Zdrowia i Kultury Fizycznej, przychylili się ku realizacji tej idei.

Andrzej Sidor: — Jeśli chodzi o leki wydawane bezpłatnie rencistom, kombatanom czy pracownikom niektórych resortów, to mimo że jest to przy-

wilej — jestem za tym, żeby ci ludzie ponosili również jakieś koszty. W każdym razie w aptece powinno się płacić pełną cenę leku, a dopiero ZUS czy ktoś inny powinien zwracać za to pacjentowi. Tylko w ten sposób można wymusić szacunek dla leków.

Helena Porycka: — Jestem za odpłatną sprzedażą niektórych leków, uważam też, że niektóre powinny znaleźć się w drogeriach. W każdym razie jakaś odpłatność musi istnieć. Natomiast nie wierzę w to, że emeryci handluje lekami. Przecież zależy to również od lekarzy, którzy wystawiają recepty.

Minister Edward Grzywa: —

staną odpowiednie decyzje. Na pewno jednak trzeba dążyć do tego, aby lekarze nie zapisywali jednemu pacjentowi tak dużych ilości różnych leków jednocześnie.

Przedstawiłam dość szczegółowo — na podstawie protokołu z posiedzenia sejmowej komisji — różne poglądy na kwestię odpłatności za lekarstwa. W moim przekonaniu propozycje wprowadzenia opłat manipulacyjnych, pełnej czy częściowej odpłatności, podniesienia cen za lekarstwa, jak też zwracanie pieniędzy przez ZUS, czy inną instytucję — wszystko razem wzięte wcale nie prowadzi do rozwiązania problemu pełnego

stanowić poważnie, czy nasza służba zdrowia jest naprawdę bezpłatna, jaką miała być w ustrojowych założeniach. Tego tematu jakiś nikt nie podejmuję, natomiast wszyscy chętnie wdają się w dyskusje zastępcze.

CZY BĘDZIE WIĘCEJ LEKÓW?

Jak wynika z informacji ministra Edwarda Grzywy złożonej przed sejmową Komisją Polityki Społecznej, Zdrowia i Kultury Fizycznej, w 1983 roku podaż leków była większa o 11

antybiotyków. Na przykład ampicylina, tetracyklina, czy syntarpen są skuteczne w 15—20 procent przypadków, a mimo to są produkowane i stosowane. Można byłoby zrezygnować z ich produkcji, ale nie ma czym ich zastąpić.

Jeśli tempo prac nad modernizacją i rozbudową przemysłu farmaceutycznego w Polsce nie zwiększy się, to nadal będziemy zabawiali się w zastępcze dyskusje, nie dotykając istotny problem. Bo przy takim tempie prac, jaki występuje do tej pory, nie można spodziewać się większej poprawy stanu zaopatrzenia naszych aptek w leki, a przez to poprawy stanu naszego zdrowia.

Interesująca natomiast jest propozycja przeniesienia niektórych rodzajów leków, ziół i temu podobnych do drogerii, gdzie można byłoby je swobodnie kupować. Pod warunkiem, że będzie ich dostatek. Gdy jest bowiem czegoś dostatek i to coś można kupić bez kolejk, nikt nie będzie tego czegoś magazynował, „chomikował”, robił niepotrzebnych zapasów. Tak jest zawsze przy zachwalanym rynku i jakoś o tym się najłatwiej zapomina przy wszystkich dyskusjach.

Poza tym warto przypomnieć sobie o popularnym niegdyś aptekarzu. Rozwój przemysłu farmaceutycznego usunął aptekarza w cień. Absolwent farmacji w aptece stał się wzorowym czytelnikiem leksykonów recept i... sprzedawcą. Lek po winny stać na półce, a ona — rzadziej przecież on, bo to zawód niemal doszczętnie sfernizowany — sięga po gotowy już lek, albo odpowiada: — Nie ma i nie wiem kiedy będzie! Ołóż byłoby może dobrze, aby wrócić do robienia niektórych — prostych przecież — leków właśnie w aptekach. Ponoć — jak mnie o tym poliformalowi pewien aptekarz — przeszkodą w tym jest brak, między innymi... opłatków. Być może się mylę, ale dla mnie argument ten jest po prostu śmieszny. To nawet opłatków nie potrafimy już robić?

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że musi nastąpić poprawa podaży leków. Kiedy to nastąpi? Odpowiedź na to pytanie jest dość trudna. Jeśli się nie zmieni tempo prac — to przyjdzie nam długo na ten postęp poczekać. A czekać nam nie wolno.

Stary doktor, człowiek bywały w świecie, który jadł chleb pieczony w różnych piecach i pełnił różne stanowiska w służbie zdrowia, powiedział mi kiedyś:

— Wie pani, ja nawet wolę w ogóle nie brać leków, kiedy mi dają ich mało.

Zdziwiłam się.

— Jestem już za stary — wyjaśnił doktor — aby mieć problemy moralne. Gdy bowiem 10 chorób potrzebuje leku, a ja go mam tylko dla 4, muszę dokonać wyboru. Według jakich kryteriów? Dlaczego mam jednych skazywać na cierpienie a innym pomagać? Wedle jakiego to prawa? Kto mi takie prawo dał?

— Ale tak wszyscy jednako cierpią.

— Pomagam im jak mogę, ale nie dzielę na lepszych i gorszych.

Wielu lekarzy często staje wobec takiego problemu moralnego. Jak się zachowują? Jakiego dokonują wyboru? Jakimi kryteriami posługują się?

CZY JEST JAKIEŚ WYJŚCIE Z TEJ SYTUACJI?

Musi być wyjście. I trzeba je szybko znaleźć. Przede wszystkim warto się zastanowić, czy produkcja leków musi podlegać Ministerstwu Przemysłu Lekkiego i Chemicznego? Swego czasu już postulowano, aby produkcję leków przejęło Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej. Sprawa jest zbyt poważna, aby nad takim projektem nie zastanowić się ponownie. Nie wiem, jakie były argumenty za propozycją tę odrzucono, ale jakie by one nie były, sprawa jest ważna, poważna i warto jeszcze raz do niej wrócić.

Co to da?

Ano powstanie taki układ organizacyjny, w którym produkcja, dystrybucja i określanie potrzeb będą w jednym ręku i nikt nie będzie się mógł tłumaczyć, że czegoś nie wie, że mu nie powiedziano, że nastąpiła „awaria na łączach”. Teraz bowiem tak się często zdarza. Przykłady tego można znaleźć w protokole wspomnianego tu już posiedzenia sejmowej komisji z 16 września 1986 roku.

Stanisław Koba: — Stale jest brak leków antyaminokalkinowych i innych, niezbędnych przy leczeniu różnego rodzaju schorzeń wrotnych. Z przyczyną muszę powtórzyć, że nadal brak maści przeciwświądowej i środków stosowanych przeciwko wszawicy. Brak jest igieł, strzykawek, cewników.

Minister Edward Grzywa: — Jeśli chodzi o sygnalizowany tu brak maści przeciwświądowej — chcę stwierdzić, że nasze zakłady mogą wyprodukować każdą ilość takiej maści, (Szum na sali). Naprawdę — nie ma żadnych trudności z produkcją tej maści. Być może jest ona zbyt tania i dlatego zakłady nie chcą jej wytwarzać.

Wicedyrektor departamentu weterynarii w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej, Jerzy Zajac: — Chciałem przekazać Komisji niepokojące wiadomości z produkcji leków dla potrzeb weterynarii. Wykażę nam się baza produkcyjna, tj. trzy przestarzałe zakłady dysponujące również przestarzałą technologią. Brak też surowców do tej produkcji. W sumie rzutuje to na fatalny stan zaopatrzenia w leki dla zwierząt. Sprawa zdrowia zwierząt wiąże się zaś w bliski sposób ze zdrowiem ludzi. Weźmy np. „modrą” ostatnio salmonellę: należałoby zwalczać ją przede wszystkim u drobiu. Jeśli lekarz weterynarii nie ma czym leczyć zwierząt, to pociąga to zagrożenie również dla ludzi.

Minister Edward Grzywa: — Dziwię się też wypowiedzi w sprawie leków weterynaryjnych. Produkcja tych leków zwiększyłaby czterokrotnie i nie powinno ich brakować. To samo dotyczy sody kaustycznej. Świadczy to o czyjejś nieudolności, ale nie bardzo umiem odpowiedzieć na pytanie: czyje? Na zarzut, że przemysł farmaceutyczny produkuje niektóre leki czy środki sanitarne w zbyt dużych, albo w zbyt małych opakowaniach, minister Edward Grzywa powiedział:

— Jeśli chodzi o opakowania — a konkretnie o to, czy poszczególne leki powinny być produkowane w mniejszych czy większych opakowaniach — chciałbym stwierdzić, że to nie kto inny, a służba zdrowia powinna sterować w tym przypadku naszą produkcją. My na ogół możemy bez większego trudu przejść z opakowań większych na mniejsze i odwrotnie, ale musimy mieć odpowiedni sygnał, jakie opakowania są leczniczo potrzebne. Jeśli chodzi o penicylinę w dużych opakowaniach, to nikt nam dotychczas nie sygnalizował takich potrzeb.

Wiceminister zdrowia i opieki społecznej, Stanisław Gura: — W związku z poruszaną wielokrotnie w dyskusji sprawą opakowań leków chcę stwierdzić, że zapotrzebowanie na leki w mniejszych i większych opakowaniach wyjaśnimy sobie z resortem chemii w trybie roboczym.

Mam ochotę w tym miejscu wykrzyknąć radośnie: — Lepiej późno niż wcale! I mam nadzieję, że gdyby wszystko było w jednym ręku, pod jednym zarządem, to chyba łatwiej byłoby urzędnikom spotkać się, zebrać ich w jednym pokoju i uzgodnić to, czego do tej pory nie mogą uzgodnić dwa różne ministerstwa. A więc chyba w organizacji kompleksu spraw związanych z lekami są spore rezerwy, których byłoby niewybaczalnym błędem nie wykorzystać.

Poza tym Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej powinno dokładnie ocenić sytuację i możliwości produkcji leków w spółdzielczości, rzemiośle, firmach zagranicznych i usunąć istniejące przeszkody, stworzyć warunki do podejmowania tej produkcji oraz stworzyć system zachęt do rozwijania takiej produkcji. Wykorzystać trzeba wszystkie możliwości. W walce o zdrowie ludzi nie wolno tolerować bezmyślności, niezaradności, nieudolności, głupoty. Tolerowanie czegoś takiego, to już nie błąd, to już coś więcej.

Teraz rozumiem męgo znajomego, który intensywnie pachniał czosnkiem i wcale się tego nie wstydił. Uratować się przed grypą można dość łatwo, lecząc się przeciw grypie też jest czymś, ale już powikłania pogrypowe mogą być niebywale groźne.

Jedno jest w tym całym bagażu pocieszające: są niezbędne leki przeciwko grypie, choć gruźlica nie powinna być społecznym problemem. Ale może nim się stać.

BOGDA MADEJ

Czy musi brakować lekarstw?

Chcemy też dokonać weryfikacji cen leków w porównaniu z kosztami ich produkcji. Czasami przecież cena leku jest niższa niż wartość jego opakowania. Chcemy też zaproponować, aby od 1987 roku wprowadzić tzw. opłaty manipulacyjne przy wydawaniu leków na recepty w wysokości 10—20 procent wartości leku. Uważamy, że te posunięcia uchroniąby nas od przywrócenia odpłatności za leki dla pewnych grup ludności, korzystających obecnie z leków bezpłatnie.

Przedstawiciel PRON, Marian Garlicki: — Jeśli chodzi o podwyżkę cen leków — wydaje się, że nie można o niej mówić teraz, gdy dopiero co oficjalnie zapowiedziano, że do końca bieżącego roku żadnych podwyżek cen już nie będzie. Musimy się też zastanowić, w kogo uderzy projektowane wprowadzenie opłat manipulacyjnych przy realizacji recept. Są przecież resorty, których pracownicy — skądinąd bardzo liczni — nie nie płacą za lekarstwa. Oni więc chyba nie będą również płacić za recepty. Z drugiej strony jest liczna, bo licząca aż 5 milionów osób, grupa emerytów i rencistów, którą raczej trudno byłoby obciążać opłatami za lekarstwa. Trzeba jednak widzieć i ten problem, że ułóż nie emeryci i renciści biorą dużo lekarstw na zapas — często w obawie, że danego leku może zabraknąć. Zdarza się zresztą istotnie, że niektórych leków potrzebnych dla chronionych chorzyb osób w pewnych okresach w ogóle nie można dostać. Odpłatność za leki, to nieprosta sprawa. Trzeba ją dokładnie przemyśleć, zanim podjęte zo-

zaopatrzenia aptek i szpitali w lekarstwa i środki szpitalne. Zwracanie pieniędzy przez ZUS — to już zupełnie chybiona propozycja, gdyż musi się ona skończyć rozkładem biurokracji. A przecież ponoć brakuje ludzi do pracy.

Czy wprowadzenie odpłatności za leki zlikwiduje dużą grupę ludzi, którzy dostają je bezpłatnie? Nie sądzę. Znajomy lekarz potwierdził w całej rozciągłości mój pogląd.

— Jeśli służba zdrowia nie będzie dostawała darmo leków — powiedział w nadmiarze szczerości — to jakaś część będzie je... kradła.

Wprowadzenie odpłatności za lekarstwa nie rozwiąże też problemu ich marnotrawienia. Przecież leki marnotrawi się też w szpitalach. Na przykład płyny infuzyjne produkuje się w pojemnikach 250 i 500 ml, a dzieciom daje się tylko 50 ml, co z resztą? Po prostu resztkę wylewa się. Szczególnie teraz, po tragedii z nlemoniakami we Włocławku. Lekarze dokładnie znają prawdę o marnotrawieniu leków. Leczenie grypy antybiotykami, czyż nie jest marnotrawieniem leków, gdy pomóc może kwiat lipowy, polipyrina i ciepłe łóżko?

Rozumiem nawet lekarza, który zapisuje babci żądany lek, bo sąsiadce pomógł, a sąsiadka choruje na to samo, co i ona, czyli na wszystko, bo na starość. Babcia poczuje się lepiej, a lek jej nie zaszkodzi, bo inaczej lekarz tego nie przepisał. Ale babcia wiele zrobiła dla nas, jej potomnych, coś więc jej się od nas też należy.

A skoro już mowa o pieniądzu, to warto byłoby się za-

procent niż w roku poprzednim, w 1984 — o 19 procent w stosunku do podaży z roku 1983, w roku 1985 o 31 procent w stosunku do poziomu z roku 1984. Jest niby lepiej, a wszyscy zgodnie oświadczają, że jest gorzej. Lekarstwa znikają z aptek błyskawicznie, ciągle ich brakuje, ludzie biegają po aptekach, aby usłyszeć na ogół: — Nie ma i nie wiadomo kiedy będzie!

Już w 1982 roku rząd przyjął operacyjny program poprawy zaopatrzenia w leki i środki sanitarne. Program ten nadal obowiązuje. W kwietniu 1984 roku podjęto decyzję nr 19, która przewidywała wykonanie 68 zadań modernizacyjnych w przemyśle farmaceutycznym. W marcu 1985 roku rząd podjął uchwałę nr 36, która określała 134 zadania inwestycyjno-rozwojowe. Z zadań, ustalonych w kwietniu 1984 roku wykonano 24, 26 jest wykonywanych, z czego do końca 1986 roku ma być zrealizowanych 14. Pozostało do wykonania 30 zadań. Z zadań nakreślonych w uchwale nr 36 rozpoczęto realizację 55, przy czym są one — jak na razie — w fazie projektowania. Realizację uchwalił NIK i stwierdziła, że program rozwoju i modernizacji przemysłu farmaceutycznego jest poważnie opóźniony. W ogóle tempo pracy w przemyśle farmaceutycznym jest bardzo powolne. W tarchomińskiej „Polifarm” od 1978 roku buduje się linię produkcji antybiotyków, ale gdy się ją wreszcie ukończy... będzie zwyczajnie przestarzała.

Bardzo wolno zmienia się technologia produkcji innych



Foto: Grzegorz Gałasiński

SKONCENTROWANIE ZŁOTA NAD GRANICĄ RUMUŃSKĄ

poprzedzone zostało odpowiednimi krokami władz polskich, które z myślą o jego ratowaniu i dalszych losach wyekspediowały w drogę, ze specjalną misją, dyrektora BP Zygmunta Karpińskiego. Jeszcze w Łucku otrzymał on polecenie prezesa BP Byrki udania się do Paryża i Londynu z pełnomocnictwem dysponowania złotem tam przez BP zapasem złota. Jednocześnie dyr. Karpiński podjął starania o umożliwienie przewozu złota przez Rumunię. 9 września późnym wieczorem w Krzemieńcu, gdzie znajdowała się wówczas siedziba MSZ, w trakcie spotkania z wiceministrem spraw zagranicznych Janem Szembekiem, ustalili on zakres działań koniecznych do podjęcia przez MSZ w sprawie transportu złota.

Natychmiast zredagowano depeszę do ambasadora BP w Bukareszcie, Rogera Raczyńskiego, która zawierała polecenie podjęcia kroków w celu wyjednania u rządu rumuńskiego zgody na „przywóz, przewóz i wywóz złota”. Sugerowano jednocześnie zapewnienie przez stronę rumuńską zarówno środków transportu wraz z ochroną, jak i zezwolenia na tranzyt dla 20 konwojentów polskich. Równoległe podjęto kroki dla utworzenia dalszej drogi dla transportu. Ponieważ krajem docelowym miała być Francja, skorzystano z pośrednictwa znajdującego się wraz z całym korpusem dyplomatycznym w Krzemieńcu, ambasadora Francji w Polsce Leona Noël, którego poinformowano o projektowanej drodze transportu złota, sugerując jednocześnie przewiezienie go przez Morze Czarne i Śródziemne na francuskim okręcie wojennym, o czym Leon Noël powiadomił swoje władze.

Po tych ustaleniach dyr. Zygmunt Karpiński wraz z p.k. Adamem Kocem, który tymczasem otrzymał dyspozycję rządową w sprawie reprezentowania interesów polskich u aliantów, pośpiesznie ruszyli ku granicy rumuńskiej, którą przekroczyli 12 września 1939 r. w Zaleszczykach. Na krótko stanęli w Czerniowcach, gdzie w Konsulacie RP zapoznali kierownika tej placówki Tadeusza Buynowskiego z przygotowywaną akcją.

Czerniowce — skupisko dość licznej Polonii, stawało się właśnie w tych dniach ośrodkiem, gdzie zaczęły się ogniskować różnorodne problemy będące następstwem przegranej kampanii wrześniowej. Już wkrótce miało to przyjąć formę wielką falę uchodźców, łącznie z najwyższymi władzami państwowymi. Sprawa złota wyprzedziła te wydarzenia, albowiem 11 września 1939 r. rząd rumuński poinformował ambasadora Rogera Raczyńskiego o zgodzie na tranzyt polskiego złota do Konstancy. Strona rumuńska oddała do dyspozycji pociąg na trasie Sniatyn — Konstanca wraz z odpowiednim konwojem ochronnym. Jednocześnie nalegała na jak najszybsze przeprowadzenie operacji, co było podyktowane chęcią uprzedzenia nieuniknionych protestów niemieckich w tej sprawie. Przychylności rumuńska była tak daleka, iż oddano do dyspozycji sekretarza ambasady RP w Bukareszcie Wojciecha Krzyżanowskiego samolot wojskowy z pilotem, aby przyspieszyć jego przelot na granicę polsko-rumuńską.

Dzięki temu Wojciech Krzyżanowski, razem z towarzyszącym mu od Czerniowców, gdzie wylądował samolot, konsulem Tadeuszem Buynowskim, znaleźli się szybko w Sniatynie. Tam dokonali ostatecznych ustaleń z przybyłymi ekipami konwojującymi złoto, wyznaczając termin odjazdu pociągu do Konstancy na 14 września 1939 r. — przez rumuński punkt graniczny Grigore Ghica Voda. O szczegółach tych uzgodnień Wojciech Krzyżanowski poinformował po powrocie do Bukaresztu, rankiem 14 września wiceministra Vantu, który z ramienia władz rumuńskich nadzorował całą akcję.

1200 SKRZYŃ ZE ZŁOTEM

o wadze 70 kg każda, zostało już załadowanych na podstawiony pociąg i wkrótce komendant stacji Sniatyn por. Gawryłowicz zameldował o przekroczeniu granicy przez transport. W ocenie świadków i obserwatorów tej akcji odbyła się ona nadzwyczaj sprawnie i po kilkunastu godzinach pociąg dotarł, 15 września 1939 r., na miejsce przeznaczenia. W Konstancji oczekiwali już na ładunek niewielkie tankowce brytyjskie „Eocene”, którym brytyjski wicekonsul w Konstancji sir Denis Wright, zlecił tę misję. Dzięki ofiarnej postawie konwoju i z pomocą tragarzy w kilka godzin uporano się z wyładunkiem. Pośpiesz był konieczny ze względu na podjętą już w Bukareszcie kontrakcję niemiecką.

Poseł Rzeszy dr. Wilhelm Fabricius interweniował w tej sprawie u ministra spraw zagranicznych Rumunii Grigore Gafencu, argumentując, iż przepuszczenie złota polskiego przez Rumunię stanowi jaskrawe naruszenie neutralności (ogłoszonej przez Rumunię 6 września). Gafencu wręcz wyparł się wszystkim, niemniej zachowanie akcji w tajemnicy było niemożliwe. O naciskach niemieckich natychmiast poinformowano dowódcę „Eocene” kpt. Bretta, dodając, że musi się liczyć nawet z możliwością ataku lotniczego.

W ostatniej chwili przed podniesieniem kotwicy zawiadł się na pokładzie statku z listem dla jego kapitana, Wojciecha Krzyżanowskiego i z-cą attaché wojskowego mjr. Maran Zinnal. List, jak się okazało, pochodził z brytyjskiego poselstwa i zawierał jedno krótkie zdanie:

„Proszę Pana Kapitanie o udanie się do Konstancy, gdzie otrzyma Pan dalsze instrukcje od Ambasady Jego Królewskiej Mości”.

Wykonanie tej dyspozycji nastąpiło natychmiast i „Eocene” trzymając się wód terytorialnych i w całkowitym zaciemnieniu, nocą,

odbywała podróż. Na łaskę losu złożony był nie ubezpieczony ładunek szacowany na ponad 330 mln zł. Transport konwojowała nadal 20-osobowa grupa Polaków z p.k. Matuszewskim (towarzyszyła mu żona, była świetna sportsmenka, zdobywczyni pierwszego złotego medalu olimpijskiego dla Polski, Halina Konopacka) i mjr. Henrykiem Floyar-Rajchmanem.

„Złoty statek” stanął na redzie w Bosforze 16 września 1939 r. i przebywał tam przez 4 dni. Przedmiotem negocjacji z władzami tureckimi, w których pośredniczył ambasador RP w Turcji, Michał Sokolnicki, były dalsze losy transportu. Turcy zaproponowali bowiem zdeponowanie walerów w miejscowym Oddziale Banku Otdomskiego, na co p.k. Matuszewski nie wyraził zgody. Rozmowy doprowadziły w końcu do decyzji o dalszej ewakuacji złota drogą lądową, do portu w Bejrucie, gdzie miały oczekiwać na francuskie okręty wojenne. Nie mogły one przejąć ładunku w Bosforze, wobec sprzeciwu Turcji na ich wejście na tureckie wody.

W tej sytuacji, po kolejnym przeładunku złotego bagażu, tym razem do specjalnego pociągu o składzie 9 wagonów towarowych, a także restauracyjnego i 2 sypialnych, transport ruszył w drogę. Trwała ona 3 doby z przerwą w Ankarze, gdzie załadowano specjalnej opłaty przewozowej, którą uiszczono dzięki pomocy ambasadora Michała Sokolnickiego. Tuż przed Bejrutem trzeba było kolejny raz przeładować 70-tonowy ładunek na wąskotorową kolej dojeżdżającą do portu. Tam oczekiwał już na załadunek francuski krążownik „Emile Bertin”.

Gdy polskie złoto wędrowało po świecie

Po uzgodnieniu ze stroną francuską zdecydowano się, postępując w myśl zasady rozłożenia ryzyka, na przewóz złota w 3 partiach.

„Emile Bertin” wziął na pokład dokładnie 888 skrzynek, w kilka dni później pozostała część załadowano na dwa okręty „Vauban” i „Epervier”. Okręty szczęśliwie dopłynęły do Tulonu, skąd przewieziono złoto do Oddziału Banku Francuskiego w Nevers. Pierwszy etap wojennego szlaku złotego ładunku zakończył się 18 października 1939 r., gdy specjalna komisja przedstawicieli Banku potwierdziła fakt przejęcia w nienaruszonym stanie 1200 skrzyń ze złotem.

Dalsze losy tego transportu zaprowadziły go po klęsce Francji

W 1940 R. NA ŁĄD AFRYKAŃSKI,

gdzie po drodze przez Casabiankę i Dakar, władze francuskie złożyły go w forcie Kayes w głębi Sahary. Spoczywał tam aż do 1944 r., kiedy to w wyniku porozumienia zawartego między przedstawicielem BP, Stefanem Michalskim a reprezentującym rz. gen. de Gaulle’a, min. Mendes-France’a, znalazł się ponownie w dyspozycji Banku. Przewieziony w dwóch transportach do Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii wymagał następnie podjęcia szeregu starań o jego przejęcie przez władze Polski Ludowej. Przywrócenie Bankowi Polskiemu prawa dysponowania złotem nastąpiło w grudniu 1946 r. (Stany Zjednoczone) i czerwcem 1947 r. (Wielka Brytania).

Inne koleje przechodził 4-tonowy transport ołączony jak już wspomnieliśmy, od głównego składu w Dubnie. W związku z niepomyślnym rozwojem wydarzeń militarnych nie został on, jak zamierzano, użyty na cele wojenne i z kilkudziesięciu opóźnieniem znalazł się na terytorium Rumunii. Transport kierowany przez Franciszka Czernichowskiego dołączył tam do zasadniczej ekipy bankowej, która w liczbie z górą 100 osób przekroczyła granicę 17 września 1939 r. w Kutach.

Polączona ekipa przebywała przez 4 dni w Czerniowcach, gdzie opierając się na dyspozycji wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego danej 16 września w Kosowie, Bank Polski sprzedał Narodowemu Bankowi Rumunii (BNR) 251,4 kg złota uzyskując w zamian kwotę 59,1 mln lei. Operację tę przeprowadzono celem przyjsia z pomocą tysiącom uchodźców (około 50 tys.), którzy często bledź żadnych środków do życia znaleźli się w Rumunii. Po uzyskaniu pozwolenia na dalszą drogę, transport wraz z ekipą bankową ruszył do Bukaresztu, gdzie pierwsze jego samochody dotarły 25 września 1939 r. Nikt się wówczas nie spodziewał, że w ten sposób rozpoczyna się 8-letni okres pobytu tej partii złota w stolicy Rumunii.

Do zablokowania tego ładunku doszło 8 października 1939 r., kiedy

WŁADZE RUMUŃSKIE ODKRYŁY,

iż ze złożonych w piwnicach dawnego Marmarosch Blank Bank skrzynek, ubywało złote sztabki. Wynosił je na polecenie kierownictwa BP jego urzędnicy, co powiodło się pięciokrotnie. Uzyskane tą drogą 2 sztabki wysłano drogą dyplomatyczną do Jugosławii, celem spieniężenia ich i uzyskania rezerwy w dinarach na wypłaty dla osiedlających się tam pracowników BP. Pozostałe 3 sztabki przesłano do Paryża za pośrednictwem francuskiej misji lotniczej w Bukareszcie. Po wykryciu sprawy władze rumuńskie wydały zakaz wynoszenia z piwnic Marmarosch Blank Bank jakichkolwiek wartości. Dodajmy, iż decyzja była częściowo spóźniona, bowiem jeszcze we wrześniu polski personel przeniósł do skarbcza w pokoju hotelowym „Royal Palace”, zajmowanym przez jednego z bankowców, złote monety i waluty zagraniczne.

Dostęp do złotego ładunku stał się niemożliwy dla Polaków od 10 października 1939 r., kiedy to rumuńskie władze bankowe przeniosły go do swoich sejfów. Stało się to po uprzednim zważeniu i zaplombowaniu ładunku, który został złożony jako depozyt rzeczowy (tj. skrzynki, nie złoto), co jak sądzono miało w przyszłości umożliwić wywóz złota.

wspierane analogicznymi działaniami radcy ambasady Alfreda Ponikwskiego i Delegata Rządu do spraw Uchodźców M. Arciszewskiego, praktycznie spełniły na niczym. Strona rumuńska zasilała się coraz większymi naciskami niemieckimi, na co w trakcie jednej z rozmów z nowym ministrem spraw zagranicznych Ionem Gigurtu, Mirosław Arciszewski zauważył, iż usiłowania polskie zmierzające do przekazania złota Komitetowi Hoovera byłyby w pewnym sensie zbędne z interesem niemieckim, gdyż Komitet dostarczając produkty żywnościowe do Polski (planowano je zakupić w Rumunii), automatycznie odciałyby część kontyngentu na korzyść Niemiec. Wyjaśnienie to uznał Ion Gigurtu za przekonywujące, niemniej ostateczne rozstrzygnięcie widział w zleceniu Komitetowi Hoovera wyjaśnienia kwestii z władzami niemieckimi (Stany Zjednoczone pozostawały w tym czasie neutralne).

Mirosław Arciszewski uznał, że w tej sytuacji nie można nadal domagać się od Rumunów wydania złota. Jednocześnie przekazał sugestię rumuńską co do dalszego trybu postępowania min. Skarbu Henrykowi Strassburgerowi. Została ona zaakceptowana, bowiem w drugiej połowie lipca 1940 r. zjawił się w Bukareszcie przedstawiciel Komitetu Hoovera na Niemcy, niejaki Hurtigan.

Na podstawie dostępnych dziś materiałów można określić jednoznacznie rolę i charakter jego misji. Otóż po pewnym czasie, w trakcie którego strona polska wprowadziła Hurtiganu we wszelkie zagadnienia związane z depozytem złota, zarówno Polacy jak i Rumuni, na podstawie znanych im wypowiedzi i zachowań Hurtigana, doszli do wniosku, iż faktycznie

DZIAŁAŁ JAKO WYSLANNIK RZĄDU NIEMIECKIEGO.

Ta bulwersująca środowisko alianckie w Bukareszcie sprawa, stała się oczywiście po uzyskaniu od strony rumuńskiej pewnych „przebiegów”, z których wynikało, że Hurtigan dewalutował stronę polską w trakcie rozmów z przedstawicielami władz rumuńskich. Miało to miejsce m. in. w trakcie jego wizyty u min. spraw zagranicznych, jaką uzyskał dzięki wstawianictwu strony polskiej i niejako ją reprezentując. Hurtigan wyrażał wobec Rumunów oburzenie z faktu, iż ambasada polska posiada nielegalną łączność z zagranicą (wcześniej wymógł użycie stacji krótkofalowej w celu rzekomo niezbędnego porozumienia się z przedstawicielem Komitetu Hoovera w Londynie). Był on także najwyraźniej zainteresowany ustaleniem rzeczywistego stosunku rządu rumuńskiego do rządu polskiego na obczyźnie.

W tych okolicznościach stało się jasnym, że trudno liczyć na pomyślne rezultaty „misji”, a zastępujący Stephensa, Hayl wyraził oburzenie i protest wobec działalności Hurtigana, zapowiadając złożenie go w Centrali w Nowym Jorku.

Wyczerpanie środków polubownego załatwienia kwestii złotego depozytu spowodowało, iż sięgnięto do innego rozwiązania — zajęcia równowartości zablokowanego złota na aktywach rumuńskich znajdujących się w Stanach Zjednoczonych. Wcześniejsze konsultacje w tej materii przeprowadzone u prof. Dietricha Schindlera w Zurichu i adwokata Rollina w Brukseli dały pozytywną odpowiedź.

W końcu 1940 r. Bank Polski sceadował swe prawa do złota na rzecz spółki „Commission for Polish Relief” (Comporel) w Nowym Jorku, która wystąpiła na drogę sądową przeciw Narodowemu Bankowi Rumuńskiemu. W wyniku zaskarżenia uzyskano zabezpieczenie na aktywach dolarowych BNR, które zostały zablokowane w kilku bankach Nowego Jorku. Nie oznaczało to jednak przybliżenia się do ostatecznego celu, jakim byłaby możliwość dysponowania tym majątkiem. Otóż w roku następnym władze amerykańskie zdecydowały, że wszystkie zablokowane aktywa zagraniczne pozostaną do końca wojny we władaniu rządów Stanów Zjednoczonych, a pierwszeństwo winny mieć pretensje obywateli amerykańskich przed pretensjami innych państw.

W ten sposób wyczerpane zostały dostępne środki i sposoby, które umożliwiłyby korzystanie ze złota zablokowanego w Rumunii. (Na marginesie zauważmy, że chodziło w tym przypadku o kwotę około 3 mln dolarów, podczas gdy wartość złota spoczywającego w piaskach Sahary wynosiła ok. 64 mln dolarów).

Na ostateczne rozwiązanie tej kwestii przyszło czekać do 1947 r. Wbrew powszechnym oczekiwaniom i obawom okazało się, że złoty depozyt przetrwał cało w sejfach BNR i że Niemcy nie zdołali go dopaść. W kwestii zwrotu 51 skrzynek toczyły się trudne pertraktacje, bowiem strona rumuńska argumentowała, że już w 1942 r. wyczerpane zostały fundusze przeznaczone na utrzymanie uchodźców polskich, będące równowartością polskiego złota. Rokowania rumuńsko-polskie obejmowały także inne zagadnienia związane z mieniem polskim, które we wrześniu 1939 r. znalazło się w Rumunii. W interesującej nas kwestii rozmowy zakończyły się 9 września 1947 r. podpisaniem umowy między Bankiem Polskim a Narodowym Bankiem Rumunii, która postanawiała o zwrocie 2738 kg złota przy jednoczesnym odblokowaniu aktywów rumuńskich w Nowym Jorku. 17 września 1947 r., a więc równo w 8 lat od chwili przekroczenia granicy w 1939 r. złoty ładunek powrócił do Polski.

TADEUSZ DUBICKI

W toku kampanii przedwyborczej do Sejmu i rad narodowych wyborcy zgłosili szereg wniosków i postulatów pod adresem władz lokalnych i instytucji obsługujących rolnictwo, jak również pod adresem władz wojewódzkich i centralnych. W tym czasie nastąpił wzrost rangi komisji współdziałania PZPR, ZSL i SD, zarówno na szczeblu wojewódzkim, jak i w gminach, miastach i dzielnicach. Celem nadrzędnym było porozumienie narodowe, poprawa stanu gospodarki i warunków życia ludności.

Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, jako partia chłopska odpowiedzialna za sprawy wsi i rolnictwa, ma szczególne powody, by zaangażować się w

W porozumieniu z KŁ PZPR ustalono listę stanowisk, na których brak jest ludowców. Przy okazji wyszło na jaw, że niekiedy brakuje ludzi z odpowiednimi kwalifikacjami, których ZSL mogłoby rekomendować na te stanowiska. Niemniej jednak szeregowi członkowie ZSL są zdania, że ludzie rekomendowani przez organizację wojewódzką należy rozliczać z działalności, by nie dopuszczać do wygórnictwa i karierowiczostwa.

Z oceną polityki kadrowej wiąże się modne dziś słowo „atestacja”. Żywa reakcją wywołała tu wypowiedź Kazimierza Włodarczyka, przewodniczącego GRN i wiceprezesa KŁ ZSL w Rzgowie. Wcześniej kańczyc Starowej Góry zwrócili

ty podjął pracę w pewnej instytucji, gdzie zażądano od niego wstąpienia do PZPR. Po rozmowie, jaką przeprowadził na szczeblu lokalnym sekretarz PZPR i prezes ZSL, sprawa przyleciała i było już dobrze, ale ostatnio ten sam ludowiec przyszedł do macierzystego komitetu i oświadczył z ubolewaniem, że będzie musiał wystąpić z ZSL, ponieważ ma nieprzyjemność w pracy i nie może awansować.

Jest to sporadyczny przypadek, niemniej jednak należy podkreślić, że w każdej kontrowersyjnej sytuacji zdecydowane stanowisko zajmuje KŁ PZPR. Zdecydowane, obiektywne i rzetelne w ocenie.

W kampanii przedwyborczej zwracano uwagę ludowców

rolnych i gospodarki żywnościowej KŁ PZPR, WK ZSL, RNML, RŁ PRON. Wizytowano wysypisko odpadów w Pałczewie i Józefowie oraz Grupową Oczyszczalnię Ścieków w Smulsku. Z dużym niepokojem podkreślono narastające zanieczyszczenie środowiska naturalnego. Ale groźba powiało dopiero wtedy, gdy na ten temat zaczęli się wypowiadać uczestnicy plenum. Emitując w atmosferę dwutlenek siarki i tlenek ołowiu podcinamy gałąź, na której siedzimy.

Ludzie jakby zapomnieli, jak ołbrzymie środki przeznacza rząd na ochronę środowiska, mówili więc jedynie o zagrożeniu. Jeden z dyskutantów wywołał, iż głównym trucicielem jest rolnictwo, gdyż ze stosowanych przez nich środków chemicznych i nawozów sztucznych część wchłaniają rośliny, reszta zaś przedostaje się do wody, gleby i powietrza. Ponieważ nawozy sztuczne niszczą próchnicę, należy wrócić do nawozów naturalnych. Nie licząc się z spadkiem plonów dyskutanci postulowali utworzenie gospodarstw ekologicznych, z których zdrowa żywność przeznaczona byłaby dla żołdków, przedszkoli i szpitali.

W grudniu 1986 r. WK ZSL i Komitet Międzyuczelniany ZSL mają zorganizować ogólnopolską sesję popularno-naukową p.t. „Wpływ aglomeracji przemysłowych na środowisko człowieka na przykładzie makroregionu łódzkiego”.

Jeden z uczestników plenum oświadczył, że świadomość chłopska powoli zaczyna wychodzić z opłotków. Co przeświadczała czarna krepka, to współczesność odslania. Wmawiano kiedyś społeczeństwu, że Wincenty Witos to antysemita i nacjonalista, a teraz stawia mu się pomnik. W życiu społecznym nastąpiło pełne odblokowanie.

Być może zerwanie tej krepki sprawiło, że 60 proc. członków organizacji wojewódzkiej ZSL stanowią chłopci. Ale rzecz w tym, że zaledwie 16 proc. wszystkich członków reprezentuje młodzież do lat 29. A przecież przyszłość kraju, jak i siła ZSL zależą właśnie od ludzi młodych. Oni przyjdą do partii chłopskiej, gdy nabiorą przekonania, że ZSL nigdy nie będzie już spełniał roli transmisji, że ma głos decydujący w sprawie wsi i siłę przebić także w terenie. To partia chłopska winna pomagać młodym ludziom w kłopotach związanych z przejmowaniem i zakładaniem gospodarstw.

Wszystko wskazuje na to, że na gruncie wspólnej polityki rolnej ZSL jest szanowanym i cenionym partnerem PZPR, a to napawa optymizmem. Ponieważ tu i ówdzie, szczególnie w terenie, pokutują niekiedy stare nawyki, jest to umiarkowany optymizm.



Mówi: Andrzej Hampel

— Na mieście mówią, że w Łódzkiej Telewizji wszyscy powariowali. Jakież dziwne sztuki dzieją się w Wiadomościach Łódzkich. Ktoś stoi jak słup, inny znów szwenda się po studio, napadają na jakiegoś bogu ducha winnego dyrektora czegoś tam. Co się dzieje?

— A co ma się dziać? Nowe się rodzi, proszę szanownych widzów. Szukamy nowego kształtu, nowej formuły. Głównie dlatego, że w dotychczasowym kształcie programów lokalnych wszystko było nieznacznie statyczne, opatrzone do znużenia, niemal mechaniczne. Dziennikarz prowadzący siedział za biurkiem, czytał z konspektu co tam miał do przeczytania, czasem zagaił nieśmiało rozmowę z zaproszonym gościem, który przynudzał rozwiłkę. Mieliliśmy dość. No, a poza tym realizatorom programów piaszczyły się czoła opadające z nudów na białe. Siedzieli, wciskali guziczki włączające czołówkę, albo poszczególne kamery, też zresztą nieruchome. Ile można?

— I zaczęliście, od rozgardiaszu, zamieszania i zrywania wszystkich z krzeseł?

— Zaczęliśmy od zainwestowania w nową podłogę w studio, bo w starej były takie dziury, że nie można było ruszyć kamer. Inwestycja kosztowała nas 700 tysięcy złotych, mamy posadzkę ze sztucznego tworzywa. A w międzyczasie rodziły się nam pomysły. Rodziły się tak około dwudziestu miesięcy...

— I wykuliście wam potworka na pięciu nogach w tym cztery lewe?

— A czy ja mówię, żeśmy już skończyli z pomysłami? Na razie próbujemy. Były koncepcje, żeby zaaranżować studio w stylu salonu z mebelkami biedermayer, z kanapkami trójciotycznymi, coś w guście programów Ireny Dziedzieli. Ale chyba przeważała koncepcja bardziej ruchliwa. Maksymalne wykorzystanie techniki telewizyjnej, zwłaszcza blue boxu czyli możliwości nakładania na siebie obrazów, wielkich zbliżeń, ruchomych plansz itd. Maksimum informacji, migawek, dużo czasu dla zapraszanych gości, zwięzłość i konkret. No i bez nadmiaru dworskości: przybył, uświetnił, przeciął, ale pani to lepiej skreśli.

— Polapał się pan już na czym polegała telewizja?

— Od blisko roku staram się. Ale to chyba nie jest możliwe tak zupełnie do końca. Najpierw dlatego że stan techniczny telewizji w Polsce przyprawił o palpitację serca. To jest ciągły balans na granicy wypadki, skandalu i generalnego zawalu. Spręż jest tragiczny, pieniędzy nie ma, a w dodatku Telewizja co i raz wstrząsa demon reorganizacji. Właśnie próbujemy się pozbierać po kolejnej. Za prezesa Wojciechowskiego z jednej telewizji zrobiły się dwie, niezależne instytucje. Jedna — Ośrodek Telewizyjny, czyli dziennikarskie, koncepcje programowe, słowem nadbudowa, z osobną kasą, księgowością i administracją. I druga — Zakład Techniki Telewizyjnej czyli techniczna baza telewizji, z taką odrębną administracją. Oczywiście także z różnymi placami, uprawnieniami itd. Jedna instytucja zamawiała u drugiej zaplecze techniczne do realizacji programów, a druga pierwszą wystawiała rachunki za wynajem bazy. Teraz to trzeba na powrót zebrać do kupy, zintegrować rozbitą strukturę, wyrównać haniebne dysproporcje placowe. Całkiem możliwe, że od strony ekranu wygląda to jak plac po najeździe tatarskim, ale myślę, że coś rozsądnego z tego się urodzi.

— Czy jest pan człowiekiem sukcesu?

— Raczej tak. Udało mi się w życiu kilka razy być w samym środku ważnych wydarzeń. Ważnych w skali kraju, całego społeczeństwa. Jestem człowiekiem publicznym, z potrzeby i zamiłowania. Nie mógłbym żyć w powtarzalnym rytuale tych samych czynności od pierwszego dnia pracy do emerytury. Wiedząc, co mnie spotka jutro, za tydzień co będę robił za miesiąc. Udało mi się nie zgnuśnić w jednym miejscu Robilem w życiu parę rzeczy. Epizodycznie pracowałem w szkole i w handlu zagranicznym, kilka lat byłem cenzorem...

— A za kogo się pan uważa?

— Za dziennikarza. Parę lat przepracowałem w łódzkiej prasie i dziennikarstwo uważam za sedno swojego życia.

— A potem poszedł pan w decydenty?

— Owszem. Zostałem kierownikiem Wydziału Propagandy Komitetu Łódzkiego. I uważałem się za przedstawiciela dziennikarstwa w kierownictwie politycznym województwa.

— Po czym sekretarzem KŁ PZPR do spraw propagandy po ogłoszeniu stanu wojennego. Szczególny czas dla polityka.

— Tak. Miałem możliwość podejmować wiele działań znaczących dla środowiska dziennikarskiego. Brałem udział w kształtowaniu linii polityki kulturalnej, informacyjnej i propagandowej w Polsce. To bardzo cenne doświadczenie w życiu i przyspieszona edukacja polityczna. Uważam ten okres za bardzo dla siebie ważny. Wiele dowiedziałem się o mechanizmie sprawowania władzy, spór o ludziach, z rozczarowaniami i oczarowaniami włącznie.

— W środowisku dziennikarskim regionu łódzkiego mówiło się, że był pan nierówny wobec dziennikarzy. Raz dobrułiwa fraterizacja, to znówu lodowaty dystans i znamiona wszechmocnego decydenta?

— To znaczy, że popełniałem także błędy. I niby dlaczego miałbym się do tego nie przyznać? Jak widać jednak nie wessała mnie polityczna kariera na amen. Wróciłem do zawodu pamiętając o zasadzie „dłuższy dziennikarza jak sekretarza”. A poza tym ja nie jestem dolar amerykański, żeby wszyscy bez wyjątku mnie lubili, żebyam wszystkich zadowalał.

— Czy lubi pan kobiety?

— Tak, bardzo. Kobieta jest najlepszym przyjacielem człowieka. Moi koledzy mówią, że kobieta to jest odpowiednik wojownika. Dla mnie jest to nieustające oczarowanie, inspiracja i ładowanie akumulatorów.

— Chce pan zostać Prezesem Radia i Telewizji?

— A po co? Na razie wiem, że na parę lat będę miał co robić tu gdzie jestem. Telewizja to jest kompletnie zwirowany młyn, pełen ludzi całkowicie oszalałych na punkcie swojej pracy, pełen niespodzianek, zaskoczeń, dziania się. No i bardzo dobrze. Tego mi trzeba. A co dalej? Nie wiem. Na pewno nie będę odcinał kuponów na spokojnej posadzie. Nie umiem. A jak już będę stary, na co się nie zanosi, bo Małuzalem łódzkiego dziennikarstwa Mieczysław Jagoszewski jest wyjątkiem od reguły wczesnego umierania w tym fachu, więc jak będę starszym panem, zacząć może pisać pamiętniki.

— I napisze pan w nich to, czego nie chciał mi pan teraz powiedzieć?

— Poniekąd. To nie znaczy, żebyam był nieszczerzy kunkiator. Jest wiele takich spraw, które może kiedyś powiem, a może nawet wykrzyczę. Jeszcze nie teraz. Kiedyś przy wodce, wzbierze to wszystko i się wyleje, o czym nie chcę teraz opowiedzieć. Sporo tego się zbierze.

— To jak już w panu wzbierze i zacznie pan zeznawać, to ja chcę przy tym być i rezerwuję sobie prawo pierwokupu do publikacji. Zgoda?

— Zgoda.

Rozmawiała: JOLANTA WRÓNSKA

Odblokowanie

prace związane z wyborami oraz patronować realizacji postulatów wyborczych. Ponieważ minęły prawie trzy lata od IX Kongresu i dwa lata od IV Wojewódzkiego Zjazdu ZSL, nadszedł czas na dokonanie bilansu i podsumowanie wykonanych dotąd zadań. Okazją ku temu stało się plenarne posiedzenie WK ZSL w Łodzi, któremu przewodniczył wiceprezes WK, Zdzisław Ignaczak.

Z materiałów plenarnych i referatu wygłoszonego przez prezesa WK ZSL, Jerzego Chojnackiego, jak też z licznych głosów w dyskusji, można wyciągnąć kilka wniosków natury ogólnej, mniej lub bardziej optymistycznych.

Niewątpliwie pozytywnym jest fakt, iż w ciągu dwóch lat liczba członków ZSL wzrosła o blisko 300 osób i wynosi obecnie 4810. Jak na najmniejszą województwo, liczące 11 gmin, nie jest to mało, ale byłoby dobrze, gdyby na V Zjeździe organizacja wojewódzka liczyła 5 tys. członków. Wydaje się jednak, iż rzecz nie polega li tylko na ilości, lecz na jakości. Okazuje się bowiem, że w 54 sołectwach w ogóle nie ma ogniw ZSL, a 65 kół liczy poniżej 10 członków, a 132 kół posiadają od 11 do 20 członków. Kół najmniej aktywne wymagają większej opieki i troski, czekają na częstsze kontakty z pracownikami szczebla wojewódzkiego. Poza tym zdarzają się też pseudodziałalce, którzy myślą tylko o tym, by przeżyć do kolejnego Zjazdu, a dalej jakoś to będzie.

Są to nieliczne przypadki, lecz ZSL nie może tego tolerować. Nie może, ponieważ w ostatnich dwóch latach przedmiotem szczególnego zainteresowania WK i jego Prezydium stała się sprawa zwiększenia liczby członków ZSL na stanowiskach kierowniczych w administracji państwowej, w przedsiębiorstwach (głównie rolniczych) oraz instytucjach.

się doń z postulatami o przyłączenie ich wsi do łódzkiej sieci wodociągowej. Sprawa ni by prosta, bo miejski wodociąg błędnie dosłownie pięć metrów od zabudowań wsi. Włodarczyk zwracał się z tym do różnych dyrektorów i każdy mówił mu: „Nie!” Nie pomogły liczne pisma, pojechał więc do Warszawy, zamówił audiencję w Radzie Państwa, przedstawił sprawę Tadeuszowi Szlachowskiemu i została ona załatwiona, w związku z czym Włodarczyk złożył na plenum serdeczne podziękowania Tadeuszowi Szlachowskiemu.

Wtedy inny z dyskutantów zapytał, czy nie jest żenującym fakt, że sprawę wodociągu trzeba załatwiać w Radzie Państwa. A może by tak powstała wspólna komisja WK ZSL, KŁ PZPR i KŁ SD i tak przetestować dyrektorów, żeby ludzom żyło się lepiej, żeby w Łodzi i województwie nie było spraw niemożliwych do załatwienia. Jeśli dyrektor przez 12 lat zarządza sześć różnych przedsiębiorstw, to nie powinna go chronić ani czerwona, ani zielona legitymacja.

Koalicyjny system sprawowania władzy poszerza bazę społecznego działania i sprzyja demokratyzmowi w podejmowaniu decyzji. Sek w tym, że nie wszystkie ognia ZSL, SD i PZPR o tym pamiętają. Jeśli na szczeblu centralnym jest bardzo dobrze, jeżeli w województwach jest dobrze, o czym świadczy praca Wojewódzkiej Komisji Współdziałania Międzypartyjnego w Łodzi, to w gminach i miasteczkach zdarzają się jeszcze przypadki niezdrowej rywalizacji, przeciągania na swoją stronę, nie pojętej walki o autorytet. Na szczęście przypadki tej swego rodzaju wojny podjazdowej są nieliczne, ale i one nie sprzyjają porozumieniu narodowemu. A tymczasem do rozwiązania pozostaje dość smutna i znamienita historia członka ZSL, który przed dwoma la-

m.in. na lepsze dopracowania aktów prawnych, poprawę warunków życia rencistów i emerytów, usprawnienie funkcjonowania reformy gospodarczej, rozbudowę placówek kulturalno-oświatowych. WK ZSL podejmował odpowiednie działania w tym kierunku, są jednak sprawy, których nadal nie daje się rozwiązać. Istnieje taka paradoksalna sytuacja, że rolnik emerytalny nadal opłaca składki emerytalne, proponuje się zniesienie punktów preferencyjnych, co spowoduje zmniejszenie liczby studiującej młodzieży chłopskiej, której na studiach i tak jest mało. A jak może funkcjonować reforma gospodarcza, skoro utrzymuje się na siłę wielkie kombinaty ogrodnicze, przynoszące deficyt w setkach milionów złotych, za które można by np. budować wodociągi na wsi. Jak wznosić nowe szkoły, skoro zniechęca się ludność i zamraża czyny społeczne?

Mówiąc o wsi, porusza się przede wszystkim problemy ekonomiczno-gospodarcze. Ktoś stwierdził: „Prześciliśmy mówić o cielatkach, są jeszcze dzieci”. Na plenum nie mówiono o dzieciach, ale spraw czysto rolniczych też poruszano niewiele. Nikt nie narzekał na lawinowo rosnące ceny na środki do produkcji rolnej, nb. nie najlepszej jakości, zwrócono za to uwagę na skup płodów rolnych. W skupie, transporcie i magazynowaniu nadal marnuje się 30 proc. żywności. Różnica między ceną skupu a ceną w sklepach są tak ogromne, że tylko plakać i zgrzytać zębami. Na dodatek Spółdzielnia Ogrodnicza nie jest w stanie kupić od producentów zakonfraktowanych pomidorów, a tymczasem na półkach sklepowych coraz więcej koncentratu pomidorowego sprowadzonego z różnych stron świata. Kto to wymyślił i komu to potrzebne?

Wydział ekonomiczno-rolny WK ZSL odbył wspólne wyjazdowe posiedzenie komisji

RYSZARD BINKOWSKI



Foto: Grzegorz Gałasiński

Ludowe rytmy Afganistanu ze wsi Sangona



czy wiosna idzie, kochana moja —
gdy ty przychodzisz?
czy nastał znowu czas tulipanów —
gdy ty przychodzisz?
nasze spotkanie wśród krótkiej wiosny
gdzieś przemigło,
znikają płatki białego śniegu —
gdy ty przychodzisz.



pamiętaj mnie, Sabzino, chociaż w sercu
ciemnie —
weź pamiętkę ze ślany, która błyszczy nocą,
bo przecież mnie sprzedali i wzięli przemocą —
więc do mego powrotu zachowaj ją wiernie.



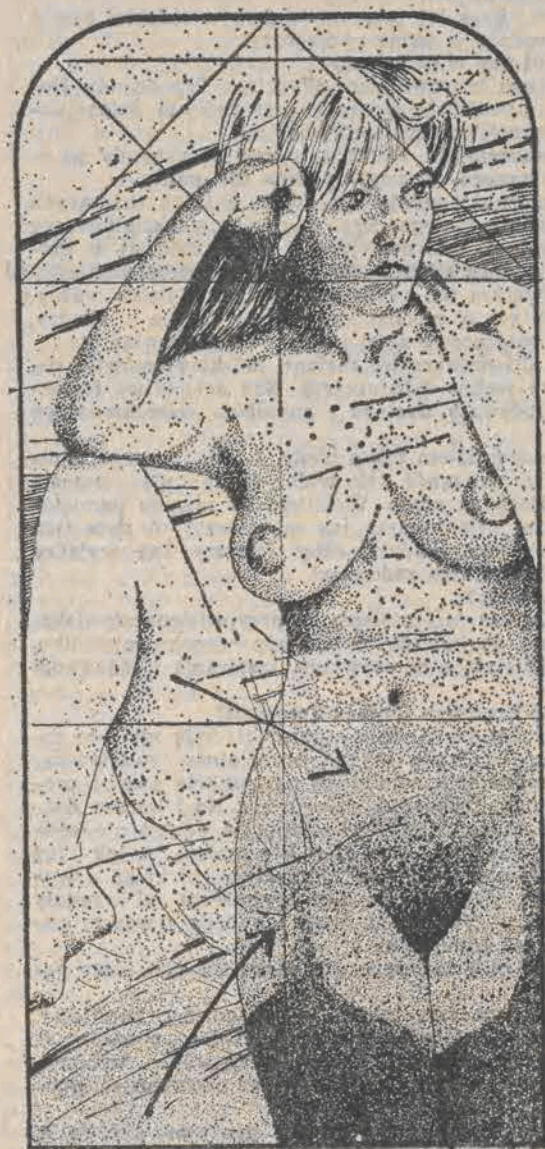
ochłupie powiedział
twoje paluszki dla pierścieni —
co dla mnie więc pozostało?
do twojego serca chętnych wielu —
co dla mnie więc pozostało?
jak słodki owoc granatu
twoje piersi dwie
dla innych ukryte głęboko —
co dla mnie więc pozostało?

a dziewczę na to:
moje paluszki dla pierścieni —
lecz one tylko dla ciebie,
do mego serca chętnych wielu —
lecz one tylko dla ciebie,
jak słodki owoc granatu
moje piersi dwie
dla innych ukryte głęboko,
bo one tylko dla ciebie.



przyszłaś cicho łanami pszenicznej zieleni,
czarny brylant twych oczu płomieniem się
jarzy —
krążę wokół brylantu błyskających cieli
i krążę uwieczniony pięknem twojej twarzy.

Tłumaczył:
JERZY GLUSZEK



Rys. Janusz Szymański-Głane

Srodki, przy pomocy których tłumacz winien odtworzyć koloryt lokalny zawarte są w samym utworze literackim. Cóż jednak począć, gdy tłumacz nie zna języka oryginału i zmuszony jest korzystać z przekładu filologicznego, tak zwanej „rybki”? Jest oczywiste, że w przekładzie filologicznym koloryt lokalny, jeśli w ogóle jest przekazany, to w stopniu bardzo ograniczonym, przygluszonym, tak że odczuć go jest niemiernie trudno, a jeszcze trudniej przekazać go w tłumaczeniu. „Rybki” wierszy dwóch różnych poetów w warstwie językowej mogą się prawie niczym nie różnić, oprócz może tematu, i oczywiście nie dają żadnego wyobrażenia o artystycznym poziomie oryginału.

Czy wobec tego możliwe jest w ogóle odtworzenie kolorytu lokalnego na podstawie przekładu filologicznego? Odpowiedź brzmi: tak, ale... zrobić to może tylko doświadczony i bardzo dobry tłumacz. Przede wszystkim musi on ustalić, co w danym utworze może stanowić o kolorycie lokalnym, to znaczy ustalić miejscowe realia, język danej społeczności, tradycje obyczajowe i mnożstwo innych ważnych komponentów. A przecież nie będzie to jeszcze wystarczające, gdyż w każdym utworze jest zwykle coś jeszcze, co współtworzy koloryt lokalny i określa charakter utworu. Tłumacz winien więc wyłowić ten charakter i przenieść go w obszar innego języka, w inny krąg kulturowy, w inną warstwę brzmieniową. Oczywiście jest, że nie sposób dokonać tego bez znajomości historii, tradycji, kultury, całokształtu życia narodu, w którego języku tłumaczony utwór powstał. W szerokim znaczeniu koloryt lokalny można utożsamiać z narodowością.

Czy istnieją konkretne, recepturalne sposoby jego odtworzenia? Nie. Sposobów tych istnieje tyle, ilu jest tłumaczy. Najbardziej ważny jest wybór odpowiednich środków artystycznych do konkretyzacji zasygnalizowanego zaledwie w „rybce” ducha miejsca i czasu. Posłużmy się przykładem: wiersz XIX-wiecznego poety Dymitra Sadownikowa o Stepanie Razinie stał się powszechnie znaną pieśnią ludową „Iz-za ostrowa na strieżę” i został przetłuszczony z rosyjskiego na różne języki. Fiediejew cytując go w „Mojej Gwardii” po niemiecku. Wiersz ten tłumaczony był na różne, nawet egzotyczne, języki i przekłady te według zgodnej opinii sławetów owych krajów budzą wiele zastrzeżeń, choć jeśli chodzi o treść wiersza, przekazują ją bez zarzutu. Jak pamiętamy stamian kochał Stepan Razin rzuca do Wołgi swoją nalożnicę, księżniczkę perską. Czyn niewątpliwie zbrodniczy, jednak oryginał wiersza wbrew pozorom nie wywołuje u rosyjskiego czytelnika niechętności wobec Razina. W innych zaś językach czyn Razina często pojmowany jest jako akt barbarzyńskiego zabójstwa. Czym się to objaśnia? Dość prosto, mianowicie trzeba znać historię Rosji, folklor mówiący o wolności koczowniczej, również prehistoryczną pogańską obrzędowość, związaną z ofiarami składanymi rzekom, co właśnie odbiło się echem w tym wierszu, oraz rozumieć sympatię, jaką wzbudzał w ludzie rosyjskim ten kochał buntownik, by zrozumieć, że wiersz Sadownikowa był holdem słownemu temu wodzowi powstania chłopieckiego. Potwierdzeniem takiej właśnie interpretacji jest fakt, że tekst wiersza stał się powszechnie znaną pieśnią ludową.

Tę rolę kolorytu bardzo trudno oddać w przekładzie, gdyż wyraża się on nie tylko w szczególnym słownictwie (notabene pozbawionym akcentu potępienia sprawy), lecz właśnie w odrębności obyczajowo-kulturowej narodu, którego dzieje w ciągu wieków wytworzyły własne kanony etyczne i estetyczne. Tłumacz z rosyjskiego musi dać sobie radę z tymi odrębnościami kulturowymi, przy czym nie wolno mu zapominać, że właściwości poznawcze i artystyczne utworu muszą być zrozumiałe dla czytelnika. W tym wypadku same komentarze, wstępy czy posłowia nie wystarczą. Jeśli zaś tłumacz zignoruje te odrębności, to dzieło może wzbudzić u czytelnika zupełnie odwrotne emocjonalno-estetyczne przeżycia niż w oryginale, a tendencja autora zostanie wypaczona.

Nie ma i być nie może adekwatności między językiem oryginału a językiem przekładu. To oczywiste. Lecz powinna być adekwatność pojęć, myśli, stanów emocjonalnych, stylu wypowiedzi literackiej, opisów przyrody itp. Jednak tłumacz często idzie na łatwiznę, lub też niedostatecznie rozumie oryginał, szczególnie jeśli korzysta z przekładu filologicznego i ucieka się do sztampy leksykalnej. W przekładach z polskiego na rosyjski sztampą taką jest na przykład zachowanie słowa „pan” w dialogach, co rzutuje na budowanie wypowiedzi w 3 osobie leżby pojedynczej, a co jest z gruntu obce językowi rosyjskiemu. W przekładach z białoruskiego na rosyjski taką dyżurną sztampą jest wyraz „siabry”, z rosyjskiego — „ziemia-matuszka”, „Wołga-matuszka”, „ear-batuszka”, „Don-batuszka”, „zima-matuszka” itd. Te ostatnie przekłady nie rażą w tłumaczeniach twór-

zości ludowej, ekad się zresztą wywodzą, natomiast brzmią co najmniej dziwnie, gdy wypowiedzi je miastowy robotnik czy inteligent. Materiał językowy musi być poddany pewnej selekcji i podporządkowany ogólnemu charakterowi utworu. Nie ma sensu przekładanie wszystkich ozdobników, gdyż błędne jest mniemanie, że to one właśnie tworzą koloryt lokalny (tworzą, ale nie w stopniu decydującym). Mogą one także przeszkadzać w odbiorze utworu przez obcojęzycznego czytelnika.

Następny problem, to zupełny brak ekwiwalentów pewnych określeń w języku, na który się przekłada. Podam przykład: język pisarzy rosyjskich na Dalekiej Północy bywa trudny nawet dla Rosjan — mieszkańców centralnej części kraju i Południa. Przyczyną tego jest obecność w utworach tych pisarzy wielu określeń, zwrotów i pojęć związanych z przyrodą i życiem na Dalekiej Północy.

We współczesnej literaturze radzieckiej zdobyli uznanie tacy pisarze Północy, jak prozai-

ściowa określała jego wygląd, konsystencję, odcienie biele. Inaczej nazywają śnieg, który dopiero co spadł, inaczej wczorajszy lub leżący dłużej, inaczej śnieg ubiegłoroczny, a jeszcze inaczej taki, który zaczął tajać, śnieg oświetlony słońcem długiego polarnego dnia, śnieg wiosenny itd. Przekład takich określeń śniegu nie poddaje się nawet opisowości normatywnego języka literackiego. Taki przekład oczywiście pozbawiony jest kolorytu lokalnego zawartego w opisie przyrody. Nawet jeśli tłumacz nie korzysta z filologicznego przekładu, a tłumaczy bezpośrednio z oryginału staje bezradny wobec trudności językowych związanych z brakiem odpowiedników. Najłatwiej oczywiście jest tłumaczyć z normatywnego języka literackiego.

Ważny inny przykład z obszaru kolorytów lokalnych: mieszkańcy pustyni nie mają nazwy wszystkich drzew środkowej i północnej strefy klimatycznej. Nie ma w ich językach tych nazw, nie muszą odróżniać jaworu od jesionu, sosny od świerku czy lipy od dębu. Nie potrze-

Koloryt lokalny w przekładzie

cy Władimir Liczutin, Dymitr Balaszow czy poetka Olga Fokina. W ich twórczości znajdują bogato wykorzystane słownictwo Północy, które kiedyś było językiem literackim nieznanym. Uczniowie zajmujący się stylistyką literatury pięknej muszą pokonywać znaczne trudności analizując utwory tych pisarzy. Nie ma po prostu jeszcze takich słowników, które zawierałyby i tłumaczyły różnorodność leksykalną Północy. Cóż może tu zrobić tłumacz? Jest on w sytuacji bardzo nieciekawej. Na pewno chciałby przekazać w tłumaczeniu miejscowy koloryt językowy, ale ekwiwalentów nie posiada, nie ma czym wyrazić tej różnorodności. Archaizmy, w które obfituje język Północy są archaizmami w centralnej Rosji, w normatywnym języku literackim, zaś tam, na Północy, nie mają posmaku archaicznego, były i są używane jako najbardziej współczesna leksyka. Oczywiście, w tym własnie przejawia się koloryt lokalny, tylko jak go przekazać? Jeśli archaizować język, na który się tłumaczy, czy nie zabrzmi to sztucznie? Czy naprawdę czytelnik nie odniesie wrażenia, że postacie mówią językiem dawno przebrzmiałym? A jeśli tłumacz się z „rybki”, która wyjaśniając znaczenie pomija archaizmy kształt słowa? Jedynym wyjściem wydaje się być, według mnie, sytuacja ekwiwalentności, sytuacja odpowiedniości, charakterystyczna dla mowy danego środowiska społecznego, danego kręgu kulturowego opartego na historii i tradycjach. Takie podejście wymaga studiów nad problemem, dużego przygotowania, czytania, e-rudycji. Przytoczę przykład, którym posłużył się w swej książce o translacji W. Komissarow: „Nie można zachować porównania „biały jak śnieg” w tłumaczeniu na język, którego nosiciele nie wiedzą jak śnieg wygląda i dla których jedynym znanym kryterium biele jest lotka białej czapli”. F. Tjutczew tłumaczył wiersz liryczny H. Heinego „Ein Fichtenbaum steht einsam” zamiast sosną na cedr, ponieważ sosna po niemiecku jest rodzaju męskiego, zaś M. Lermontow w swoim przekładzie tego samego wiersza powrócił do sosny, lecz zmienił sens tak, że podmiotem lirycznym stała się samotność, a nie miłość, jak u Heinego. Trudno o lepszy dowód na okoliczność twórczego podejścia do ekwiwalentów językowych. Tak właśnie należy szukać opisowych ekwiwalentów sytuacyjnych. Inaczej tłumacz nie sprosta wymogom zachowania kolorytu lokalnego w tłumaczeniu.

Translatory często skarżą się na trudności związane z korzystaniem z przekładów filologicznych i z komentarzy do nich. A bez tych komentarzy trudno się obyć, nie wolno ich lekceważyć. Archangielski prozacki Władimir Liczutin w eseju o języku rosyjskim opublikowanym w 1984 r. na łamach „Literaturnoj Rosji” przytacza ponad 60 wyrazów określających śnieg, jego wygląd i konsystencję w różnych porach dnia i roku. W jego własnych powieściach wyrazy te tworzą niepowtarzalną gamę znaczeniową, tworzą koloryt Dalekiej Północy. Rosyjski język literacki zawiera nie więcej chyba niż 5-6 wyrazów określających śnieg: mietlel, wjuga, poziomka, nast, sugrob, które istnieją również w polskim: zamleć, zawieja, zamieć, przyziemia, szreń, zasp. Ale „poziomka” już tłumaczona jest opisowo, a szreń (nast) używany jest niemiernie rzadko, bo też rzadko się w Polsce zdarza twardy jak lód śnieg po odwilży. Na Północy, gdzie zima trwa pół roku, a śnieg nie wszędzie znika w ciągu krótkiego lata, ludzie nauczyli się obserwować śnieg, znaleźli

buje dodawać, że obca jest im również symbolika związana z tymi drzewami. Jak więc można przekazać im cały dramat zawarty w wierszu Broniewskiego „Dąb”?

Idę sobie zamazyszyć
i opada ze mnie życie
jak jesienne liście.
A co zrobić z puentą?
I został już pień nagi,
nad nim zamieci kłęb.
Odważył To ja — dąb!

Przecież nawet w rosyjskim, gdzie symbolika dębu jest taka sama, jak w polskim, dębem w mowie potocznej określa się nie nie rozumiejącego głupca. Twardość dębu u Rosjan wyraża nie tylko odporność na urazy życia, lecz również odporność na logiczne i rzeczowe argumenty. W językach, gdzie dąb nieznacząco od nazwy drzewa nie wyraża albo zamienimy dąb na inne drzewo symbolizując siłę, moc i nieugiętość, albo posłużymy się komentarzem. Notabene, w starych językach mieszkańców stepów istnieje tylko pojęcie „drzewo”, tak jak u nas istnieje tylko pojęcie „śnieg”, jakże więc przekazać im Broniewskiego?

Czukocki pisarz Jurij Rytcheu opowiadał, jak to jego ziomkowie zmagali się kiedyś z przekładem na czukocki znanych strof Puszkina „U łukomoria dęb zielony, zlatają cep’ na dębie tom. I dniom i noczu kot uczonyj wsio chodit po cep’ krugom”. W języku Czukców nie ma żadnych wyrazów zdolnych adekwatnie oddać tę strofę. W tundrze nie ma łukomoria, nie ma dębów, Czukczowie nie znają złotych łańcuchów, a dzień i noc Czukczowie rozumie jako cały rok, a nie dobę. Aby przetłumaczyć „kota” trzeba było kilku opisowych określeń, gdyż na Dalekiej Północy nie ma kotów, a Puszkina mówi do tego o uczonym kocie.

Przekład lokalnych realiów sytuacyjnych występujących w wierszu Puszkina na czukocki możliwy stał się tylko poprzez szczegółowy komentarz, gdyż nie wydawała się możliwa zamiana dębu na jaglę (miejscowa krzewina), a kota na renifera.

Podobne są również kłopoty związane z tłumaczeniem powitania poprzez uścisk dłoni, typu „podał rękę”, na języki tych narodów, które nie witają się poprzez podanie ręki.

Proces przekładu komplikuje się dodatkowo w efekcie autorsko-indywidualnego stosowania lokalnych środków językowych, gdyż wiadomo, że leksyka w dziele literackim ma trudną uchwytne podteksty i niuanse semantyczne. W przekładach poetyckich jakimś wyjściem z trudnej sytuacji jest stworzenie nowego utworu poetyckiego opartego na motywach oryginału, lecz dzieje się tak tylko wtedy, gdy tłumacz sam jest poetą. Tak oceniane są przekłady sonetów Szekspira dokonane przez S. Marszaka.

Chciałbym zakończyć stwierdzeniem, że mało odkrywczym, ale przecież prawdziwym, że po pierwsze — między oryginałem a przekładem nieuniknione są różnice, wyrażające się zarówno w warstwie ekwiwalentów językowych, jak i zubożenia kolorytu lokalnego, oraz po drugie — że najlepiej, gdy tłumacz zna kulturę narodu i język, z którego tłumaczy, gdyż przekład filologiczny stwarza niebezpieczeństwo degradacji poziomu artystycznego oryginału, bądź też może prowadzić na manowce, dalekie od pierwotnego.

WASYL KOCZNOW

Mieszkać w słowie

Są poeci „otwartej przestrzeni”, pielgrzymi rozstajnych dróg, wagałundzi zbierający przygodne doświadczenia i zmieniający je w złoty kruszec poezji, ale są też (a może przede wszystkim) twórcy, którzy — jak Anteus — czepiają moc z ziemi rodzimej, ojcowizny, kawałka oswojonej przestrzeni, zakorzenieni w niej i filtrujący jej życiodajne sokli. To właśnie poeci „domu”.

Gdyby wierzyć Bachelardowi, poezja powstaje jedynie w tej „przestrzeni intymnej”, w przestrzeni domu widzianego oczyma dziecka, domu ze swoimi tajemniczymi zakamarkami, plwini i strychów, z architekturą odpowiadającą wertykalnej strukturze kosmosu. I nawet ci „wysokorzeni” — wieśniacy wędrownicy — prze-

cieli gdzieś mieszkają wypełniając ów Heideggerowski ezorobok: ludzi, bogów, zmarłych i rzeczy. A to swoje „zamieszkiwanie” mogą zamienić w poezję, istniejąc (czy bytując), istniejący bowiem w słowie.

„Dom” w poezji M. S. Daleckiego jest najwyraźniejszym motywem organizującym nie tylko nacechowania aksjologiczne (sferę wartości), ale także dyspozycyjne (kompozycje) tej poezji. Autor nie ukrywa, że najbliższą dlań tradycją literacką jest Czernikowy program autentyzmu — poezji obrazującej przeżycia wyrastające z doświadczeń codziennych, weryfikowanych przez biografię, poświadczonych etosem powszedniego trudu. (Cykl „Drobiazgi” dedykowany jest zresztą pamięci twórcy „Z podglebia”). Jest to postawa nie tak znów często spotykana we współczesnej poezji polskiej. Dalecki przecież nie powiela myśli Czernika, ale — będąc mieszkańcem wielkiego miasta — swój „dom”, swoją poezję trochę mitologizuje, przydając im akcentów sielskości i prywatności nie pozwalającej na zagubienie się w asfaltowej pustyni.

Ma on też świadomość, że utwór poetycki rzadzi się szczególnymi prawami, że prezentuje całą sferę doświadczeń i wartości przede wszystkim poprzez słowo — obrazy czy słowo — pojęcia. Stąd wiersze modlitwy do domu mają

pewne nacechowanie „lingwistyczne”, autor pokazuje, że potrafi „mieszkać w słowie” zaklinając tę oswojoną przestrzeń domu w swoją magiczną „mowę domową”.

Oczywiście ten — jak sądzę — najistotniejszy motyw „domowy” nie wyczerpuje wszystkich sensów poezji Daleckiego. Świadczy o tym wiersz z cyklu „Okolice czasu”. Domem jest także przeszłość, historia, w którą jesteśmy uwikłani i która wyznacza i dzisiejsze nasze drogi.

Dobrze się stało, że po wydanych wcześniej arkuszach poetyckich M. Dalecki doczekał się w końcu obszerniejszej prezentacji twórczości poetyckiej. Ową niestrudzoną animatorkę życia literackiego — przede wszystkim w środowisku nauczycielskim — jest interesującym poetą o rozpoznawalnej artykulacji i jego tom poetycki wnoszący sprawdzalne, autentyczne, „przeżyciowe” walory zapewne spotka się z żywym zainteresowaniem odbiorczy.

M. S. Dalecki — Rzeczy nasze pospolite. WZ 1986

HENRYK PUSTKOWSKI

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa
literacko - obyczajowa
PROGNOSTYK

Pospolita przypowieść jest — powiada użony Martinus Ruff, medyk i chirurg kapituły plockiej, w „Prognosticon albo przestroze na r. 1593” — iż zawżdy panom węgors a ubogim piskorz, tak się też roku tego przyda pospolitemu człowiekowi, który niedobrze wychnawsz sobie po pierwszych podatkach znowu zaś na ofiarę pójda do panów pisarzów, celników, acz im ta ofiara nie z serca, ale cóż rzec, kiedy panowie każą a powiadają, że potrzeba na Rzecz Pospolitą.

NEKROLOG SŁUBNY

Weronika, jedyne dziecko Anasztaza i Kunegundy z Gęsinów Rubachów, przeżywszy lat 27, po długich a dolegliwych cierpieniach, rozstała się z panieństwem i wraz z panem Janem Kapistranem Darnowskim powiększa grono małżonków.

Wyprowadzenie państwa młodych do kościoła parafialnego nastąpi dnia 1 lutego br. o godz. 7 wieczorem, a stąd po odprawionym akcie przewiezieni zostaną goście do domu rodzinnego na zabawę weselną, na którą to obrzęd w radości nieutuleni rodzice zapraszają znajomych, krewnych i pobożną publiczność.

„Diabeł” 1902 nr 3

PRZYSŁOWIA MALARSKIE

W „Nowej księdze przysłów i wyrażen przysłownych polskich” można znaleźć szereg przysłów związanych ze sztuką w ogóle a z malarstwem w szczególności. W księdze wykrzystano ogromną literaturę przedmiotu i wiele tekstów literackich. Jednym ze źródeł była interesująca książeczka Lucjana Siemienińskiego „Kartka z dziejów sztuki i poezji” (Zytomierz 1880), w której pisarz zamieścił pięć przysłów malarzkich. Oto one:

— Królowie mogą robić szlachę i dostojników, lecz tylko jeden Bóg może zrobić dobrego malarza.

— Malarz powinien się rodzić malarzem.

— Malarstwo się nie nauczyć; ono rodzi się z nami.

— Malarstwo jest malowaną muzyką.

— Malarstwo nie ma końca, ma tylko początek.

Z ANTOLOGII ANTYALKOHOLOWEJ

O przekleństwa gorzko! zadatku piekielnego!
Dlaczego biedny lud nasz wiedzies w grzech
śmiertelny?

Przez ciebie gospodynie zostają babami,

Przez ciebie mnóstwo ludzi idzie w świat z torbami.

Przez ciebie to dziełce cnotę utracają,

Przez ciebie przeszytymi i chłopczy zostają.

Kalendarz „Nowego Dzwonka” na rok pański

SŁUSZNA OBAWA

Czytał ksiądz ewangelie: „Abraham zrodził Izaaka, a Izaak zrodził Jakuba itd.” Śasład tracił jeden drugiego, mówiąc: „ej, też to czasy były, kiedy chłop chłopa rodził”. „Cicho bądź — powiada zagaby — bo jak usłyszysz boby, to każą nam dzieci rodzić”.

Sadok Barącz: Bajki, fraszki, podania, przysłowia i pieśni na Rusi. Lwów 1886

SMUTNY LOS LITERATURY

W rzadkiej książeczce „Rozważania mieszkańca Syryusza (Rzeczy już powiedziane, ale których nie będzie nigdy powtarzali zbyt często) Paryż-Warszawa 1935” czytamy smutną prognozę dla literatury pięknej:

Pisemnictwo, w którym góruje powieść, przynajmniej się samo do swej słabości i nie zdobywa trwałego istnienia. Zwykłym litować się nad przysługanym poparciem i powodu stosów zadrukowanego papieru, wobec których się znajdują. Litość to zbędna; przysięż pokolenia nie będą troszczyły się zbytnio o te książki. Co pozostało z powieści i kolekcji wypełniających najbarziej ukryte w cieniu polki bibliotek publicznych? Nasza epoka i jej produkcja piśmiennicza nie wyłame się spod tego prawa. Pozostaje w literaturze tylko to, co daje się odczytać ponownie, a nikt nie odczytuje ponownie powieści, w której nie wyraża ponad powieść, która nie przynosi żadnej filozofii życia, żadnej konkluzji moralnej, żadnego oświecającego obrazu, wreszcie żadnej odrębności rodzajowej.

WIERSZYK O ZŁOTEJ PCHLE

Drobne i dokuczliwe stworzonko nie jest najsympatyczniejszym towarzyszem człowieka, ale jak się okazuje było często opiewane przez poetów staropolskich. Wśród nich znalazł się też renesansowy poeta Klemens Janicjusz (1516—1542), który łacińskim rymem opisał „Pchle złotą, którą elektor bawarski Izabella córce Zygmunta I pomiedzy innymi podarunkami w upominku przysłał”. Czworowiersz Janicjusza przełożył Jan Kanty Rzesiński i opublikował w „Pszczółce Krakowskiej” w 1820 r.

Ach, czemuż mnie, królowo, trzymasz w tej niedoli,

Czyż się boisz, abym nie zbiegła z niewoli?

Bądź pewna, abym mnie twoje uwieziły wdziki,

I któż by się z piękności chciał wydzierać ręki!...

Opracował:

ANDRZEJ KEMPA

Niewątpliwie najciekawszym dramatem Henryka Jachimowskiego jest zbiórka zawierająca jeszcze dwie inne jednoaktówki a wydane w Wydawnictwo Łódzkie, „Makijaż”. „Makijaż” jest najciekawszy, ponieważ jest pierwszy, nie dlatego, że jest inny czy lepszy. W zamieszczonych na końcu książki uwagach autorskich czytamy, że wszystkie dramaty Jachimowskiego podlegają tym samym założeniom artystycznym i ideowym, i jest to z całą pewnością prawda. Podobnie jest z treścią i treścią, szczególnie „Makijaż” i „Ligi kobiet”, jest zaiste uderzające, do tego stopnia,

Awangarda po polsku

pnia, iż zatracają one całkowicie swoją odrębność jako utwory sceniczne, stając się jednym, długim, rozpiętym na głosy monologiem autora, w którym aż roi się od wykrzykników, znaków zapytania i powtórzeń. Niebagatelną rolę odgrywa także nieco natrętne i fałszywie brzmiące didaskalia, które całości nadają raczej formę opowiadań aniżeli dramatów i każą powątpiewać w szczerą intencję artysty, bowiem „teatralność” jego utworów sprawia wrażenie czegoś wydobyciej jakby na siłę z opornego, niełatwo poddającego się obróbce materiału.

Maniera stylistyczna, jaką posługuje się Jachimowski, jest interesująca, ale nie jest nowa — pobrzmiewają tu echa twórczości Geneta, Becketta i tzw. Teatru Absurdu, widąc wpływ teatru Kantor i teatru Krysztofa Jasińskiego, przychodzą na myśl liczne zwiaststwa w latach sześćdziesiątych przedstawienia teatrów studenckich, uznawanych wówczas za nowatorskie i awangardowe, nie bez słuszności zresztą, to, co odróżnia dramaty Jachimowskiego od większości dramatów przynależących do wymienionych wyżej kręgów, to ich ahistoryczność, brak wyraźnego punktu odniesienia, brak korzeni. Jachimowski chce być uniwersalny, oddać się więc od naturalnych powiązań z czasem i historią, odchodzi od kontekstu, przedstawia i opisuje nie ludzi, lecz typy, całkowicie pozbawione indywidualności. Cel swój w końcu osiąga, placąc jednak wysoką cenę — oto w powodzi nieustannych metamorfoz aktorów, w zalewie bombastycznych symboli, aluzji i zapożyczeń, w buntowniczym mistycyzmie, odnajdujemy kilka o-

czywistych i dawno objawionych prawd, kilka ogólników, zrozumiałych zawsze i wszędzie, a więc nie oryginalnych, lecz banalnych. Jachimowski zapomina, że całkowita izolacja nie jest możliwa, że nie istnieje sytuacja „w ogóle”, że odkryć nie dokonuje się jedynie na szczytach. Szept bywa skuteczniejszy niż krzyk, a atrakcyjne, kolorowe opakowanie nie zawsze gwarantuje najwyższą jakość zawartości. Wszyscy jesteśmy kukłami — zdaje się mówić Jachimowski, rozkładając beznadziejnie ręce, nie wyjaśnia jednak, ani dlaczego staliśmy się bezwolni i sztuczni, ani co z tego wynika i co należy zrobić, aby zmienił ten stały stan rzeczy. Ograniczając do hałaśliwego protestu, do głośnego

liczącej blisko dwa tysiące lat historii i tradycji.

Henryk Jachimowski jest na pewno pisarzem utalentowanym, ambitnym, zręcznym, efektywnym, lecz mało odkrywczym. Jeżeli zawartość myślową jego dramatów określimy jako kontrowersyjną, to podobnie ma się sprawa ze stworzoną na użytek tych dramatów koncepcją teatru, zaprezentowaną w kilku punktach na końcu książki. W uwagach tych, enigmatycznych i ezoterycznych, autor protekcyjnie poklepuje czytelnika po plecach, informując go, co naprawdę dzieje się na scenie i o co w tym wszystkim chodzi, jednakże jest przy tym tak niejasny i tak mało konkretny, że wywołuje to jeszcze większy zamęt i niepewność.

Pisze więc Jachimowski, że w jego teatrze wszystkie role są główne — ale w takim wypadku żadna rola nie jest główna, główny rolę w ogóle nie ma. Aktor utożsamia się z sensami działań — skąd ta pewność? Słowo wywołuje i sankcjonuje działania, i służy aktorowi w jego procesie scenicznego przeobrażenia — a zatem aktor staje się zaledwie nosicielem słów i odwołuje, nie zaś demursem teatralnej rzeczywistości, przy czym afabularny układ wydarzenia i zanik dialogu jeszcze bardziej utrudnia aktorowi zaistnienie na scenie. Spektakl Jachimowskiego nie kończy się, lecz „upada”. Każdy może to rozumieć jak chce, brak bowiem bliższych wyjaśnień na ten, i wiele innych, poruszonych przez artystę tematów.

Mianem „awangardy” potocznie określa się to, co tajemnicze, obraźliwe, zrywające z tradycją, niezrozumiałe, jarmarcznie wulgarnie, okraszone tu i ówdzie lepiej lub gorzej uzasadnioną nagiętością. O takiej sztuce zwykło się mówić, że jest „nowocześnie”. Dramaty Henryka Jachimowskiego są podane w błyszczącym, atrakcyjnym opakowaniu kryjącym towar o dyskusyjnej wartości. I choć pisarz ten ma coś do powiedzenia, to forma jego wypowiedzi zdaje się potwierdzać, niestety, obiegowe opinie o kierunku, w którym zmierza nowatorska, na pierwszy rzut oka, twórczość.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Henryk Jachimowski, „Dramaty”, Wyd. Łódzkie, Łódź 1985
nakład 3 000 egz.

kaną planetę, aby dać początek nowej cywilizacji.

Taki finał to triumf indywidualizmu i klasa ideologii. Reżyser o tym nie mówi, ale z pewnością polecały za to głośnie albo nawet na planie wybuchy zamieszki.

Daniel Olbrychski jak zwykle skoncentrowany i z dużą siłą wewnętrzną, lecz i tak otrzymał kilka ciosów od Majchraka, który stworzył świetną kreację policjanta. Specjalnością Jerzego Stuha są postacie wreszczące. Rola propagandzisty stworzył mu wiele okazji.

Stawie Wajcym jako oficer bezpieczeństwa waha się inteligentnie i w końcu wychodzi z niego służbista. Katarzyna Figura na tle innych prostytutek, wśród których prym wiodzie Dorota Stalińska, prezentuje się niewinnie i jeśli jej talent będzie rozwijał się bez przeszkód, może sporo osiągnąć.

Science fiction jest dla Szulki okazją do załatwienia wewnętrznych rachunków. Jednakże wskutek braku tzw. o-garnięcia całości jak u Lema, filmy jego są nudne, a nagromadzone w nich akcesoria quasi-filozoficzne skłaniają niektórych krytyków do uznania tej produkcji za awangardę.

TOMASZ KUBIK

„Ga-Ga chwala bohaterom”, reż. Piotr Szulkin, film prod. polskiej (1986).

Podróże kształcą

Bez względu na literackie mody i tendencje, opisy odkryć i podróży zawsze cieszyły się ogromną popularnością wśród czytelników. Któż z nas nie marzył jako dziecko o niebezpiecznych i trudnych wyprawach do dalekich wysp i ław, niekiedy jeszcze stopą białego człowieka? Czyje wyobraźni nie rozpałały przygody wymyślonych i prawdziwych podróżników, nieustannie ryzykujących życiem, dokonujących wielkich czynów, i mimo rozlicznych przeciwności wychodzących obronną ręką z wszelkich opresji? Człowiek jest istotą oddaną potęgą, nigdy nie zaspokojoną ciekawością — była ona jednym z głównych motorów postępu i rozwoju cywilizacji, choć trzeba przyznać, że zagłuszała ją nieraz chciwość i pospolitost, wulgarna chęć łatwego zysku. Naiwne, dziecięce marzenia o pójściu w ślady sławnych odkrywców dane jest zrealizować tylko nielicznym, jednak wspólna nam wszystkim w jakimś stopniu pasja badawcza pozostaje. I może dlatego wciąż tak chętnie sięgamy po książki podróżnicze, ten najtańszy i najwygodniejszy „środek lokomocji”, przenoszący nas do krańców tak niezwykłych i odległych, że niemal nierealnych.

Lata, kiedy pół Europy emocjonowało się romantycznymi ekspedycjami Livingstone’a, Stanleya czy generała Nobila, minęły, niestety, bezpowrotnie — na naszej planecie pozostało już niewiele dziewiczych zakątków, oczekujących nadal na swego zdobywcę. Atmosfera i urok dawnych wypraw ożywiają już tylko na kartach książek, pisanych na gorąco kilkadziesiąt lat temu i przeznaczonych dla czytelnika o zupełnie innej mentalności i kulturze, aniżeli czytelnik dzisiejszy. Zarówno jednak w dobie kolonializmu, jak i obecnie, największym walorem literatury podróżniczej pozostaje, nieco paradoksalnie, wartość poznawcza, tyle tylko, że to, co niegdyś dotyczyło spraw bieżących, ważkich, absorbujących niemal wszystkie wykształcone umysły epoki, dla nas jest już tylko historią, niejednokrotnie związana z problemami, które „myszka trąca”. Jednak wielu autorom opowieści o dalekich, egzotycznych wyprawach udało się zachować świeżość i wiedz, nadając im utworom wymiar bez mała ponadczasowy. Do takich pisarzy, których dzieła do dziś straszą niewiele ze swej pierwotnej atrakcyjności, należy z pewnością Gabriel Bonvalot (1853—1933), francuski badacz-orientalista i znany podróżnik, którego książkę „Przez Kaukaz i Pamir do Indii” wydało właśnie, po raz pierwszy w przekładzie polskim, Wydawnictwo Łódzkie. Relacje Bonvalota z wypraw przygod i przeciwności losu ekspedycji do Indii i kilku krajów Azji Środkowej czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem od pierwszej do ostatniej strony, mimo (a może właśnie dlatego), iż jest to właściwie — suche sprawozdanie, pozbawione niemal całkowicie jakiegokolwiek dygresji i komentarzy. Osobiste refleksje autora ograniczają się do kilku bardzo ogólnych spostrzeżeń o charakterze filozoficzno-społecznym, co sprawia, że książka chwila przypomina komiks, w którym sytuacja zmienia się błyskawicznie wraz z każdym kolejnym obrazkiem, a wszelkie odautorskie wtręty i uwagi są w zasadzie wykluczone. Bonvalot nie jest przy tym pozbawiony talentu literackiego, dzięki czemu jego opowieść nabiera barwy i dość znacznej siły ekspresji, uwydatniającej miejscami ubogi i wręcz niedbały przekaz. Styl autora jest jeszcze zdecydowanie dziewiętnastowieczny (książka powstała w roku 1889), staroświecki, lecz zarazem prostodusznie bezpośredni, co znacznie ułatwia kontakt z odbiorcą. „Przez Kaukaz i Pamir do Indii” to książka w pewnym sensie także nostalgiczna i melancholijna, bowiem uświadamia ona, jak niesłychane przemiany dokonały się we wszystkich sferach życia w ciągu ostatniego stulecia, i jak myślenie okazują się niejednokrotnie nie do przewidywania i prognozy, pozostaje tak dobrze ugruntowane i umotywowane. Upływ czasu nadaje książce niewątpliwie szerszy kontekst i napiętość znaczeniową, i choć wiele zawartych w niej informacji zdążyło się już zdezaktualizować, to jest rzeczą zdumiewającą, jak często w różnych epokach i krajach powtarzają się wspólne wszystkim ludziom schematy myślowe, jak na przykład kapryśność historii, niezmienne pozostają wszechpętne warunkiowania polityczne i kulturowe, których rolę w kształtowaniu rzeczywistości można naświetlić i ocenić w pełni dopiero z dystansu, przez pryzmat doświadczeń przetrastających zwykłe pojedynczą indywidualność.

Poznanie obyczajów i umysłów innych narodów jest kluczem do ich zrozumienia; znajomość historii była kluczem do poznania samych siebie. Swój dokument, jakim jest opowieść Gabriela Bonvalota, nie tylko przybliżyła nam przedstawicieli obcych kultur, stanowi nie tylko kawał historii, lecz jest również całkiem przyzwoitą literaturą. Napisana z wermą i talentem, okraszona dramatyzmem i poczuciem humoru książka „Przez Kaukaz i Pamir do Indii” obok swych niezaprzeczalnych wartości kształcących i dydaktycznych zapewnia ponadto prosto kilka godzin godziwej rozrywki. Czy można wymagać czegoś więcej od powieści podróżniczej?

M. S.

Gabriel Bonvalot — „Przez Kaukaz i Pamir do Indii”, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1986, wyd. I.

Polemiki • Listy • Opinie

CZY ISTNIEJE PROBLEM: METRO CZY MIESZKANIA?

„Głos Robotniczy” zamieścił notatkę o prowadzonych w Łodzi pracach badawczych związanych z budową metra w Łodzi. Należy przypuszczać, że prace te pociągnęły już za sobą znaczne wydatki pieniężne i że będą one coraz wyższe.

Łódzka prasa codzienna informuje jednocześnie o konieczności budowy następnego wodociągu z Pilicy do Łodzi, gdyż rozwijające się miasto potrzebuje coraz więcej wody, a ponadto zachodzi konieczność czyszczenia zamulających się wodociągów, z których jeden jest już zamulony w około 20 proc. przepustowości. Co do stanu drugiego wodociągu nikt o tym nikogo nie informuje. Przemilcza się termin ostatecznego przekazania Grupy Oczyszczalni Ścieków aglomeracji łódzkiej, pomimo że podaje się coraz to nowych winowajców zanieczyszczenia rzek. Wiadomo, że Ner niesie w sobie brud na całej swej długości i to za sprawą Łodzi. Ner wpadając do Warty przed Kolem zatrzuwa ją także dla Konina, Sremu i Poznania.

Zdaje sobie sprawę, że do takiego przedsięwzięcia jak budowa metra w Łodzi należy się przygotować znacznie wcześniej, ale zastanawiam się, czy nas stać w tej chwili, w dobie ciężkiego kryzysu gospodarczego na takie wydatki. Na przykład Wiedeń stolica bądź co bądź zamożnego kraju otrzymała metro w ostatnim dziesięcioleciu, a ruch kołowy na pewno w Wiedniu jest wielokrotnie większy niż w Łodzi.

Ponad 20 lat temu rozpisano konkurs na przebudowę trasy komunikacyjnej pod wiaduktem na ul. Konstytucyjnej i do tej pory z tego projektu nie skorzystano. Konkurs się odbył, ktoś go wygrał, napracował się, pieniądze wydano, a wąskie gardło istnieje do dziś. Zaczęto roboty na małą skalę, które ciągną się już kilka lat, a przełotowość w tym miejscu znikoma i coraz dłuższe kolejki przed wiaduktem.

Drugim wąskim gardłem trasy Wschód — Zachód jest wiadukt na ul. Drewnowskiej, który po zamknięciu przejazdu na ul. Srebrzyńskiej przez al. Wiśniakowską przejął znaczną część ruchu kołowego. Budowa wiaduktu przy dworcu Kaliskim rozciąga się w czasie.

Wszystkie te przykłady przytaczam dlatego, żeby choć w drobnej mierze przypomnieć, co jest do zrobienia z bardzo pilnych potrzeb i nie cierpiących dalszej zwłoki. A są przedsięwzięciami drobnymi w stosunku do budowy metra w Łodzi. Sytuacja aktualnie u nas w zaopatrzeniu w materię budowlaną jest trudna do tego stopnia, że nie naprawia się w porę budynków mieszkalnych, co w konsekwencji zubaża zasoby mieszkaniowe. Przecież przy dotychczasowym tempie budownictwa (a nie zanosi się na lepsze) moje wnuki otrzymają mieszkanie w wieku około 40 roku życia. W tym stanie rzeczy urzędy do spraw młodzieży i wszystkie instytucje społeczne zajmujące się problemami młodzieży nie zdołają jej przekonać, że ktokolwiek przejawia o nią rzetelną troskę.

Czy w takim stanie rzeczy nie należy się zastanowić nad innymi koncepcjami usprawniającymi komunikację w mieście? A były już niektóre rozwiązania, jak np. kolej obwodowa, która nie przysporzyłaby wykopów i kłopotów z pozbyciem się ziemi z wykopów.

Przedsiębiorstwo Dróg i Mostów boryka się z brakiem pieniędzy na naprawę uszkodzonych jezdni i chodników i dlatego robi to, co jest gwałtownie konieczne, ale potrzeb w tym zakresie jest znacznie więcej i dlatego łodzianie brodzą po kostki w błocie i są opryskiwani przez pojazdy w czasie deszczów.

Gdyby tak nakłady przeznaczone na prace dokumentacyjne na metro przeznaczyć na cele, które poprawia nam choć trochę życie codzienne, czy to nie uczeszy naszej społeczności miejskiej? Zdaje sobie sprawę, że prezentowana tu koncepcja wycofania się na czas późniejszy z przygotowaniem dokumentacji budowy metra jest w tej chwili niepopularna, szczególnie wśród ludzi zaangażowanych w te prace, ale uważam, że sytuacja gospodarcza kraju i miasta powinna być brana pod uwagę jako decydująca. Przecież cały szereg opracowań, za które teraz płacimy i będziemy płacić specjalistom po wybudowaniu metra w Warszawie będzie można uzyskać bezpłatnie przy należytej staranności organizacyjnej.

Przerwaliśmy już w kraju bardziej zaawansowane inwestycje budowlane, dla których dostarczano nawet maszyny i urządzenia krajowe i zagraniczne. Zamroziliśmy wielomiliardowe nakłady na licencje. Ponosimy w tej chwili ogromne koszty na zabezpieczenie budowli i urządzeń i to nie zawsze z należyty skutkiem. Rząd szuka różnych dróg wyjścia, aby rozpocząć inwestycje nie straszny swoim wyglądem.

Starajmy się, żeby ponoszone nakłady były trafnie ulokowane co do celu i terminu.

STANISŁAW DESPUT

Łódź, dnia 19.11.1986

OD REDAKCJI: Propozycje Stanisława Desputa są bardzo kontrowersyjne. Argument, że miasto znajduje się w trudnym położeniu, więc nie należy teraz szukać rozwiązań perspektywicznych, nie przemawia do nas. Przypomina to spór na temat: co myć, nogi czy ręce i szyję? Najlepiej myć całe ciało, nie pomijając nóg, rąk i szyi. Tak i w sprawie metra. Łódź, dla rozwiązania kłopotów komunikacyjnych, potrzebuje jest metro. Ale niezależnie od tego potrzebne mieszkania. Czy wybudowanie nowych dzielnic z dala od centrum bez metra pozwoli rozwiązać problem sprawnej komunikacji? Wątpimy. Jesteśmy zatem przeciw zawieszaniu przygotowań do budowy metra.

A co o tym sądzi Czytelnicy? Oczekujemy na listy!

SKĄD BIORĄ SIĘ DZIECI

Łódź jako pierwsza porwała się z motyką na słońce. Prototyp przedmiotu „przysposobienia do życia w rodzinie” (PDZ) zrodził się właśnie w dawnym województwie łódzkim dokładnie 20 lat temu. Program opracowało kuratorium przy współudziale Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa. Lokalne władze zatwierdziły program i wszedł w życie w roku szkolnym 1966/67, ale tylko w Łodzi. Zajęcia odbywały się we wszystkich siedmiu klasach szkoły podstawowej w ramach godzin wychowawczych. Nawiązywał on w klasach I—III do kształtowania więzi rodzinnej i koleżeńskich, natomiast w klasach IV—VII obejmował problemy natury biologicznej. Zajęcia kontynuowane były także w szkołach ponadpodstawowych. Programem zainteresowały się inne miasta, m. in. Katowice i Gdańsk. Łódzki program wzbudził ciekawość nawet za granicą, bowiem na konsultacje przyjechał prof. Rolf Bormann z NRD. Po latach starań stworzono wreszcie odrębny przedmiot o nazwie „przygotowanie do życia w rodzinie socjalistycznej”.

60 godzin PDZ realizowano w dwóch ostatnich klasach szkoły podstawowej i to już w całej Polsce. Czyli w Łodzi regresja przedmiotu, a w skali kraju — transgresja. I wreszcie ostatni już etap. Przedmiot jako osobną część programu nauczania skasowano i znów przemianowano go na program realizowany w ramach godzin wychowawczych w szkołach średnich. Spadła więc jego ranga i znów znalazł się między sprawami ruchu drogowego, dyskusjami o porządkach w klasie i lekcjami np. matematyki, bowiem jest tajemniczą poliszynela, że jeśli wychowawcą jest matematyk, to niektóre lekcje wychowawcze zamieniają się w lekcje matematyki.

Wszystko jednak wskazuje na to, że instytucje oświatowe mają zamiar rozgryźć ten orzech i podnieść rangę ważnego przedmiotu dla rozwoju młodzieży przedmiotu. Od września 1985 roku Oddział Doskonalenia Nauczycieli utworzył nawet etat dla metodyka zajmującego się przysposobieniem do życia w rodzinie. Od września 1986 r. wszedł w życie nowy program nauczania tego przedmiotu, nieco poszerzony i zmieniony. Tylko kto ma uczyć, wychowawca i matematyk bez należytego przygotowania? Otóż nie. ODN pomyślał i o wykładowcach. Odbił się specjalny kurs przygotowawczy dla nauczycieli szkół ponadpodstawowych, którzy podejmą się nauczania PDZ. Ale tu ciekawostka. Na kurs zgłosiło się 95 nauczycieli, a kształciło się czterdziestu. Jak na 112 placówek, w których prowadzone będą lekcje PDZ to niezbyt wiele: średnio jeden nauczyciel (wykwalifikowany!) na trzy szkoły.

Doc. med. Włodzimierz Fijałkowski z Poradni Naturalnego Planowania Rodziny mówi:

— Program jest znakomity, ale chodzi o jednolity sposób jego interpretacji. Z dotychczasowych obserwacji mam poważne wątpliwości, czy ma to miejsce. Wszystko zależy od nauczyciela, od jego wiedzy, ale także umiejętności pedagogicznych i zrozumienia roli, jaką pełni. Bardzo łatwo spacyfikować nie ukształtowaną w pełni psychikę młodzieży, nie zawsze da się to potem naprawić. Nauczyciel tego przedmiotu powinien legitymować się nie tylko wszechstronną wiedzą specjalistyczną, ale także posiadać umiejętność przekazywania tej wiedzy i właściwe podejście do spraw seksu.

Oświata — mówi dalej dr Włodzimierz Fijałkowski — widzi rozwiązanie problemu w doskonaleniu kadry nauczycielskiej, zbieraniu pomocy naukowych, nowych programach. Ślusne. Do propozycji wiedzy oświatowej dodałbym jednak odwagę w przedstawianiu młodemu pokoleniu programu rozwoju osobowości z wyraźnym uwzględnieniem sfery psychicznej i zdyscyplinowania w zakresie zachowań seksualnych. Ale na to potrzeba czasu, przełamania barier i pozbycia się stereotypów w tej dziedzinie.

Skąd się biorą dzieci? Z nieświadomości. Ze tak jest, przekonalem się podczas wizyty w Poradni Naturalnego Planowania Rodziny. Akurat ośmioosobowa grupa ciężarnych dziewcząt odbywała ćwiczenia przygotowujące do przyszłego porodu. Na pytanie doc. Włodzimierza Fijałkowskiego, w jaki sposób zaplanowały ciążę, zalegała cisza. Okazało się, że w ogóle nie planowały. Dla wielu z nich ciąża była... zaskoczeniem. Na szczęście miłym.

JACEK GŁĘBSKI

CMENTARZ EWANGELICKI W PABIANICACH

W numerze 45 8 listopada 1986 roku tygodnika „Odgłosy” ukazał się artykuł: „Prochy i Marmury” podpisany przez Marka Kwiatkowskiego. Artykuł został zapowiedziany w czwartej tygodnika: „Co dalej z Cmentarzem Ewangelickim w Pabianicach?”. Ponieważ w artykule zostało imiennie przedstawione jako autor różnych informacji (druk pochylony i cytaty ujęty w cudzysłowy), które nie pochodzą ode mnie a ponadto są nieścisłe i nieprawdziwe, uprzejmie proszę, w powołaniu na art. 14 i art. 31 Prawa Prasowego (Dz.U. nr 5 poz. 24, z 1984 r.), na opublikowanie niniejszego sprostowania w całości.

Nie ode mnie pochodzi cytaty ujęty w cudzysłowy „Jak ksiądz złapie złodzieja to prosimy o telefon”. Jestem świadomy, że nie do mnie należy ocena skuteczności działania organów porządkowych i to ocena na użytek publiczny. Wręcz przeciwnie jestem wdzięczny funkcjonariuszom MSW w Pabianicach za ochronę cmentarza. Dzięki ich skutecznym działaniom uratowano przed wywiezieniem z cmentarza piękną rzeźbę, która stanowi odcisk jednego z grobów i cieszy swym pięknem wszystkich odwiedzających cmentarz. Nie upoważniam też redaktora M. Kwiatkowskiego do posłużenia się autorytetem księdza ewangelickiego do wydawania publicznej oceny działalności takich, czy innych władz czy instytucji w naszym mieście.

Kościół Ewangelicko-Augsburski od początków Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ma uregulowane stosunki prawne. W oparciu o te ustawy organizuje też życie religijne na szczeblu parafialnym. Częścią tej działalności jest zarządzanie i gospodarowanie swoimi cmentarzami wyznaniowymi. A tu obowiązują nas ustawy i przepisy prawne tak, jak na wszystkich innych cmentarzach w Polsce. (Ustawa z 31 stycznia 1959 roku „O cmentarzach i chowaniu zmarłych”). Jedynolity tekst Dz.U. nr 47 poz. 298 z 1972 roku. Obowiązują też nasze wewnętrzne przepisy porządkowe.

Jak bywa z nagrobkami — kuszą złodziei. Tak dzieje się na wszystkich cmentarzach i to nie tylko w naszym mieście. Nie wiem kto zasugerował autorowi artykułu myśl, że cmentarz ewangelicki w Pabianicach był rozkradany i niszczone przez mieszkańców naszego miasta. Myśl ta nie pochodzi ode mnie. Czuje się bowiem związany z naszym miastem, a z jego mieszkańcami, niekoniecznie tylko członkami mojej Parafii, łączą mnie serdeczne więzi. Parafia dawała temu dowody w niedalekiej trudnej przeszłości, taką postawę, której celem jest integracja i budowanie pozytywnych postaw społecznych pragnę kontynuować również w przyszłości.

ks. MIECZYSLAW JERZY CIESLAR

PS. Założyciel pierwszej fabryki chemicznej w naszym mieście nie nazywał się Sekwiekier lecz Ludwik Schweikert.

Do wiadomości otrzymuję:

1. Wojewódzki Urząd do Spraw Wyznań w Łodzi
2. Miejski Urząd Spraw Wewnętrznych w Pabianicach
3. a/a

CZY JEST TAK ŻŁE W ZGIERZU?

Czytałem artykuł zamieszczony w „Odgłosach” nr 46 pt. „Boruta nad Zgierzem”, z mieszanymi uczuciami. Dobrze, że coraz częściej pisze się na temat ochrony środowiska, ale niedobrze, gdy ilość chochlików drukarskich i niepełne informacje wypaczają rzeczywistość. I tak stwierdzenie: „W Borucie znajduje się 150 emitorów skażeń, głównie niskich (co sugerowałoby, że mniej szkodliwych)” jest mylne. Otóż przy niskich emitorach występują dużo wyższe stężenia toksycznych substancji na poziomie ziemi, niż przy wysokich. W wypadku „Boruty” jest to niebagatelne, gdyż podstawowym surowcem do chemii barwników są związki pierścieniowe — w tym aniny aromatyczne. Są one same w sobie rakotwórcze, lub po mutacji na nitrozaminy stają się nimi. Podobnie zachowują się nafta. Tak więc wykazywanie, (jak wynika z tekstu artykułu) jedynie benzyny jako źródła chorób nowotworowych jest dużym uproszczeniem.

W wypadku emitorów wysokich następuje wielokrotny spadek stężeń toksycznych substancji na poziomie zabudowy, oraz dodatkowo ulegają one utlenieniu i innym przemianom pod wpływem tlenu, ozonu i promieni słonecznych.

„Stężenie pyłów nad miastem 4-krotnie przewyższa normę”. Nie jest to zgodne z rzeczywistością, gdyż równałoby się klasę ekologiczną. Podaje za Wojewódzką Stacją San-Epid. w Łodzi — instytucją upoważnioną do określania tła zanieczyszczeń. Dla Zgierza w rejonie rogu ul. Rewolucji 1905 r. i Karola Świerczewskiego, a więc terenu niekorzystnego z punktu widzenia rozpraszania zanieczyszczeń (dolina Bzury, duża szorstkość podłoża) — częstotliwość przekraczania stężeń średniobudowy pyłu wy-

nosi 4 proc. Wszelkie inne normy (24-godzinna, 30-minutowa, średnioroczna) dla pozostałych zanieczyszczeń są zachowane.

„nie jest prawdą, że wysypiska się w ogóle nie rekultywuje”. Otóż takiego wysypiska nie da się zrehabilitować. Wala się tam złom, beczki z tworzyw, deski, szlamy pofiltracyjne itp. Należałoby najpierw odpady stałe segregować, tj. złom do hut, tworzywa sztuczne i drewno spalić lub sprzedać, natomiast resztę próbować rekultywować, kompostować lub poddać innym operacjom technologicznym. Objętość hałdy uległaby zmniejszeniu o dwie trzecie. Z tym, że pozostanie problem metali ciężkich, jak rtęć, ołów, cynk — które nie ulegają utylizacji. Związki te przedostają się do wód powierzchniowych i zatrzuwają (m. in. Bzurą) dziesiątki kilometrów. Przy napotykanii tworów geologicznych przepuszczalnych migrują do studzien i innych ujęć wody.

„w polskim ciepłownictwie w dalszym ciągu nie można zatrzymać na filtrach dwutlenku siarki”. Otóż dwutlenek siarki jest gazem i na żadnych filtrach nie ulegnie osadzeniu. Służą do tego metody odsiarczania oparte na absorpcji itp.

„ZPB Boruta zlecił branżowemu Biuru Projektów PROAT w Szczecinie — wykonanie aparatu do badań uciążliwości...”. Takiego cudownego aparatu nikt jeszcze nie skonstruował na świecie — nie tylko PROAT. Chodzi tu o opracowanie teoretyczne pod nazwą — Aparat ochrony atmosfery. Jest to komplet obliczeń rozpraszania się zanieczyszczeń przy wykorzystaniu różny wiatrów z wieloletnią i warunków fizjograficznych danej okolicy, który pozwala na planach zagospodarowania terenu określić izolację stężeń substancji toksycznych i izotomii hałasów emitowanych przez zakład produkcyjny. Dane te są niezbędne dla ustalenia strefy sanitarnej wokół zakładu.

Szkoda, że artykuł poruszając dość gruntownie tematykę odpadów stałych i gazowych nie mówi o ściekach. A jest to odrębny i nabrzmiały temat, gdyż ścieki zakładowe naruszają ekosystem wiele kilometrów za granicami Zgierza.

Zgierz 1986.11.19.

PAWEŁ LUKSZEJD

JEST ARTYSTA I JEST PUBLICZNOŚĆ

Pragnę serdecznie podziękować za wydrukowanie bardzo atrakcyjnego wywiadu z Krzysztofem Krawczykiem. Piosenkarz ten jest moim ulubionym wykonawcą od blisko 20 lat. Jego piękne, melodyjne przeboje towarzyszą mi w różnych życiowych sytuacjach: cieszę się, bawię, sprawiam radość, ubarwiam życie, pomagają w trudnych chwilach, oddalają kłopoty, sprawiają, że problemy stają się nie tak ważne.

Słędzę z zapałem artystyczne koleje losu Krzysztofa Krawczyka, koresponduję z wielbicielami naszego „Trubadura” i tu pasja sprawia, że jest mi łatwiej, weselej i ciekawiej żyć. Dlatego nasze go ulubienca nie było, ale czekałmy cierpliwie i wiernie.

Krzysztof Krawczyk był jednym z polskich artystów, który za granicą zadawał sobie trud nagrywania nowych polskich piosenek, przysyłania dziesięciu listów dla Polskiego Radia i udzielania na odległość wywiadów prasie polskiej (właśnie B. Gadamskiemu). Tak pieczołowicie podtrzymywany kontakt z Ojczyzną sprawił, że i publiczność nie zapomniała o swoim ulubieńcu.

Krzysztof Krawczyk wrócił do Polski i jest to come back w pełni udany. Publiczność przyjęła „Trubadura” bardzo ciepło, wprowadziła jego piosenki na listy przebojów, wykupiła longplay w „złoty” nakładzie, przyznała tytuł Piosenkarza Roku 1985 i wypelnia sale koncertowe. Jest więc artystą, który chce śpiewać. Jest publiczność, która chce go słuchać. I są dziennikarze, którzy ta sytuacja okropnie denerwuje. Jak ktoś się ludziom bardzo podobą, to zaraz znajdują się tacy, którzy chcą ten sielankowy nastrój zniszczyć. Pojawili się więc w prasie recenzje krytykujące Krzysztofa Krawczyka. Konkretnych zarzutów oczywiście brak, bo głos ma ten piosenkarz wspaniały. Ale pojawiają się złośliwe uwagi „idol dla kucharek”, „najprzystojniejszy jak wszyscy pomocnicy fryzjera razem wzięci”, albo wręcz autorytatywne stwierdzenia, że „na estradzie nie umie nic”.

Piszę więc różni ludzie różne złośliwości pod adresem Krzysztofa Krawczyka, absolutnie nie dopuszczając zainteresowanego do głosu. Dlatego też bardzo ucieszył mnie wywiad „Chłopiec do bicia czy Nikifor na estradzie?” Nareszcie mogliśmy poznać drugą stronę medalu, dowiedzieć się jak było naprawdę. Krzysztof Krawczyk wyszedł obronną ręką z ognia pytań, jakimi zasypał go Bohdan Gadamski. Na ogół czytamy wywiady-laurki. Każdy, z kim czytamy rozmowę jest traktowany jak gwiazda nr jeden. Rozmówcy zadaje się grzeczne pytania — są grzeczne odpowiedzi. Nie ma konfliktów, drażliwych tematów, niezręczności, sensacji.

Krzysztof Krawczyk jest obecnie najpopularniejszym śpiewającym mężczyzną. Jest też artystą, o którym się najczęściej pisze. Wzbudza emocje i kontrowersje, lansuje przeboje za przebojem, koncertuje w całym kraju, słychać go w radiu, widać w telewizji — dobrze, że go mamy. To, że krytycy zrobili sobie z Krawczyka „chłopca do bicia”, absolutnie nie zmniejsza popularności tego wokalisty. Zresztą dziennikarz, który wykopał przeciw Krawczykowi topór wojenny, po obejrzeniu recitalu telewizyjnego, przekonał się do naszego ulubienca i „zawiesza urodanie”. Coraz więcej osób przekonuje się do talentu tego piosenkarza. Sądzę, że wywiad w „Odgłosach”, „nawroci” ostatnich przeciwników Krzysztofa Krawczyka. To artysta utalentowany, a przy tym człowiek szczerzy, serdeczny, naturalny, ceniący i kochający swój zawód i swoją publiczność. Dziękuję więc za tak atrakcyjny wywiad z ulubieńcem. Szkoda tylko, że zdjęcie artysty z żoną jest tak słabej jakości. Pozdrawiam serdecznie.

REGINA KUSIAK
(Gorzów Wielkopolski)

START — 87

Biuro Organizacyjne 14 OGÓLNOPOLSKIEGO PRZEGLĄDU STUDENCKICH TEATRÓW DEBUTUJĄCYCH „START 87” — KIELCE informuje, że przegląd odbędzie się w terminie 28 lutego — 1 marca 1987 roku.

Teatr Studencki — przynajmniej w rozumieniu organizatorów przeglądu — nie jest teatrem tworzonym li tylko przez studentów (choć i taka ewentualność nie jest wykluczona), lecz teatrem będącym wypowiedzią ludzi młodych, teatrem wywodzącym się z tradycji polskiego ruchu teatru studenckiego lat 50., 60., 70., międzynarodowego ruchu kontestacji i odnowy artystycznej i etycznej.

Prawo uczestnictwa w przeglądzie mają teatry, które nie brały udziału w „STARCIE” więcej niż jeden raz i nie zdobyły na nim żadnych wyróżnień i nagród.

Zgłoszenie uczestnictwa należy przesłać pod adresem Biura Organizacyjnego Przeglądu do 10 stycznia 1987 r. Zgłoszenie winno zawierać: nazwę teatru, tytuł i scenariusz spektaklu Informację o działalności teatru, oraz adres i telefon kierownika teatru.

Adres Biura Przeglądu:
Biuro Organizacyjne Przeglądu „START 87” ABKISZ ZSP „Alma Art” 25-002 KIELCE, ul. H. Sienkiewicza 59.

Telefony: 608-62, 605-93, Telex 0612462.

TELEFON W SOKOLNIKACH

Odpowiadając na notatkę prasową zamieszczoną na łamach „Odgłosów” 25.10.86 r. pt. „Nie ma Sokolnik na mapie, a przecież są — Ustawia się kolejka do automatów”, Wojewódzki Urząd Telekomunikacji w Łodzi uprzejmie wyjaśnia: — automat telefoniczny umieszczony przy Urzędzie Pocztowym w Sokolnikach został zainstalowany na zlecenie Urzędu Gminy Ozorków, który ryczałtem opłaca rachunki telefoniczne. Do godziny 15 linia użytkowana jest przez Urząd Pocztowo-Telekomunikacyjny w Sokolnikach. Po godzinie 15 pracownik poczty przełącza numer rozmówcy na aparat zewnętrzny, z którego można uzyskać połączenie tylko w ruchu okręgu łódzkiego. Tak więc uzyskanie połączenia z Warszawą jest niemożliwe, nie mówiąc o Waszyngtonie, z którym to Łódź nie posiada łączności automatycznej.

Z uwagi na niedostateczny dozór służb porządkowych, jak również głęboką zniechęć społeczeństwa w stosunku do milicji publicznej, aparat ten, jak i wiele innych aparatów udostępnionych społeczeństwu przez Urząd, jest często zdewastowany. W ostatnim okresie: od 3.10 do 31.10.86 r. aparat nieczynny był z powodu wymontowania mikrofonu oraz tarczy numerowej.

Jest to problem nie tylko telefonu w Sokolnikach. Zdewastowane aparaty telefoniczne — wrzutowe straszą swym stanem technicznym wszystkich nas, których sytuacje życiowe zmuszają do natychmiastowego skorzystania z łączności telefonicznej. Jednak z przykrością należy stwierdzić, iż brak wyobraźni jednostek społecznych powodujący taki stan rzeczy, rzuca jednocześnie cień winy na pracę Urzędu.

lnż. Z. ROMANOWSKI

Do wiadomości:

1. Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji, Sekretariat Dyrektora Okręgu do spr. AG-056/116/86 90-940 Łódź, al. Kościuszki 5/7.

2. Rzecznik Prasowy Prezydenta m. Łodzi Urząd Miasta Łodzi, 90-104 Łódź, ul. Piotrkowska 104.

GWOLI ŚCISŁOŚCI

Do artykułu zamieszczonego w numerze 44 „Odgłosów” z dnia 1 listopada br. pod tytułem „Po co nam to było?” — wkładł się przypadek. Chociaż złośliwie zlikwidował przedsięwzięcie zagraniczne „Jocot”, które w rzeczywistości nadal istnieje i prosperuje. Nie istniejąca firma zwie się natomiast „Jorpol”. Zainteresowanych przepraszamy.

REDAKCJA

DLACZEGO LUDZIE UWAŻAJĄ, ŻE WYROKI SĄ NIESPRAWIEDLIWE?

Sąd, w opinii publicznej (Centrum Badania Opinii Społecznej) i w świetle w jakim skomentował wyniki badań ankietowych rzeczony Sąd, Józef Klimka (GP Nr 20 16.X.86) nie wygląda najlepiej. Nie dość, że bogowie uczynili sprawiedliwość niewidomą od urodzenia, to teraz czyni się ją głuchą na zale stron, bezduszną, nie podającą pomocnej dłoni, nie wychodzącą do ludzi.

Gwoli uczciwości dodać należy, iż opinie J. Klimki potwierdzają inne szacowne gremia i nie mniej szacowne autorytety w wersji solo (m. in. S. Podemski „Polityka” z 9.VIII.86, R. Czerniawski „Prawo i Życie” z 9.VIII.86).

Wśród wszystkich intrygujących zagadnień poruszanych w rzeczony ankiecie najbardziej zadziwiło mnie postawienie pytania o przyczyny wydawania przez sądy niesłuszných wyroków. Zastanawiające jest również podanie jako jednej z możliwych przyczyn „nieuczciwość świadków, którym sąd daje wiarę”. Odzwierciedla to ogólną sytuację w kraju, sądy nie funkcjonują przecież w abstrakcyjnej czasoprzestrzeni — sytuację dewaluacji zaufania wzajemnego, braku obiektywizmu, beztroski w traktowaniu ważnych dla innych spraw.

Myślę, że cały problem sprowadza się do podstawowego dylematu prawa i sądownictwa: w jakim stopniu sąd powinien zaspokajać społeczne poczucie sprawiedliwości, a w jakim stopniu je kształtować? Nie jest to oczywiście wyznacznik naszego wieku i jego burzliwych lat osiemdziesiątych. Od dawna, od bardzo dawna decyzje podejmowane zgodnie z literą prawa przez jakikolwiek organ to prawo stosujące znajdujący społeczna akceptację nieczęsto. Ba, nawet niejednokrotnie akty legislacyjne najwyższego rzędu nie były popularne wśród społeczeństwa, do których były adresowane. Wymownym przykładem tych ostatnich są ustawy o gospodarce lokalną i mieszkaniową, o obrocie nieruchomościami, przepisy dewizowe itd. Jednostkowe orzeczenia sądów stawały się bardzo często przedmiotem publicznych prasowych dyskusji i wystąpień.

Cóż zatem oznacza termin „słuszny wyrok”? Oczywiście musi być zgodny z prawem, elementy stanu faktycznego muszą być do wypełnienia znaną daną typu rodzajowego przestępstwa bądź też wyczerpywać dyspozycję konkretnego przepisu prawnego. Ale przecież to stany faktyczne, które budzą najwięcej kontrowersji z trudem mieszczą się w sztywnych ramach niektórych przepisów nie zawsze przecież nadążających za błyskawicznie zmieniającym się życiem wraz ze wszystkimi jego problemami. Niekiedy nie mieszczą się wcale. Nie ma przepisu prawnego, a podświadomie czujemy, że coś jest nie tak, że ktoś został skrzywdzony, oszukany, zlekceważony. A w jakim stopniu uwzględnić tzw. zasady współżycia społecznego? Oczywiście dla każdego prawnika jest jasnym, że tam gdzie istnieje konkretna norma prawna i jej graficzny zapis w postaci przepisu prawnego, nie ma miejsca na stosowanie zasad współżycia społecznego, nadto nie mogą być one materialną podstawą roszczenia. Ale czy ta wiedza tak wiele może zmienić, pomóc?

Sąd może oddalić roszczenie, jeśli nie ma przepisu, na podstawie którego mógłby je uwzględnić, ale czy to usatysfakcjonuje stronę wnoszącą pozew, oczekującą od sądu nie tylko sprawiedliwości, że tak powiem, prawnej, ale i ludzkiej. Uzasadnienia nie tylko prawnego, ale i moralnego. Ze od rozgrzeszenia moralnego są inne podmioty niby wszyscy wiemy, lecz w ten sposób rodzi się mit niesłuszných wyroków...

Na tym tle rodzi się zresztą drugi, nie mniej ważki problem, dotyczący już bardziej samych sędziów, nie zaś sądu w ogóle: kto jest cenniejszy — sędzia o kompetentnym acz chłodnym poglądzie do sprawy, czy sędzia, który po ludzku pozwoli się stronie

wyalić, wysłucha do końca informacji mających bardzo niewiele nawet wspólnego z istotą sprawy. I kto to ma oceniać.

Rozpoznawałam kiedyś sprawę, o przywrócenie do pracy, w której większość załogi opowiedziała się (w tajnym a jakże głosowaniu) za utrzymaniem dotychczasowego kierownika na jego stanowisku, a w miesiąc później kierownik ów został odwołany ze stanowiska przez zarząd zakładu pracy — spółdzielni...

Sądy Pracy nie są tymi, które wzbudzają najwięcej emocji z tytułu tematyki rozpoznawanych spraw. Za najbardziej spektakularne uchodzą wydziały karne. Wydziały rodzinne są nobilitowane przez sprawy rozwodowe. Sądy Pracy są najmniej atrakcyjne. A niesłusznie. Cała materia prawa pracy to pole do doskonałych obserwacji wszelkich zmian społecznych.

Wśród wyników ankiety J. Klimka zwrócił uwagę na wysokie przekonanie społeczeństwa o istniejącej nierówności w sporze pomiędzy pracownikiem a zakładem pracy, uznając to za dowód wzrastającej(?) niewiary w obiektywizm sądów.

Ponad roczny okres funkcjonowania sądów pracy daje materiał do pewnych obserwacji. Przede wszystkim twierdzenie o niejednakowej pozycji przed sądem podmiotów biorących udział w postępowaniu jest częściową prawdą. Nie oznacza to oczywiście, że w sporze pracownik — zakład pracy, oba te podmioty mają nierównorzędną pozycję przed sądem! Różnica polega na zupełnie czymś innym i dotyczy raczej tylko samych zakładów pracy. Wiadomo, że stronami procesu mogą być zarówno duże zakłady, jak i zupełnie małe. I ich pozycja jest różna. Silne, duże przedsiębiorstwa wyposażone są w sprawną obsługę prawną. Ich radcowie prawni z reguły starannie przygotowują materiał dowodowy w sprawie, opiniując każdą decyzję dyrektora od strony merytorycznej i formalnej. Siłą faktów w tej grupie spraw, w których stroną są właśnie takie zakłady pracy zdarza się znacznie mniej uchybień i nieprawidłowości przy podejmowaniu decyzji pracowniczych, zatem większość spraw jest przez te zakłady wygranych. W małych przedsiębiorstwach, nie posiadających na ogół własnej obsługi prawnej sprawy są gorzej przygotowywane tak od strony prawnej, jak i faktycznej. Nawet, jeśli wydaje się, że merytorycznie decyzja zakładu pracy jest słuszna, to uchybienia formalne, trudności dowodowe powodują uwzględnienie powództwa pracownika lub zawarcie ugody, do jakiej, przy prawidłowej działalności odpowiednich służb prawnych zakładu nie doszłoby.

W tym kontekście mogłaby pojawić się sugestia, wyobrażenie, że większe przedsiębiorstwa mają lepsze „układy”, są lepiej traktowane przez sąd, że w konfliktach z nim pracownik, jeśli jest jeszcze dzieła bez pełnomocnika, jest zupełnie bez szans itp. Co jest oczywiście nieprawdą. Stąd też, być może, bierze się przekonanie części respondentów, że sąd „opowie się po stronie zakładu pracy”.

Z tym związana jest jeszcze jedna refleksja: wdrażanie zasad reformy gospodarczej nie następuje bez bólu i trudności. Wśród pracowników ciągle panuje przekonanie, że to oni wyłącznie mogą decydować o swoim miejscu pracy i prawie każde rozwiązanie umowy o pracę za wypowiedzeniem przez zakład pracy z powodu nieprzydatności lub zbyt małej wydajności pracownika na danym stanowisku spotyka się z jego zdecydowanym sprzeciwem. Z drugiej strony — stosowanie reformy powoduje, że niejednokrotnie regulaminy placówek zawierają niekorzystne postanowienia dla pracowników, którzy decydują się na odejście z przedsiębiorstwa, nawet przy ich nienagannym przebiegu. I znów można by powiedzieć, że „sąd opowie się za zakładem pracy”, — a przecież podstawą wypłat premii i nagród są obowiązujące w zakładzie pracy regulaminy (premiowania, podziału zysku itp.) i one stanowią podstawową przesłankę wyrokowania, nawet przy pełnej świadomości sądu, że jest to działanie zakładu pracy, aby wszelkimi dostępnymi środkami zatrzymać pracownika.

Wśród wszystkich niezwykle precyzyjnie zebranych i wymienionych cech i zachowań sędziów nie zwrócono, moim zdaniem, uwagi na jeszcze jeden aspekt, który, być może, miałby pewien wpływ na budowę autorytetu sądów. Jest to kwestia popularyzacji wiedzy prawniczej, wyników pracy sądów itp. A można to robić w atrakcyjnej formie.

BARBARA KEMPA

TŁUMACZE O SOBIE I NIE TYLKO

Ostatnio mało miejsce w Warszawie. III Międzynarodowe Sympozjum Literaturoznawcze. Organizatorami byli: Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich (Sekcja Tłumaczy Literatury), Międzynarodowy Zakład Teorii Tłumaczenia (UL) oraz Agencja Autorska. STP mogło powstać dopiero w 1981 roku, chociaż od dawna zabiegano, by w Polsce stworzyć taką organizację. Stowarzyszenie to zrzesza ponad tysiąc sześćdziesiąt członków. Są to tłumacze literatury pięknej, literatury naukowo-technicznej (większość członków), a także tłumacze przysięgli, kabinowo-konferencyjni i tłumacze publicyści, tłumaczący materiały agencyjne na potrzeby prasy, radia czy telewizji.

Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich jest członkiem Międzynarodowej Federacji Tłumaczy (FIT), która ma siedzibę w Paryżu. Federacja ta powstała już dość dawno, bo w 1953 roku. Skupia ponad 50 krajów z całego świata. Polska stara się być aktywnym członkiem tej Federacji, stąd m. in. i to Sympozjum międzynarodowe, zorganizowane u nas po raz trzeci. Wzięło w nim udział tym razem dwunastu przedstawicieli środowisk tłumaczy z zagranicy, tj. z tych krajów, w których w jakiś sposób funkcjonuje polska literatura poprzez przekłady. Sprawa, jaką zajmowało się ostatnio Sympozjum był warsztat tłumacza, bowiem doświadczeń w sensie techniki przekładu jest tyle — ilu jest tłumaczy. Zagadnienie to jest bardzo rozległe, dotyczy wszelkich zjawisk, które podlegają procesowi przekładu. Spora ilość problemów towarzyszących aktowi translatorskiemu nie została dotąd opracowana i rozwiązana. Stąd korzyści płynące z tego rodzaju „zlotów” tłumaczy. Np. do dziś nie rozwiązano sporu, czy tłumacz jest twórcą czy też współtwórcą. A może — jak twierdzą niektórzy (i starają się udowodnić na złych tekstach tłumaczeniowych) — jest tylko odtwórcą? Okazuje się jednak (co dowodzone w toku dyskusji trwającej trzy dni), iż każdy warianct tej definicji może być prawdziwy, w zależności od rangi tłumacza, jego kunsztu translatorskiego, który o wszystkim decyduje. Z całą pewnością przekłady z literatury francuskiej Tadeusza Boya-Zeleńskiego, czy z rosyjskiej Jerzego Wysockiego są twórczością i to wysokiego lotu, natomiast twórczością nie są powieści czy wiersze (niestety wydawane) panów X, Y, Z etc.

I właśnie ze względu na obszar zagadnień literackich, językowych, kulturowych, a nawet etycznych — zawód tłumacza jest szalenie trudny (często bardzo niewdzięczny: np. pomijanie nazwisk tłumaczy przez tekstach obcojęzycznych w prasie, radiu, telewizji, a nawet w filmie, gdzie cały splendor tłumaczenia

przez wiele lat zagarniali sobie wraz z mamoną — tantiemy w ZAKSIE! — redaktorzy często nie znający żadnego języka.

Wiemy, że inaczej wygląda przekład na języki słowiańskie, a inaczej na języki odległe, na które pewne nasze zwroty, określenia, terminy są zupełnie nieprzetłumaczalne. Stąd rozważanie problemu przekładu, na ile on jest „zdradą” czyli odejściem od oryginału. Są i tacy teoretycy, którzy twierdzą, iż w ogóle nie istnieje tłumaczenie z jednego języka na drugi, bowiem przy tej „operacji” gubią się po drodze wszelkie wartości dzieła napisanego w języku ojczystym autora. Na temat pewności niektórych powiada, że w odróżnieniu od prozy ma ona tyle warstw, tyle pokładów wartości, iż najgłębszy nawet tłumacz nie jest w stanie dotrzeć do choćby ich połowy, aby przenieść je na swój język własny.

Duży wkład w tego rodzaju dyskusję mają także tłumacze zagraniczni, aktywnie uczestniczący w polskich sympozjach. Np. znany poeta Bolesław Taborski, tłumacz wielu wierszy polskich na język angielski, a nie licząc wielu przekładów Anglosasów dla „rynków” polskiego, mówił o potknięciach, jakie zdarzają się tłumaczowi oraz o kłopotach, na jakie polska literatura natrafia na specyficznym gruncie angielskiego obszaru językowego.

Tłumaczka bułgarska Biagowesta Lingorska, lektorka języka bułgarskiego na UW, tłumaczyła m. in. „Ludzi stamtąd” Marii Dąbrowskiej, „Chama” Elżbiety Orzeszkowej, „Stan nieważkości” Andrzeja Kuśniewicza, „Cesarza” Ryszarda Kapuścińskiego, natomiast jej rodaczka Wiara Maładziejewa zajmuje się teorią tłumaczenia, ale też nie unika praktyki. Tłumaczyła reportaże Krzysztofa Kąkolowskiego, opowiadania Józefa Ozgi-Michalskiego, wiersze wielu poetów. Mówiła, że terminologia bułgarska, z różnych powodów, jest dość uboga. Np. nazwy graficzne z XVI w. w Polsce istnieją, do Bułgarii one w owym czasie zupełnie nie dotarły. Spór trudności dla tłumacza bułgarskiego są m. in. nazwy polskie pochodzenia łacińskiego; w Bułgarii — jeśli one w ogóle istnieją, mają pochodzenie greckie.

Ostatnio w Bułgarii już dopracowano się języka, przy pomocy którego można było przełożyć dramaty Witkacego, Gombrowicza, choć uważano je jeszcze niedawno za utwory dyskusyjne, pod wieloma względami. Ogromnym osiągnięciem bułgarskich tłumaczy jest przekład poezji Norwida, który ukazał się ostatnio. Bowiem uważano dotąd, że wiersze Norwida na język bułgarski są nieprzetłumaczalne, iż każdy przekład ukazywałby „okaleczonego” Cypriana Kamila, nie oddawałby całej wartości jego utworów. Teraz okazało się, że można go przetłumaczyć: dokonała tego świetna poetka Undriana Radewa. Była ona tak zafascynowana Norwidem, że poświęciła na tę pracę wiele lat swego życia.

Nieco inaczej wygląda rzecz translatorska literatury polskiej (i techniki przekładu), w przypadku Ritty Koivisto z Finlandii. W latach siedemdziesiątych prowadziła ona w Warszawie lektorat języka fińskiego, a przy okazji służyła radą i pomocą Polakom usiłującym tłumaczyć literaturę fińską, co ją naprowadziło na pomysł, aby to samo zrobić z literaturą polską. I udało jej się to, ze sporym powodzeniem. Pierwszym autorem był Stanisław Lem, bardzo popularny obecnie w Krainie Tysiąca i Jednego tego stopnia, że nawet teraz co roku ukazuje się tam jedna jego książka. Jest także popyt w Finlandii na polską literaturę młodzieżową. Ritta Koivisto przełożyła m. in. powieści Jurgielwiczowej, Boglarowej, sztuki teatralne klasyków i dramaturgów współczesnych. Próbowała też tłumaczyć polską poezję, przy współpracy poety i tłumacza Bohdana Drozdowskiego, który przez pewien czas znajdował się na stypendium twórczym w Finlandii. I ukazały się potem wybory wierszy Herberta, Różewicza oraz innych znanych poetów.

Organizatorem od strony naukowej tego Sympozjum był docent Zygmunt Grosbart (kierownik Zakładu Teorii Tłumaczenia UL). On też otworzył Sympozjum referatem pt. „Zdradca, odtwórca czy współtwórca?” Przypomniał w nim słowa Jana Paradowskiego o tym, że naczelnym przykazaniem tłumacza jest wiara i rzetelność. Jeżeli ktoś naruszy chociaż jedno z tych przykazań, doprowadza do swoistej pojętej „zdrady” w stosunku do tekstu tłumaczonego, bowiem odwrotność w tłumaczeniach literatury pięknej nie wystarcza: konieczne jest tu współtworzenie.

Przy okazji nadmienię, że niżej podpisany wygłosił referat pt. „O sztuce tłumaczenia poezji konkretnej”, co wzbudziło wśród zebranych spore zainteresowanie, aczkolwiek — jak wiemy — poezja konkretna nie jest rzeczą nową, choć może niezbyt szeroko znaną.

Tadeusz Chrościelewski (tłumacz m. in. z litewskiego, niemieckiego i rosyjskiego) mówił o swych przemyśleniach w kontekście czterdziestu lat pracy translatorskiej. Dodam tu od siebie na marginesie, że referat Chrościelewskiego był utrzymany w lekkiej, przystępnej, skracającej się dowiecipem i humorem, aczkolwiek nie pozbawionej erudycji formie (referat ten drukowały „Odgłosy”).

Warto ohyba przytoczyć na zakończenie parę plotek. Podobno jeden z referatów nie dojechał na Sympozjum, ponieważ wsiadł do innego samolotu, który zawiózł go na Antypodali Inną z kolei „referentka” zasnęła, a gdy jej pogotowie udzieliło pomocy, szybko — o własnych siłach pozostawiając trzęśnięcie do siebie, wpadła na salę i wygłosiła wspaniały referat, nagrodzony brawami i sporą dyskusją.

Opowiada się też, że innym humorystycznym wydarzeniem było wtargnięcie na przyjęcie pożegnane pewnego początkującego tłumacza, który w pewnej chwili przerwał autorowi przekładu paru książek z języka polskiego na słowacki, czyli Jozefowi Hviščowi, który miał to do siebie, że się pochwalił przełożeniem całego tomu wierszy Jerzego Harasymowicza. „Oświadczaam uroczyście, że Harasymowicz nie jest poetą!” — wrzasnął ów młody tłumacz (i wierszopis przy okazji), po czym dokonawszy którąś z kolei lampkę wina — wyszedł w konsternacji i ełszy pełnej zdumienia...

Jeszcze inny, nieprzewidywany uczestnik Sympozjum, wysłuchawszy dwudziestu referatów na ten sam temat — wlaż nagle na trybunę i wygłosił referat... dwudziesty pierwszy! Podobno też nieżył... Ponoć jakiś tłumacz na tym Sympozjum nie chciał wziąć pieniędzy za swe wystąpienie: po zejściu z trybuny szybko odjechał w nieznaną, aby mu ich nie weślnięto...

Ala czego to się nie opowiada o uczestnikach światowych zgromadzeń...

ROMAN GORZELSKI

Biuro LOT-u. Usiadła obok mnie żona nieznanego rodaka. Miała smutną, podkrążoną oczy. Byłem pewien, że chce ukość jakąś troskę, uderzyła jednak w inne strony.

— Panie, a można tu kupić banany?
— Oczywiście — powiedziałem. — Banany, ananasy, kokosy, co dusza zapagnie.
— A buty?
— Buty meksykańskie są wspaniałe!
— A sukienki?
— Jeszcze ładniejsze.
— Dużo kolorów?
— Dużo.

Cierpliwość osiłka wyczerpała się nagle. Podszedł, zepchnął żonę na sąsiedni fotel i wyciągnąwszy z kieszeni książkę pieniędzy, przystawił mi do oczu pięćset pesos.

Czekałem na obelgę: — Masz, głuptoku, na loda, i spier...!

Tymczasem gość wlepił we mnie swój nieufny, chłopski wzrok i zapytał układnie:

— Ile to jest?
— Nie widzi pan?
— Widzę. Ale mów mnie, człowieku, w dolarach.

— Około siedemdziesięciu pięciu centów — powiedziałem.

— A to? — Pokazał tysiąc pesos.
— Pięćset dolarów.
— A to? — Pokazał pięć tysięcy.
— Siedem i pół.

— A to? — Pomachał nominałem dziesięciotysięcznym z miną faceta, który nie darzy sympatią rzeczy obcych i nieznaną.

Czułem, jak zapieka się we mnie zła krew. Odczekałem chwilę i mówię:

— Widzę, że tabliczka mnożenia nie należała w szkole do pańskich ulubionych rozrywek.

— Swoje pieniądze policzyć umiem. Mów pani! — Piętnaście dolarów.

— Zapisuj, Józek, zapisuj! — poradziła żona.

— Zapisowywać to musi głupek — stwierdził wybitny polski myśliciel, który przepracował się widocznie ostatnimi czasami nad kartką papieru i odczuwał piórowstępną.

— Powiedz no mnie teraz, człowieku, co to jest?

Rozsyłał na stoliku garść drobnych i testował mnie sztuką po sztuce. Poruszał w rytm moich wyjaśnień ustami dowodząc, iż jest ambitnym uczniem i nie szczędzi wysiłków, aby przyswoić sobie trudniejsze partie materiału.

W sąsiednim pokoju stukła dalekopis. Grażyna poszła tam. Kiedy zobaczyliśmy ją znowu, była zafrasowana.

— Nie ma na razie dla państwa miejsc — powiedziała.

— A co ze mną?

— Proszę, żeby pan zdecydował się wreszcie, kiedy pan leci. Przyrzekam, że odpowiem w ciągu godziny. Naciśnij.

— Więc niech potwierdzą mi bilet na przyszłą sobotę.

— Niestety. Wciąż brak potwierdzenia. Jest pan cały czas na liście oczekujących.

— Nie wiem, jak Boga kocham, co robić.

— Jo tyż nie wim! — wtrącił gwałtownie rodak. Wzbierała w nim panika i furia. — Nie wim, bo nie wim, psiały!

Żona zapomniała o bananach i popłakiwała cichutko. Dziecko gryzmoliło coś na skrawku gazety plamiąc rączki i twarz czerwonym flamastrem. Rodak pompował mocnymi, nawykowymi do ciężkiej roboty płaciami, przewracał oczami, buchał gorącym oddechem, przełykał ślinę, wreszcie sapnął:

— Pić.

— Zrobię panu herbaty — pośpieszyła Grażyna.

— Nie lubię herbaty.

Wszedł dyrektor Tomczyński i zaproponował uprzejmie:

— Może butelkę coca-coli?

— Coca-cola je za słodka.

— Więc może tonic?

— Nie chce — zaproponował z rozbrajającą prostotą osilek. I wyjaśnił: — Gorzkim! Zwykłej wody mnie dajta, ludzie.

Grażyna wzięła dzbanek i poszła szukać wody. Tomczyński wręczył dziecku dwa kredowe kartony do malowania. Młoda kobieta, nie wypuszczając z karmazynowych palców papierosa super king size, rozplakała się na dobre.

Osilek mięknie, kiedy widzi taką cichą, bezradną rozpacz. Zaczęłam pocieszać biedaków w sposób banalny i typowy.

— Mogło być gorzej. Mogłicie państwo stracić paszporty, bilety lotnicze albo i życie. Są Polacy, którzy włożyli w tę eskapadę cały majątek.

— My też jesteśmy włożyli cały majątek — szlochała kobieta.

— Fiat sprzedaliśmy, żeby kupić przelot i dolecieć. Fiat kosztował nas milion, ale te złodzieje doliczają dwadzieścia pięć procent podatku, więc już masz pan milion i ćwiartkę. Wszystko poszło, jeszcze się czekaj dopóki ci się powiedzieli.

— Meksyk nie jest taki drogi — powiedziałem.

— Nie sposób przejechać dużo w dwa dni. Gdzie mieszkać?

— A tam. — Osilek wycelował palcem w okno, za którym po drugiej stronie ulicy stał w niebo trzydziestopiętrowy budynek. Nie pensjonat, nie uboga noclegownia, lecz hotel dla średnich milionerów.

— Chłopie! — szepnąłem ze zgrozą. — Ile ty płacisz za dobie?

— No, pięćdziesiąt tysięcy tych technicznych pensków.

Znowu zapieniła się we mnie wściekłość.

— Prawie osiemdziesiąt dolarów. Chryste! Nikt, żaden minister, żaden ambasador nie mógłby sobie pozwolić na takie luksusy. O biady pewnie jedliście na miejscu?

— Ano, jedliśmy, panie. I kolacje też. Piwo dawają dobre, trza przyznać, ale cieniutki ankoł sie sprzećwito. Rzygłem.

— Niemożliwe?!

— Pan nie wierzy, pan spyta kobiety.

— Rzygnął — przytaknęła kobieta.

— I kto wam polecił ten hotel?

Matłonkowie wymienili spojrzenia, po czym osilek, niekwestinowana głowa rodziny, zaczął klamać:

— Mieli po nas przyjechać na lotnisko krewniaki, Polaczki z USA. Nie przyjechali, panie, bo jeszcze nie wyrobili papierów. To, panie, dzwonię z lotniska do konsula, a konsula powiada: — Biercie taksówkę i jedźcie do tego hotelu przy „LOCIE”. No to przyjechaliśmy, panie, jak kazał konsula, bo się chyba na tym zna?



Meksyk

Chwyt odwetowy

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Kiedy autor pisze, że go zatkano, to łże, a w każdym razie przesadza. Otóż twierdząc z całą stanowczością, że mnie zatkano. Nie byłem w stanie pociągnąć dialogu. Rozszarpacie mnie, mówicie co chcecie, ale takiego idioty nie powinno się puszczać nawet za granicę gminy. I to w jego własnym interesie.

Zadzwoń telefon. Grażyna wymieniła z kimś parę zdań i podała mi słuchawkę. Wziąłem ją nie bez zdziwienia.

— Zaraz tam będę — mówił konsul Kwiatkowski. — Przywiozę panu pismo w sprawie przedłużenia wizy i pomogę naszym zablakowanym rodakom. Poznał ich pan?

— Tak.

— I co?

— To jest straszne — powiedziałem. — To jest przerażające. To się w ogóle nie mieści w głowie. Kiedy pan mówił o wysokim poziomie naszych bracerów polacos niezupełnie panu wierzyłem, lecz miał pan rację. Himalaje mądrości, bezbłędne przygotowanie turystyczne, orientacja przestrzenna, znajomość geografii. Wszystko!

— Niech pan nie przesadza — osadził mnie konsul. — Facet nie jest wcale taki głupi. To on właśnie dzwonił w nocy do ambasadorowej, że go okradli.

— No, no!

Odłożyłem słuchawkę. Rodzina piła szklankami przygotowaną wodę. Osilek nabrał wigoru; przeciągnął się i zaczął marzyć:

— To, czego bym chciał, panie, to zamknąć ocy, a potem otworzyć ją i żeby już była Polska.

— Nie lubi pan zagranicznych podróży?

— Mency. Ale z tym samolotem to heca, nie? Takie to wielkie, takie cieniutkie, i leci.

— Nigdy pan jeszcze nie wyjeżdżał z kraju?

— Jak to nie! Byłem w Ameryce, znam Chicago.

— O wizę trudno?

— A po co wizę? Wylądowałem w Kanadzie, ale bez rodziny, sam! — Zerknął z przyganą na żonę. — Czekaj na mnie jeden krewniak — Polaczek. Udał się do Vancouver, przesiłm park, panie, ani jednego wopisty, i już byliśmy w USA.

Opadła mi szczeka, co mi się zdarza niestety w chwilach ostupienia. Chciał powtórzyć ten sam numer przez pustynię albo przez Rio Bravo. Nie wahał się zabrać żony i córki. Ale coś go przestraszyło. Coś go powstrzymało. Może naprawdę nawalił mu jakiś krewniaczek — Polaczek?

Czytając jakoby w moich myślach, osilek bąknął:

— Wydalim kupę na telefon do (padła nazwa znanego polskiego miasta). Dwadzieścia cztery godziny czekał na połączenie.

Dośpiewałem sobie resztę. Dzwonił do kraju po to, aby kraj zadzwonił do Nowego Jorku lub Chicago i zawiadomił kogo trzeba, iż rodzinka przeżywa w Meksyku dramaty.

Rozumowałem prawidłowo.

— Tera tyż czekam na połączenie.

— Z Polską?

— Nie. Rychtyk prosto z USA.

— Z hotelu pan dzwoni?

— Ehe,

— Nie wyjdzie pan z długów do końca życia.

— Jakby przyjechali albo podestali trochę hajcu, zarobiłbym fesse.

Żona, której obeschły lzy, poruszyła się niespokojnie. Zdusiła papierosa w popielniczkę i wygrzebiując z paczki następnego, poradziła nieśmiało.

— Leć, Józuś, do hotelu, bo mogą jak raz telyfunować.

— Zare leć.

Przygarnął córkę, która siadła mu na kolanach.



nach. Zrobił to z szorstką, nieklamana miłością, ale kiedy dziecko pociągnęło go umorusaną rączką za wasy, odrzucił je brutalnie.

Grażyna, współczując wyraźnie rodakom, alarmowała co kilka minut Aeroftot. Otrzymywała wciąż tę samą odpowiedź:

— Niech czekają. Może coś się zwołni.

Wszedł konsul. Najpierw porozmawiał z Grażyną, później ze mną, przy czym roztaczał ponure perspektywy oczekiwania na wizę w meksykańskich urzędach. Palec może być wybity albo złamany. Wszystko zależy od tego, jak da lece spuchła stopa. Znał się na dyslokacjach, gdyż grał kiedyś w piłkę ręczną i cierpiał na rozmaite kontuzje. Rozsadek wskazuje, abym najbliższe dwa dni przeleżał w łóżku stosując przeciwwzpalne kompresy.

Podziękowałem mu za dobre słowo i duchowe wsparcie. Działał jak balsam. Był chłodny lecz grzeczny. Przedstawił się polskiej rodzinie i przystąpił do wertowania trzech paszportów, z których ku mojemu zaskoczeniu wynikało, że tatuś i mamusia nie są formalnie małżeństwem (ktoś im widocznie poradził, iż w ten sposób łatwiej wyemigrować), i że nie pochodzą bynajmniej z Białegostoku, Łomży czy Suwałk, przeciwnie: mieszkają w Polsce Centralnej w dwóch różnych, dużych, wojewódzkich miastach.

Skończywszy testować dokumenty konsul spojrzął na osiłka i zapytał:

— Okradli pana?

— Tak.

— Kto?

— A bo ja wim? Mało to złodziejęw pałynta się po świecie?

— Gdzie pana okradli?

— Nie odpowiedział.

— Ile panu ukradli?

— Nie odpowiedział.

— Co to było: złoto, biżuteria?

— Pieniądze — oświadczył ponuro obywatel dużego, wojewódzkiego miasta. I dodał z wdzięczną, nie pozbawioną czaru oskoma: — Przydałoby się trochę pieniędzy.

Nie miałem prawa wtrącać swoich trzech złamanych groszy, ale zrobiłem to z całą wściekłą premedytacją.

— Do kiedy ma pan opłacony hotel?

— Do jutra.

— Więc niech pan biegnie czym prędzej do recepcji, powie, że musi nagle wyjechać, i wycofa te swoje pięćdziesiąt tysięcy.

— Ile? — zapytał konsul.

— Ano, właśnie tyle!

— Kto panu polecił ten hotel?

— Pan mu polecił — powiedziałem.

— No, proszę! I jak to było?

— Dzwonie — lgał spokojnie osilek — a konsula mówi: jedźcie do tego hotelu przy LOCIE.

Tośmy, panie, przyjechali.

W takiej sytuacji można zamordować. Kwiatkowski nie stracił jednak panowania nad sobą.

— Powiedziałem panu gdzie jest biuro LOT-u, jedyne miejsce, w którym mógłby się pan ewentualnie dogadać. Poradziłem, żeby pan wziął taksówkę i natychmiast przyjechał do ambasady.

Gdyby pan tak zrobił, znalazłby panu tani nocleg i udzielił kilku cennych wskazówek. Ale pan był na to za leniwy, wolał pan iść po najłżejszej linii oporu. Naprawdę nie ma pan pieniędzy?

Chłop, nie przejmując się moją obecnością, szachrał bez skrupułów:

— Ni mom.

— Słyszał pan o czymś takim, jak opłata lotniskowa?

— A co to je?

— Trzeba uiścić przed wyjazdem dziesięć dolarów od osoby, albo równowartość w pesach.

W przeciwnym razie, nawet jeśli załatwimy państwu miejsca w jutrzejszym samolocie, nie wpuszczą was na pokład.

— Jak to nas nie wpuszczą?! Co mnie pan tu opowiadasz głupoty?! Mom bilet, to jeźdem w prawach, nie?!

— Ale może być i tak — ciągnął niezłomnie konsul — że nie zdolamy załatwić tych miejsc i będziecie zmuszeni czekać kilka dni, do środy albo nawet do przyszłej soboty. Co zamierzacie wówczas jeść? Gdzie zamieszkacie? Czym zapłacić za hotel?

Żona osiłka znowu roniła lzy, nie zapominając wszelako o papierosie. Wargi mamrotły błagalnie:

— Telyfun, Józuś! Telyfun!

— Jaki telefon?

— Do USA — powiedział twardo Józuś. — Może krewniaki podesła trochę hajcu.

— Proszę podać mi ich nazwisko i numer. Pomogę panu skontaktować się z nimi.

Józuś nie chciał jednak w tym względzie pomocy. Już wychodził, kiedy zatrzymała go sekretarka.

— Niech pan poczeka chwilę.

— Na co?

— Cił. Hola? — mówiła po hiszpańsku w mikrofon. — Buenas tardes. Szukam pokoju dla skromnej, trzyosobowej rodziny, Polacos.

— ...

— Si. Przyjdą około piątej—szóstej.

— ...

— Ile to będzie kosztować?

— ...

— Gracias. Muchas gracias. — I do osiłka: — Niech pan wycofa pieniądze z tego drapacza chmur. Załatwiłam panu niedaleko stąd tani pensjonat. Będzie pan płacił trzy tysiące za dobie.

Powiedziałem mściwie:

— Sam mógł pan to załatwić już pierwszego dnia, gdyby się panu zechciało ruszyć sto metrów w lewo lub w prawo. Tak czy owak, wycofał pan ten pięćdziesiąt kawalków i będziesz pan zaraz bogatym człowiekiem.

Osilek popatrzył na mnie bez uśmiechu. Nie uśmiechnął się również do Grażyny.

Wszedł.

Nie powiedział: — Dziękuję.

W jego zasobnej skądinąd polszczyźnie brakowało zwrotów grzecznościowych.

C.D.N.

Język polski słychać było wszędzie. Kiedy na dworcu kolejowym w Budapeszcie skierowaliśmy się do informacji i próbowaliśmy sorientować się w sytuacji, (w nieco łamanej angielszczyźnie), młody mężczyzna słuchał nas przez chwilę z uśmiechem a potem powiedział bezbłędnie po polsku: — idźcie tam dalej, do kasy...

Przed dworcem zaczepiają nas Murzyni.
— Chcecie kupić łaneczki albo dolary? My mieć dolary. My mieć łaneczki...

Polaków handlujących walutą jakoś nie widać. Cinkciarzka robotę przejęli inni. Później w pociągu do Salonik dowiedzieliśmy się, że ci ciemnoskórzy młodzi chłopcy, to obywatela Jugosławii i... Egipcjanie. Dolar stosunkowo tani — 70 forintów. Ale Węgry nie stanowią już większej atrakcji dla turystów z Polski. Zresztą turystyka pozostawała zawsze w cieniu „biznesu”. Prawdziwi ci, ci rasowi biznesmeni już dawno przeczuli, że na inne kraje, pozostawiając Węgry na pastwę... turystów. Ot takich co to chcą wypocząć trochę i nie stracić.

Żeby „wyjść” na forincie więcej niż 12, 14 złotych trzeba się ciężko napracować. A przede wszystkim nadzwyczaj. Czekała „Afrykana” wciąż cieszy się dużym powodzeniem. Można ją kupić hurtowo w węgierskim sklepie, ale już nie w każdym (oj, nie w każdym), zapakować kartony do walizek i hajda do kraju. Niedługo będzie więcej „Afrykan” w Polsce niż na Wę-

gry na gazetach z zazdrością patrzą na nasz „luksusowy” nocleg. Pomimo światła i gwaru zasypiamy. Ale nie na długo. Gdzieś tak około 3 nad ranem zostajemy brutalnie obudzeni przez obsługę dworca. Tłumaczą nam, że nadchodzi pora sprzątnąć. Szukamy poczekalni. Jest. Ale przed poczekalnią, duża kolejka. Wpuszczają tylko osoby z ważnymi biletami. Widzimy, jak brutalnie zostaje wypchnięty z poczekalni niedźwiedź ubrany starzec.

My też biletów nie mamy, czekaliśmy z tym do jutra. Spać na dworze nie można, bo noc wyjątkowo chłodna. Jednak udaje nam się jakoś dostać do środka. Zasypiamy starając się nie myśleć o kolejce, która czeka na zewnątrz, aż choć jedno miejsce się zwolni.

ZIELENY WIENEC

Może dlatego, że to niedziela nie spotykamy wielu Polaków. Towar oferowany przez naszych prywatnych eksporterów? Mniej więcej to samo co na Węgrzech. Tylko im dalej na południe tym rentowność jest większa. Te same artykuły można sprzedać w Grecji i w Turcji, a nawet dalej — w Afryce. Zresztą później, w Izraelu sam widziałem polskie „Kasprzaki”, które dotarły tam, jak sądzę, nie poprzez centralę handlu zagranicznego. A więc dobrze idą radzieckie maszyny do golenia i zegarki, nasze

dół osobowych odstrasza nasz wielki i ciężki bagaż. Zapada wieczór. Jesteśmy gdzieś na autostradzie w okolicach Larisy. Wyciągamy puszkę — znów o kilka deko mniej. Może to absurd, ale toczyliśmy dość zaciętą boję, czyja puszka ma być zjedzona najpierw. Jesteśmy zmęczeni już swoim bagażem. Koło stacji benzynowej rozkładamy karimatki i kładziemy się spać, licząc na to, że rano na drodze w nocy się zmniejszą. No i przeliczyliśmy się. Dzięki Bogu jest ciepła noc. Nad nami niebo pełne gwiazd, słychać szum morza. Nic dziwnego, że Grecja wydała tylu poetów. Odtwarzając w pamięci Sonatę Księżycową Yamisa Ritssona zasypiam.

W tym roku spotkać kogoś znajomego, o tak przypadek, w Atenach nie było trudno. Na przykład na Omonia Square. Mnie się to przydarzyło kilkakrotnie. Ateny są latem całkowicie opanowane przez turystów, także z Polski. Ale ludzie mówiący po polsku, to nie tylko turyści.

Duża grupa osób to tzw. uchodźcy. Tutaj, w Atenach czekają na wizy do innych krajów — do Australii, Kanady, Stanów Zjednoczonych. Co krok spotykamy takich ludzi, aż wreszcie trafiamy do hotelu, który prawie cały zamieszkały jest przez azylantów. I to nie tylko z Polski. Cairo city hotel — przebywają tu nawet całe rodziny. Widać wszędzie suszącą się bieliznę, po korytarzu biegają dzieci. Dzieci mówiące po polsku, jak i w narzeczu Bantu. Próbuje dowiedzieć się czegoś o azylantach, nieśmiały nie są zbyt rozmowni. Może biorą mnie za funkcjonariusza w delegacji?

Jedynie młode małżeństwo z Warszawy opowiada trochę o sobie. Czekają na wizę do USA. Pracują dorywczo, najczęściej na wsi. Ogólnie chwala sobie pobyt tutaj. Praca przez kilka miesięcy w roku pozwala im żyć na przyzwoitym poziomie przez resztę roku. Życie w Grecji nie jest drogie.

Zanim trafiliśmy do Cairo City mieszkaliśmy w kilku hotelach spod znaku YOUTH HOTEL, które werbowwały już swoich gości na dworcu kolejowym, nierzadko dysponując własnym transportem. Hotele te reklamują się jako najtańsze, co nie jest wcale prawdą. Miejsce na tarasie (z możliwością korzystania z wygod itd.) kosztowało 250 drahm. W Cairo City dostaliśmy pokój dwuosobowy, nawet niebrzydki, z umywalką za 350 drahm na dobę. A gdybyśmy deklarowali dłuższy pobyt cena ta spadłaby do 300, albo i jeszcze niżej.

Pod Akropolisem orbisowski autokar, Polaków można poznać po ubiorze, a także po aparatach marki Zenith, których jeszcze nie zdążyli sprzedać. Akropol w remoncie. Niektóre ze słynnych kolumn odstawione na bok, poddawane są konserwacji. Spoglądając z góry na miasto czuje jak przenika mnie fluid wieczności. Ale to chyba złudzenie. Ktoś napisał kiedyś a propos przemijania kultur: na Akropolu teraz pasą się kozy. Kóz, co prawda nie widziałem, ale coś w tym jest.

Czekamy na wizę do Izraela. W jednym z wielu biur turystycznych kupujemy za ostatnie pieniądze bilety na prom do Hajfy. Wprowadzamy reżim finansowy. W konsekwencji przenosimy się na plażę w Kalamakach, niedaleko Pireusu. Odtąd przez trzy dni, tu będzie nasz dom. Tu śpimy, tu jemy, myjemy się nie i oczywiście kąpiemy się. A woda palce lizać — ciepła i czysta.

Rano budzą nas kuracjusze pobliskiego sanatorium udający się na zabiegi. Tu spotykamy Georga — Cypryjczyka, a właściwie uchodźcę cypryjskiego. Dowiadujemy się wiele o dramatycznych losach narodu cypryjskiego, o ekspansywnej polityce Turcji. George jest strażnikiem plaży... W sezonie jesiennym... Pływanię zakłóca nam plotka, jakoby przy tej plaży w zeszłym roku rekin pożarł jedną osobę. Trzymamy się bliżej brzegu... Po „Szczekach”, niektórzy obawiali się kąpiele w wannie. Na plaży w Kalamakach, podobnie jak na większości innych plaż dominował w tym roku topless.

Grecja jest dla turystów bardzo atrakcyjna, a przede wszystkim tania. I może dlatego tak atrakcyjna. Tania dla Polaków, więc można sobie wyobrazić jak tutaj wypoczywają goście z Zachodu. Rozliczne biura oferują wycieczki po kraju, na wszystkie wyspy Cyklad, można za ich pośrednictwem dotrzeć do Aleksandrii i Hajfy.

W czwartek rano opuszczamy plażę w Kalamakach i ruszamy do Pireusu. Dziś odchodzi, (a właściwie odpływa) nasz prom. Już na dworcu metra w Pireusie jakiś mężczyzna pyta nas: — To Hajfa?

— Yes.
— „Paloma”? Litmasol?
— Yes.

Bierze od nas bagaż i pakuje na wózek. Idziemy za nim. Razem z nami kilka młodych osób, Skandynawów udających się do izraelskich kibuców. Jesteśmy zadowoleni z poziomu usług — to się należy dbać o klienta!

Jakie nas czeka rozczarowanie, kiedy po załatwieniu wszystkich formalności w Ciston Office — uprzejmy pan żąda od nas po 300 drahm od osoby. Skandynawowie płacą bez zmużenia oka.

Zaczynamy tłumaczyć, że nie mamy pieniędzy, że gdybyśmy wiedzieli, to byśmy przynieśli nasze plecaki te 300 metrów, plecaki zresztą już opróżnione z walówek.

— Nie macie drahm? Ani dolarów?

— Tylko złote — odpowiadamy, co było częściową prawdą.

— Złoty? Okay.

Pokazuje nam miejsce, gdzie można wymienić każdą walutę na drahmy. Każdą — to nie znaczy polską. Tragarz jest wyraźnie zaskoczony. My razem z nim udajemy zaskoczenie.

— Jak to nie przyjmujecie złotych? Why?

Mamy wielkie poparcie tragarza. Jesteśmy oburzeni i solidarni. Koczmy się na tym, że dostaje od każdego z nas po 100 drahm. Wchodzimy na „Palome”, zajmujemy miejsca na decku.

19.00 wypływamy z Pireusu do Hajfy.

Odessa

GRZEGORZ GALASIŃSKI



JACEK MACIASZEK

Podróż do Ziemi Świętej

rzecz. Cena jednego kartonu (dla nie podróżujących, więc nie wtajemniczonych) 300 forintów — na polskim bazarze około 5000 zł. Ale ileż tej czekolady można zabrać ze sobą?

Miasto nastawione wyłącznie na turystów. Biorąc pod uwagę ceny — nie na turystów z Polski. Wieczorem Budapeszt przypomina zapaloną choinkę. Wsiadamy do pociągu.

KIERUNEK BELGRAD

Dżemi — młody Jugosłowianin rodem z Pacy (uwaga! słowo bardziej za Albanczyka), wraca do kraju z Polski. Jest zadowolony, ale przed granicą okazuje lekkie podenerwowanie. Była to — jak się okazało — podróż nie tylko turystyczna. Przed granicą zaczyna się przepakowywanie towaru. Mnie przypada w udziale peketa saszetka — w środku — „bizuteria” z Polski. — Różne kolczyki, klipsy — nie klipsy.

Mówimy po polsku. Dżemi wielokrotnie przebywając w Polsce dość dobrze włada tym językiem. Zresztą dla nas — Słowian — nigdy język nie stanowił problemu. Jugosłowianin chwali nasze dziewczęta. Nie jest nam miło. Nasze dziewczęta są popularne. Tak jak polska wódka. Czasem jeszcze Lech Wałęsa. Jan Paweł II — taki stereotyp polski funkcjonuje na całym świecie. Choć są kraje, w których ludzie w ogóle o Polsce nie słyszeli!

Drugi mężczyzna jadący w naszym przedziale okazał się Jugosłowianinem z pochodzenia, ale stałe mieszkającym w Polsce. Dlaczego? Okazuje się, że życie w Jugosławii nie należy do najłatwiejszych, co zresztą mogliśmy sami stwierdzić podczas naszego kilkudniowego pobytu.

Jugosławia to kraj jednocześnie biedny i bogaty. Pornografia w każdym kiosku, na pół legalna. Prostytucja. Jugosławia to kraj borykający się z wieloma problemami. Często podobnymi do naszych, ale a rebours. Są regiony które opływają w dostatek, są też i biedne. Sporo bezrobotnych pozostaje bez zasiłku. Młodzi ludzie po ukończeniu studiów często czekają po kilka lat na pracę w swoim zawodzie — sprzedając, na przykład, gazety na ulicy.

Dojeżdżamy do granicy. Subotica. Celnik pyta tylko: — Polacy? Do Grecji? — i daje nam spokój. Dżemi płaci 16 000 dinarów cła i wydaje się być zadowolony.

KOMIWOJAZEROWIE I ŻEBRACY

Siedząc na dworcu w Belgradzie jesteśmy co rusz nagabywani przez ludzi zajmujących się (co u nas nie jest tak popularne) handlem obnośnym. Wreszcie, trochę z litości, kupujemy od jednego starszaka dwa kalendaryki z gołymi panienkami a 10 dinarów. Chwilę później okazuje się, że kalendaryki są na rok 1983... Ale panienki, dzięki Bogu nie zestarzały się.

Jaskrawym symbolem ubogiej Jugosławii może być dworzec kolejowy w Belgradzie. Dworzec, który niczym prawie nie różni się od naszej Łodzi Kaliskiej. Jest to moje kolejne rozczarowanie Jugosławii. Nad całym dworcem unosi się mdławych zapach uryny. Jeżeli chodzi o „wygody”, to pożałuj Boże. Można korzystać z ubikacji na dworcu autobusowym, kilkadziesiąt metrów dalej, z ubikacji płatnej, ale już w miarę przyjemnej, ale tu na podłożu oczekują kolejnie niespodzianki. Otóż, lokal opanowany jest przez homoseksualistów — podglądaczy.

Nadchodzi wieczór. Jutro wybieramy się na ZIELENY WIENEC — jeden z belgradzkich bazarów. Rozkładamy karimatki przy jednej z kas dworcowych i kładziemy się spać. Podróżni

suszarzki do włosów, buty i garnitury. Dinary można od reki wymienić na jakże poszukiwany w Polsce towar — na dolary. Relacja — 430 dinarów za dolara.

W pociągu do Salonik trudno znaleźć wolne miejsce, choć to wydawałoby się po sezonie. Wreszcie jakoś siadamy. Do końca towarzyszą nam dwie młode Niemki, które wybierają się do Grecji na wypocinek. Kiedy rozmowa schodzi na pieniądze okazuje się, że nasze towarzyszyki wzięły ze sobą coś około 1000 dolarów na osobę i jest to rzecz całkiem naturalna. Głupio się czujemy ściskając w kieszeniach po kilkudziesięciu dolarów. Ze smutkiem spostrzegam, że dzieli nas wielka bariera, nie tylko kulturowa, ale materialna. Ale mimo to

POLACY DUŻO PODRÓŻUJĄ

Choć teoretycznie powinni siedzieć w domu. Podróżujemy i handlujemy. Handlujemy, żeby móc podróżować. Podróżujemy, żeby handlować. Wozimy ze sobą zapasy jedzenia. Nie korzystamy z hoteli. Unikamy natrętnych taksówek. Grecka celniczka pyta krótko: — Polonia? — i już nasze bagaże idą do kontroli. Celniczka szuka polskich spiwołów i namiotów, a przede wszystkim radzieckich „Zenitów”. W zależności od kaprysu wpisuje niektóre rzeczy do paszportu. Dość skrupulatnie przegląda nasze plecaki. Polska mielonka trochę waży. A kiedy nie znajduje nic ciekawego, bierze się za bagaże Niemek.

Spotykamy samych Polaków. Nie dziwnego, skoro z samej Łodzi przyjechało tu kilka tysięcy osób. Na greckich drogach, jeśli pojawia się samochód polski to najczęściej z rejestracją łódzka albo warszawska.

Jedziemy „hithwayem” w stronę Skidry. Tam mamy się spotkać ze znajomym. Tam ma być praca. Mijamy brzoskwinie plantacje. Wjeżdżamy w wielką kotlinę. Po prawo i lewo wznoszą się niewysokie nagie góry. Dojeżdżamy okazją do wioski za Skidrą.

Małeńkie miejscowości. W centrum około 10, a może i więcej restauracji i kawiarni. Wszystkie ładnie wykończone, na przestronnych tarasach, otoczonych kolorowymi lampami siedzą Grecy. Piją piwo. Oczywiście zimne. Podjeżdżają toyoty, datsuny i hondy — japońskie samochody są tu najpopularniejsze. W jednej z tych urokliwych knajpek spotykamy naszego znajomego. Pracy dla nas nie ma. W tym roku sezon na brzoskwinie był trochę wcześniej, więc w tej części kraju wszystko już zostało zebrane, są tylko jabłka. Ale tych nie jest tak dużo i praca też nie jest zbyt atrakcyjna. Kilku Polaków pracuje, co prawda jeszcze, ale codziennie muszą szukać nowej pracy. Dla nas perspektyw nie ma. Radzą nam jechać na Peloponez, albo w okolice Kawaia. Na dodatek zaczyna padać deszcz. Nie mamy namiotu... Przed wyjazdem do Grecji obiecywano, że tutaj o tej porze nigdy deszcz nie pada.

Z „CAIROCITY” DO HAJFY

Na autostradzie z Salonik do Aten ruch jest bardzo duży, samochody prują z ogromną prędkością. Tylko czasem gdzieś poboczem, drogą dla traktorów przeleci jakiś mały fiat, na polskich numerach, z otwartą pokrywą silnika, załadowany i zgrzany. Dymiąc niemiłosiernie. Albo polonez, ciągnący jak żółw wielką przyczepę. Stoimy kilka godzin i z trudem nam się podróżuje.

Kierowcy wielkich, rozpedzonych ciężarówek niechętnie się zatrzymują. Właściciele samocho-

Iwan Pietrowicz zeskoczył na ziemię i po biegu w tę stronę, gdzie dopiero co widział kierownika odcinka. Pięć dni temu pokłócił się z Borysem Timofiejczem nie na żarty, gdy kierownik odcinka odmówił podpisania mu podania o zwolnienie, ale Iwan Pietrowicz wiedział, że jeśli ktoś może coś tu teraz zrobić, to jest nim tylko on, kierownik odcinka. Ani główny inżynier, który przeszedł do nich pół roku temu z sąsiedniego przedsiębiorstwa przemysłu leśnego ze stanowiska inżyniera do spraw bezpieczeństwa pracy, ani dyrektor przedsiębiorstwa, jeśli by był na miejscu (ale go nie było, wyjechał na naradę), ani jego zastępca, nikt, oprócz Borysa Timofiejczy, porywczego starszego człowieka, łączącego dni do emerytury, który zezwalał się w tej robocie. Mało z kim żył w zgodzie, i z nim mało kto w zgodzie żył, biegali zły, niejednego pochopnie żrugał, nieraz pochopnie pochwalił kogoś, kto mu się akurat nawinał pod rękę, ale to była tylko zasłona dymna, wprowadzająca w błąd nowicjuszy, nie znających Borysa Timofiejczy. A kto go znał, ten na chwilowe niesprawiedliwości jego i krzyki nawet nie zwracał uwagi, pamiętając, że Boris Timofiejcz Wodnikow to swój chłop, i w rzeczywistości rozeznaje się doskonale, kto jest kto i co do czego, i zarządza wszystkim najlepiej, jak mu pozwalały możliwości. Od pierwszego dnia, jak tylko zbudowano osadę, nie awansowany i nie obniżany na stanowisku był Wodnikow kierownikiem odcinka, i już to jedno mówi o nim, człowieku o wcale nie wyższym wykształceniu, że nie można się było bez niego obejść. A kierować głównym odcinkiem na oczach kierownictwa przedsiębiorstwa, które do wszystkiego się wtrąca i niczego sobie nie odmawia, jest niełatwo!

Iwan Pietrowicz widział, że, zawróciwszy traktor z niebezpiecznym traktorzystą, Boris Timofiejcz podszedł do sterty na środku podwórza, na którą zwalano towary z magazynów, uratowane przed ogniem. Ale teraz tam go nie było. Iwan Pietrowicz tępo patrzył na stertę: porozrzucone walonki, zupełnie jakby ci, którzy przybiegli do pożaru, zdejmowali je w pośpiechu, teckli szkolne i spakowane w to-ból szkolne fartuchy, wełniane chustki, wawtowne spodnie, jakieś pudełka, trochę dalej — zwalone jeden na drugi motocykle „Jawa” i faktycznie „Ural” z nadpaloną przyczepą. Tak, postawił chłopcy na dywanik kierownika wydziału zaopatrzenia, pracowników z tego „Urala”, będzie hałas. W ogóle co się stanie z kierownikiem działu zaopatrzenia po tym pożarze? I Iwan Pietrowicz z lekką uśmiechnął się nad swoją naiwnością: nie miał żadnych wątpliwości, że tamten się wykręci słaniem. Taki nigdzie nie ginie, takim śladne morze nawet kolan nie zamoczy.

— Iwan! Iwan! — usłyszał nagle wołanie Alony. Podbiegła, ściskając jakieś pudełko, podbiegła szybko, ale pudełko stawiała na ziemi ostrożnie, wybierając suche i czyste miejsce.

— Iwanie, co tu się wyrabia, co? — głos miała wzburzoną i podniesioną do poziomu jakiejś zapalczywej wesołości, nienaturalnie okrzęte, oszalałe oczy wydawały się dzikie. — Przecież wszystko się spali! A tyle tam wszystkiego! Iwanie, dlaczego myślisz tacy?

I nie doczekawszy się odpowiedzi, która zresztą wcale jej nie była potrzebna, zawróciła i drobny, niemłodym krokiem, kołysząc się z boku na bok, jakby potykając się na każdym kroku i co krok szybko się podrywając, pospieszyła z powrotem. Iwan Pietrowicz przez chwilę patrzył za nią, ale taki miał zamęt w głowie, tak oślepiał, że o mało co nie pomyślał: „A to kto? Jakas znajoma!” — ale zdążył sam sobie przerwać, zmusił się do rozpoznania Alony, zauważył, że nie powinna baba biegać jak kot z pecherzem, i zaraz o niej zapomniał.

Zobaczył Borysa Timofiejczy. Ale przedtem usłyszał, jak krzyczy, i po krzyku odszukał go w oświetlonym i dziwnie, prawie nieruchomo zastępnym tłumie koło pierwszego od rogu magazynu spożywczego. Do skaczącego głosu kierownika przyzwyczaili się, ale to już był wrzask wariacki i dlatego niezrozumiały. Po odpowiedzi, dobitnej, choć też pod ciśnieniem — ogień rozgrzał wszystkich — Iwan Pietrowicz poznał, że przed kierownikiem stoi Wala — magazynierka.

— Nie otworzę! — odpowiadała zapalczywie. — Gaście. A ja nie otworzę.

— Spa-a-ali się! mać taka-owaka!

— Gaście. A co to, dzieckiem jestem, nie widzę, jak u Klawki wynoszą, czy co! Wszystko wynoszą. A ja mam tam więcej jak za sto tysięcy. I skąd je potem wezmę?! Skąd? Skąd?!

— Spa-ali się! — ryczał kierownik.

— Gaście. A otwierać, żeby rozebrali, nie ma obowiązku. Gaście.

Zaczęła płakać.

Iwan Pietrowicz już zdążył rzucić się ku kierownikowi, kiedy ten sam skierował się do niego. Nie do niego, a do sterty towarów z magazynów przemysłowych, koło której nadal krążył Iwan Pietrowicz. Za kierownikiem, przewijając polecenie, trzymało się kilku chłopów spośród archarowców, jak nazywano w osadzie brygadę ze zorganizowanego taboru. I rzeczywiście, Boris Timofiejcz, nie zrobiwszy nawet pięciu kroków w stronę sterty nie odwracając się, krzyknął, wiedząc, że go usłyszą i zrozumieją:

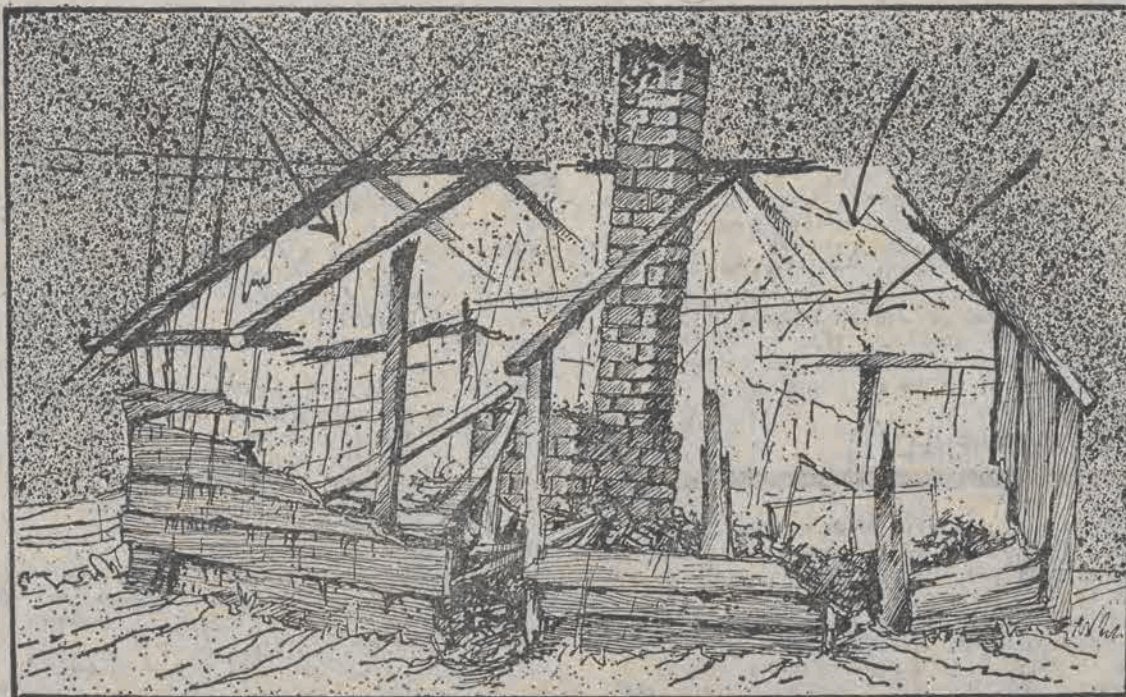
— Wywazyć!

Archarowcy rzucili się z powrotem: to była robota w sam raz dla nich.

— Gdzie jest Kaczajew? — zawołał Wodnikow w kierunku Iwana Pietrowicza. — Niech to wszyscy diabli! mać taka-owaka! To są jego magazyny. Gdzie go poniosło?!

Kaczajew był kierownikiem działu zaopatrzenia pracowników Boris Timofiejcz dobrze wiedział, że Kaczajew razem z dyrektorem przedsiębiorstwa dwa dni temu pojechał do miasta na kolejne posiedzenie. Tak, skołowany był Boris Timofiejcz, inaczej nie wymyślałby cieniowi i nie rzucałby się na niego z pięściami. Jak się człowiek skołuje, samego siebie nie znajdzie, nie mówiąc o Kaczajewie: to się jeszcze nie zdarzyło.

I spojrzawszy na jego twarz, czarną i suchą, jakby osmaloną, z zaostrowym nosem i zapadniętymi policzkami, Iwan Pietrowicz całkiem zapomniał, do czego był mu potrzebny kierownik odcinka, po co go szukał i powiedział, co było teraz najpilniejsze:



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Pożar

WALENTIN RASPUTIN

— Timofiejczu, postawcie teraz starego Miszę Champę w bramie. I dozorca też niech stanie, to jego obowiązki. Ale Champę koniecznie. Jest tutaj. Dopiero go widziałem gdzieś z prawej strony.

Wodnikow skoczył w kierunku, który mu pokazał Iwan Pietrowicz, nawet nie odwróciwszy się do niego, może nawet nie zdając sobie sprawy, że postępuje według czyjejś rady, a nie według własnej decyzji. Iwan Pietrowicz widział, jak odnalazł Champę i tłumacząc po drodze, czego od niego żądają, pośpiesznie odprowadził go do bramy. Stary Misza Champę, wysoko odrzucając wielką siwą głowę i nisko ją pochylając, z zapalem kiwał nią w odpowiedzi, już wpatrując się w tłum koło ognia i wyszukując ludzi, których trzeba szczególnie przypilnować. Rzeczywiście, tam stary Misza będzie na swoim miejscu, na Champie można polegać. Magazynierka Wala wie, co mówi. A teraz, kiedy otworzą magazyny spożywcze...

I rzeczywiście, zaskrzykiwały i zatrzęszczały wyrwane zamki, rozległ się rozpaczliwy lament Wai, która zupełnie straciła głowę w nieszczęściu, które nastąpiło, nie widząc w niczym ratunku — ani w tym, rzecz jasna, żeby jej gospodarstwo spaliło się za zamkniętymi drzwiami, ani w tym, żeby je wyniesiono. Otworzyli jedne drzwi, drugie, a na trzech, gdzie zasuwa się nie poddawała, siekierą wyrzucali ogromny zamek. Działali szybko i zreźnie — zupełnie jakby całe życie nie innego nie robili, tylko wyważali drzwi. Iwan Pietrowicz, dotykając, zderzył się w otwartych drzwiach skrajnego lewego pomieszczenia z jednym z nich, Saszką Dziewiaty (Dziewiaty to nazwisko, nie przewzisko: wśród archarowców wszystko jest wywrócone do góry nogami, tylko co drugi ma jakieś ludzkie nazwisko), i Saszka, wesoly, rozgrzany i natchniony, trzepnął go zamasyżuje po ramieniu, że aż Iwana Pietrowicza w biegu odwróciło do niego i dziarsko, prawie po przyjacielsku krzyknął mu w twarz:

— Nie tutaj. Nie tutaj, obywatelu prawniku. Spioniesz — i kto nas będzie prawem pompować?

Poznawszy życie więzienne albo naśladowając tych, którzy je poznali, nazywali go na wzór obozowy obywatelom prawnikiem. Przyzwyczaili się i do tego. Czaszy takie, czy jak, nastąpi, że do takich rzeczy przyszło się przyzwyczajać, o jakich niedawno niepodobna było nawet pomyśleć.

Do tego, na przykład, że nawet ziemia sama usuwa się spod nóg. Tak jak to w sensie dosłownym zdarzyło się u nich i z nimi.

6.

Dwadzieścia lat zeszło, jak się przeprowadził, dwadzieścia, i do tego z hakiem, na pewno ziemia sama zdążyła przechręcić się na tę stronę, na którą ich pociągnęło, ale nawet jeden dzień nie minął bez tego, żeby Iwan Pietrowicz nie wspominał swojej starej wsi. Wspominał za każdym razem, kiedy chcący czy niechcący rzucał spojrzenie na wodę, pod którą zostało wygrane przez wieś w ciągu trzech stuleci miejsce. Wspominał i przelotnie, kiwnąwszy, jakby witając się po drodze, w jej stronę, i w przytłaczających częstych rozmowach wspominał, snując porównania próbował zrozumieć, jak to było, jakie tam było życie i na co im tutaj przyszło.

Nawet nazwisko miało takie, które było częścią wsi i jej uposażeniem. — Jegorow. Jegorow z Jegorowki. A właściwie Jegorow z Jegorowce. Ze swojej wsi tylko raz wyjeżdżał na długiej — w wojnę. Dwa lata walczył i jeszcze rok po zwycięstwie z powodu swojego kawalerskiego stanu bronił owoców tego zwycięstwa w Niemczech, dokąd los zawiodł go w czołgu „T-34”. Do domu wrócił jesienią 46. Do tej pory żywe jest w nim uczucie, z jakim ujrzał wtedy po rozłace swoją Jegorowkę: Boże, przecież ona nie stoi, ona leży! — tak niepozorna i pokrzywdzona mu się wydawała. Na co nie napatrzył się podczas wojny — i na nieszczęścia, i na ubóstwo, i na zniszczenia — wszystko wokół krzyczało z bólu i błagało o pomoc, wiele było deformacji i zniekształceń, ale na-

wet wśród najbardziej przerażających zniszczeń przebiegała się nadzieja: dajcie czasu, dajcie ręk — wszystko odbuduje się i odżyje, człowiek nie pogodzi się ze zniszczeniem. A tutaj wszystko pozostało i jakby na zawsze stało, nie poddając się przemianom. Nie nie ubył, ale i nic nie przybyło, bo nawet jakby przybytek nie był dopuszczalny. I tak też w końcu wyszli: jeszcze piętnaście lat po wojnie przeżyli, ale jak była skrojona Jegorowka na czterdzieści komińów, tak już została, i ani łaźni, ani obórki nie doszło. Prawda, że i o zalaniu zawczasu wiedzieli, i pora nie była na inwestycje, tylko ręce-nogi zbierać i patrzeć, dokąd iść — czy ze swoją chatką na górę, gdzie zawsze tyle było grzybów, czy w ślad za synem i córką dać się skusić miastu.

Wtedy dopiero co zdemobilizowany dzielny sierżant w hełmie czołgisty, wyróżniony nagrodami, był w wsi, w świecie, odświeżony swym powrotem — pamięta to jeszcze — zasmucił się. Ojczyzna to ojczyzna, co tu dużo mówić, tu każdy kamień zanim się urodził przeczuwał i czekał ciebie, i tu każda roślina z nową wiosną przynosi ci ostrzeżenie lub otuchę od czasów minionych, wszędzie tu z cicha ród twój za tobie dogląda. Ale jak sobie pomyśleć: ciągle to samo, to samo, to samo... jak sobie pomyśleć, i to jeszcze w pierwszej chwili, że człowiek wrócił z wojny, aby umrzeć tu naturalną śmiercią.

Ala przez te rozważania i niepewność — zwiózł, a to oznaczało wybór na korzyść Jegorowki. Wkrótce nadszedł głód, przed którym najlepiej było się ratować tu, nad Angarą, w tajdze; za niedługo upatrzył sobie w sąsiedniej wsi Alonę, która tak prostodusznie i bez kokieterii wybaluszowała nań swe i bez tego ogromne żrenice i tak się wystraszyła, kiedy pierwszy raz wziął ją pod rękę, że już nie szukał innej. Potem kolchoz dostał nowy samochód, na który nie było kogo posadzić, oprócz niego, potem ciężko i na długo zaniemożyła matka, i już sam los stanął w poprzek drogi, którą chciał wyjechać ze wsi. I poleciał z górki, jak u wszystkich: dzieci, praca, łagodne i powolny skręt ku życiu lepszemu i pogodniejszemu.

Iwan Pietrowicz nie to, żeby się przyzwyczaił, ale od czarta, który się gdzieś w świecie do niego przypatrywał i kusił, kusił niejasnymi obietnicami, jakby się uwolnił, i odetchnął z ulgą. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. A może najważniejsze w życiu jest to, żeby trzymać prawidłowy kurs na wyznaczonym sobie miejscu, a nie błądzić po bezdrożach, i drogi swojej nie suplać bieganiną w poszukiwaniu czegoś nieokreślonego.

Tak uważał. Teraz też tak uważa, ale co zrobić, jeżeli na starość przychodzi wbrew własnemu przekonaniu i woli mimo wszystko sztykować się do wyjazdu. I „przychodzi” — nie dla samego słowa, ale także są fakty.

Tak, no i co jeszcze. Czart, od którego w swoim czasie się uwolnił, wcale nie sam opuścił ich dom, lecz pociągnął za sobą Goszkę, młodszego brata. Zatapał się Goszka na budowę i przez wielkie pieniądze się tam zapli.

Kto by w porę podpowiedział, gdzie one są drogi nasze?

Iwan Pietrowicz został w Jegorowce, żył się i uspokoił, wcale nie męcząc się w guszy, która z czasem przestawała być głucha i ciemna: doprowadzono elektryczność, częściej dobiegały do jegorowskiego brzegu statki floty rzecznej, osiem kilometrów w górę Angary, ściągając młodzież, pojawiło się, jakby zawisło nad Jegorowką, bogate przedsiębiorstwo przemysłu leśnego — i życie tutaj, jak zresztą wszędzie, z całej liczby przekształciło się w ulamek z licznikiem i mianownikiem, w którym nielawo się polapać, co jest pod, a co nad kreską, i powolutku by się rozpałło, czasy są dla wszystkich te same... A gdy gruchnęła wieść o zalaniu, kiedy nadzali termin przeprowadzki... trzeba przyznać, że Iwanowi Pietrowiczowi ciężko było rozstawać się z Jegorowką, jak każdemu, kto ma pamięć i serce, i jednocześnie ze skrytym zadowoleniem, że to nie on zdecydował, że zdecydowano za niego, przewoził i stawiał na nowym miejscu swoją chatę: tam było dobrze, a tutaj z każdym rokiem powinno być jeszcze lepiej. O własnych siłach zapewne Jegorowka nigdy by nie stanęła na nogi.

Nową osadę, do której zwieźli sześć takich nieboraczek jak Jegorowka i w której od razu zorganizowano przedsiębiorstwo przemysłu leśnego, nazwali według rozległych lasów, a z dzisiejszego punktu widzenia, według surowca — Sosnowką.

7.

Co do wyważania drzwi, to trzeba było to zrobić wcześniej. Gdy Iwan Pietrowicz wbiegł do pierwszego z prawej strony magazynu spożywczego, tam już trzaśkało na dobre. Nad dziurawym sufitem huczał jeden potężny straszny huk, pochłaniający wszystkie pomniejsze; zerwało część stropu z jednej strony koło narożnej ściany i przez wyrwę wpadał ogień we wsłuckich uderzeniach. Narożna ściana paliła się na całej wysokości, nie można było wcale tam podejść, pozostałe ściany też dymili; przez dziury w suficie, tam gdzie jeszcze się trzymał, wyslizgiwały się pasma ognia i z trzaskiem rzuciły iskry. Wszystko było rozpalone do niemożliwości i mogło wybuchnąć za jednym zamachem. Przez swąd czuć było zapach smażonego mięsa, gorzki i przy tym ostry, i jeszcze czegoś jadłnego, czemu nie służyła taka temperatura.

Iwan Pietrowicz nigdy przedtem nie był wewnątrz i teraz resztką wrażliwości zdolnej do zdziwien wstrząsnęła nim obfitość. Na podłodze była usypiana spora góra pierożków, obok, też na brudnej podłodze, walały się grube, potwornie rozdęte pęta kiełbas, poprzewidywane grubym sznurkiem, już porozrzucone przez ludzi, którzy się tu wdarli; w wielkich szcianach na niewysokiej półce pod tylną ścianą topiło się masło, marszcząc i wchłaniając papier, w który było opakowane, tam też w poustawianych jedna na drugiej skrzynkach widać było najprzedniejsze gatunki ryb. Coś było w drewnianych beczkach, coś w tekturowych pudełkach, coś w papierowych workach. Było, wszystko było! — i gdzie się to wszystko rozchodziło? Czyżby tylko do kuchni połowych na zrębach? Mówcie to komu innemu — bo on jadł z tych kuchni i wie, co tam dają, a co można sobie wyobrazić tylko we śnie! I zaśmiał się Iwan Pietrowicz, a może sparzyła go myśl, że tu trzeba się zaśmiać nad własną głupotą; a samochody z rejonu, stamtąd, w każdy boży dzień zajeżdżające pod dział zaopatrzenia pracowników i wyciągające Kaczajewą z biura? Zdaje się, że niepotrzebnie starała się o zorganizowanie ogólnych, centralnych magazynów, które powinny się mieścić, oczywiście, w siedzibie rejonu! I pokłakiwał, albo pomyślał, że trzeba pokłakiwać głową, Iwan Pietrowicz: teraz, jeśli spłonią te największe w największym przedsiębiorstwie przemysłu leśnego, nie będzie trudno osiągnąć to, czego chcieli.

Iluż jest na świecie nierobów i obfobków! I jak to się stało, że zdałymi się na ich łaskę, jak to się stało?!

Zawijając się w waciki i przytupując od gorąca, Iwan Pietrowicz wyrzucił drzwiami mazię i śliskie, rzucające pekać pod kąta kiełbasy. Tam, w podwórzu, ktoś je łapał i gdzieś odnosił. Iwan Pietrowicz widział tylko nadbiegające i odlegające nogi w kirzowych butach. Obok też byli ludzie, lecz nie rozpoznawał ich; od czasu do czasu wpadali na siebie i odskakiwali — żar robił się nie do wytrzymania, ogień zwinnie przesuwiał się w lewo po podłodze i po ścianach, oczy łzawiły, w gardle paliło, zdawało się, że się palił nawet dym, który musieli wychodzić. Coś głośno, jak na patelni, skwierczało, coś wybuchalo, jak pociski; oberwała się w nadpalonym od góry końcu jeszcze jedna płyta stropowa, rozhułała się, wymachując ogniem i oberwała się w drugim końcu. Trzeba było się wycofywać. Kiełbasę, zdaje się, wyrzucił, skrzynki z rybami wynieśli, ale Iwan Pietrowicz, spojrzawszy na półkę pod tylną ścianą, gdzie stały skrzynki, zobaczył tam masło i rzucił się tam, jaknawsz, że nie kiełbasę trzeba było ratować, lecz masło. Złapał jedną ze splaszonych brył i masło, parząc ręce, popoziło mu jak ciasto po brzuchu, ściskając całą masą pod nogi; opuścił je na podłogę, znowu podniósł, podrzucając na pierś i wynajując się w tył — i wyniósł, przekazał komuś do rąk. Ręce były w rekawicach i Iwan Pietrowicz pożałował, że nie pomyślał o zabraniu z domu rekawic — jak by się przydały! Znowu ruszył do środka, ciągle otulając się wacikami i wyglądając zza niego, jak zza tarczy, skierował się znowu pod najdalszą ścianę, gdzie zostało masło, ale ktoś na niego naskoczył w pół drogi i ni to osłaniając go, ni to nim się osłaniając, pociągnął z powrotem. Iwan Pietrowicz nie opierał się, pojmując, że dosyć, że starczy.

Na dworze tym kimś okazał się Saszka Dziewiaty. Saszka wyszczerzył zęby i wychrypiął te same słowa:

— Spalisz się, obywatelu prawniku!... Oj, spalisz się!...

I odepchnął Iwana Pietrowicza.

8.

Już pewnie nikt nie gasił, wszyscy się wycofali i tylko wyciągali, co się jeszcze dało.

Beczki z opuszczonymi wężem, z którego sączyła się woda, stał z włazowym silnikiem przy bramie; całe podwórze było jasno oświetlone i Iwan Pietrowicz, zobaczywszy kałużę pod szlauchem od razu do niej skoczył, czując, że dłużej bez wody nie wytrzyma. Onukał twarz, która zaczęła piec jeszcze bardziej i wypił z dłoni kilka łyków, najwyżej dwa albo trzy. I skończyła się woda. W wężu zabulgotało, zaszczał i uciekło. Jeszcze potrząsnął szlauchem, szarpnął, podstawiając rękę — sucho.

C.D.N.

Przekład:
EWA KATARZYNA NOWAK

Pod tym groźnym tytułem, proszę mego Pierwszego Czytelnika, nie zamieszczam żadnego strasznego wezwania do oporu wobec władz PRL. Przeciwnie, mniemam, że tekstem niniejszym zaskarbę sobie wdzięczność i zaufanie władz, zarówno ciał wybieralnych, jak i tych na stanowiskach z mianowania. Jest to zapis mojej kolejnej rozmowy z ekonomistą, cybernetykiem i informatykiem Jackiem A.:

Spotkałem mego dawno nie widzianego przyjaciela na pocztę. Stał w kolejkę, żeby zaprenumerować „Odgłosy”.

— Jakże to — wyrażam zdziwienie — czemuś ach czemuś stoisz w kolejce? Przecież, skoro jesteś klientem poczty, PUPIK „Ruchu” i mego drogiego Wydawcy (oby żył jak najdłużej) byłoby rzeczą słuszną i sprawiedliwą, aby specjalny agent poczty czy „Ruchu” przyszedł do ciebie do domu. Wszak to ty płacisz. I to z góry. Kto o kogo winien się ubiegać? Wyż. wym. instytucje, o ciebie, swego dobroczyńcę i żywiciela, czy też ty?

— Ja, oczywiście i niestety — odrzekł Jacek A. — jestem bowiem osobą kłopotliwą. Trzeba, aby poświęciła mi czas panienska w okienku, trzeba, aby ktoś co tydzień pamiętał o odłożeniu mi egzemplarza. Trzeba pracy ludzkiej (a to wszak wartość bezcenna), trzeba papieru, dokumentów, kwitów, przelewów itp. A to wszystko za marne parę groszy, które bierze za ten cały ambarras poczta, i to tylko po to, żeby zaspokoić moją dziwną — przynajmniej — zachciankę regularnego otrzymywania i czytania twego, że się tak urzędowo wyrażę — organu. A co ciebie sprawdza do imponującego gmachu tego szacownego urzędu, słynącego z akuratności, punktualności, nieposzlakowanej uczciwości i kilku innych — historycznych, chciałoby się powiedzieć — zalet? — Też jestem tu potężnym. Może nawet bardziej kłopotliwym, niż ty. Otóż dzięki wrodzonemu roztargnieniu i młodzieńczej — by tak rzec — lekkoomyślności zgubiłem kluczyk do skrzynki pocztowej. Ten karygodny dowód niedojrzałości obywatelskiej nie wywodzi, niestety, listy mých przewinień wobec Poczty Polskiej. Oto wkrótce po ubolewaniu godnym fakcie zagubienia kluczyka dostrzegłem, że w skrzynce pocztowej coś jest. W nadziei, że to przekaz wysokiej wartości za przetrzymywanie z mých felietonów lub zaproszenie na uroczystość dekoracji mojej skromnej osoby wysokim odznaczeniem państwowym — uległem nieposkromionej ciekawości i w sposób — co tu ukrywać — wysocy niekulturalny wyłamałem zameczek od skrzynki. Dreczno wyrzutami sumienia przybiegłem tu przed dwoma tygodnia-

Nie dajmy się władzy!

mi, solennie wpłaciłem odnośne kwoty, pokajałem się i oto dwa dni temu założono mi nowy zamek!

— Wielka, zaiste, jest wyrozumiałość i niezmierzone miłosierdzie Poczty Polskiej — pokławił głową mój przyjaciel — nadal jednak nie rozumiem, co tu robisz? Czyżbyś przyszedł wyrazić swą wdzięczność?

— Nie. Przyszedłem po kluczyk do nowego zamka. Niestety, kluczyk zapodział się gdzieś między panami fachowcami od zamków a panią w okienku. Pani w okienku pocieszyła mnie, że znajdzie się, tylko nie wiadomo kiedy. Zaproponowała, żebym wpadł jutro. Moje już będzie... Rozumiesz, taki kluczyk jest zupełnie malutki: zapodział gdzieś łatwo — znaleźć bardzo trudno.

— Mogłoby teraz powtórzyć twoje pytanie: Czy to ty powinienś „wpaść” kilkakrotnie na pocztę po swój kluczyk, czy też poczta, która przecież za darmo ci tej przysługi nie robi, nie powinna ci po prostu przysłać kluczyka wraz z rachunkiem? Wszystko można by załatwić na telefon... — Weź pod uwagę przyjacielu, że to ja jestem potężniejszą godnym wandalom, słusznie zatem ponoszę karę...

— Być może. A co było w skrzynce, którą haniebnie zdewastowałeś?

— Niestety. — Westchnąłem — było to surowe ostrzeżenie i żądanie zapłaty zaległego czynszu...

— Nieladnie. Czemu nie płacićś czynszu?

— Ależ płacię! Regularnie, nawet przed terminem! Pisemko było wynikiem pomyłki...

— No to nie ma problemu. Wyrzuciłeś je do kosza i po wszystkim?

— Niezupełnie. Postanowiłem pomóc człowiekowi, który się pomylił. Rozumiesz, „errare humanum...” itd. Zatelefonowałem i wyjaśniłem, że czynsz płacię.

— Z wyrazami wdzięczności, mimo wszystko, nie spotkałeś się?

— Przeciwnie. Zostałem wezwany do stawienia się i okazania dowodów wpłaty... Lekko mnie to zdenerwowało, bo zostałem potraktowany jak oszust, kłamca a na dodatek idiota. Przecież, gdybym nie płacił, to i tak wyszłoby na jaw. Więc zaproponowałem pani od czynszów, żeby przysłała do mnie, jeśli konieczne potrzebne jej moje dowody...

— A ona cię skłeka?

— Prawie. W każdym razie poważnie mnie postraszyła.

— I pójdziesz do Canossy?

— Nie pójdę. Chcę sprawdzić, jak daleko sięga władza pani od czynszów. Gdzie sięga władza pani od kluczyków — już wiem.

— Nie wiesz natomiast skąd się bierze władza pani od czynszów i pani od kluczyków?

— Ręczywiście, nie wiem...

— Jest to sprawa prosta, wbrew pozorom. Z dość oryginalnego pojmowania terminu „demokracja”. Jeśli demokracja oznacza władzę dla wszystkich, to może także oznaczać władzę dla każdego.

Dlatego właśnie kierowca autobusu czy motorniczcy tramwaju, sprzedawczyni w sklepie itp., itd. czuje się władzą. Wraz ze swoim etatem — tak sądzi nasz rodak, entuzjasta pełnej demokracji — przyjął z rąk zwierzchnika charyzmę. Za swoją ładą, w swoim okienku, za swoim biurkiem dźwierz on kawałek władzy. Nie może wprowadzić decyzję o dwóch losach tak, jak prawdziwa władza: podnieść lub obniżyć ci poby, postawić przed sądem, czy nawet zamknąć w kryminalu, przydzielić bądź nie przydzielić mieszkanie, dać lub odebrać pracę, wezwać do odbycia służby wojskowej lub nałożyć podatek. Mała władza może zadecydować na jakim przystanku autobusowym cię wysadzi, sprzeda lub nie sprzeda kawałek atrakcyjnej wędliny, wezwie kiedy chce do urzędu i każe się tłumaczyć, dlaczego wpłacane przez ciebie pieniądze zaksięgowano mylnie. Mała władza jest mała, ale lubi udawać dużą. Bywa nieprzejednana i wynosiła dużo częściej niż prawdziwa, duża władza. To przyczyna pierwsza.

Dруга przyczyna: to zjawisko powszechnego nadmiaru czasu, jakie dotyczy niemal wszystkich rodaków. Załatwiamy prywatne sprawy, robimy zakupy i Bóg wie co jeszcze w czasie godzin pracy. Toteż pani od czynszów czy od kluczyków nie ma oporów, żeby wezwać cię przed swój majestat — wiadomo, na tę godzinke urwisz się z roboty bez problemu. Mamy czas. Mamy mnóstwo czasu, choć podobno brak u nas rąk do pracy...

— No, tośmy sobie ponarzekał, a w kolejce nadal stoimy...

— I to mnie właśnie martwi. Powinnością stanowczo odmawiać małej władzy, powinniśmy ją bojkotować i pmsać do zmiany stylu pracy. Marzy mi się ogólnopolska akcja pn. „Nie dajmy się władzy”. Akcja powszechnej odmowy na nieuzasadnione wezwania do instytucji i urzędów, odmawiania przedkładania zbędnych zaświadczeń, stania w niepotrzebnych kolejkach, wypełniania, bez słowa protestu, żądań małej władzy.

— Jak to robić?

— Po prostu odmawiać. I składać skargi na małą władzę do dużej władzy. Konsekwentnie, za każdym razem, kiedy spotkam się z wybrakami małej władzy.

— Skargi? Na piśmie? Toż to straszliwa biurokracja!

— Nie ma innego sposobu — zakończył dyskusję Jacek A. — „gwałt niech się gwałtem odciśka”. Zwalczajmy biurokrację jej własną bronią...

ANDRZEJ KAROL

NR 49 (1497), XXIX, 6 GRUDNIA 1986 R.

I przeszło nam koło nosa

Proszę sięgnąć w przeszłość. Gdzie przede wszystkim powstały i trwały miasta? Na skrzyżowaniu dróg handlowych, przy uczęszczanych szlakach komunikacyjnych, którymi były też rzeki, u wybrzeży mórz, gdzie w zatokach mogły kotwić statki. Kiedy miasta najczęściej upadały? Gdy przesunęły się w inne miejsca szlaki komunikacyjne, gdy oddalały się od tych miast. W późniejszych wiekach rolę miastotwórczą odgrywał też rodujący się przemysł. Ale w niczym to nie zmniejszyło roli szlaków komunikacyjnych.

Powinnością też wszyscy pamiętać, że to Stanisław Staszic wybrał Łódź — malutką osadę zagubioną w lasach, choć leżała przy trakcie piotrkowskim — głównie dlatego, że były tu liczne rzeki i strumyki, co przemysłowi tkackiemu miało zapewnić dostatek wody. Z komunikacją było znacznie gorzej. Główne szlaki komunikacyjne pobięły bokami i tak biegła do dziś. Łódź nie ma szczególną komunikacji, choć leży w środku Polski i wydawałoby się, że to właśnie tu powinny krzyżować się drogi. Ma najgorsze dworce w kraju, a lotnisko ma w... Warszawie.

Powstała kiedyś myśl, żeby wybudować wspólnie lotnisko dla Warszawy i Łodzi. Wiadomo stolica — lotnisko mieć musi. Łódź nie leży tak daleko od Warszawy — lotnisko mieć nie musi. Może korzystać z warszawskiego. I korzysta, choć to kłopot i niewygoda. Okęcie leży w Warszawie — zbyt blisko centrum — 10 km i jest już ciasne. Dłż buduje się lotniska w odległości 50 km od miasta i można byłoby znaleźć takie miejsce między Warszawą i Łodzią. Łódź jest poważnym centrum handlu zagranicznego, są tu wyższe uczelnie, instytucje, kształcą się cudzoziemcy niemal z całego świata. Gdy w Warszawie zabraknie miejsc w tamtejszych hotelach przywiozi się gości na noc do Łodzi. Jest — a właściwie było — wiele powodów, dla których należałoby wybudować lotnisko pomiędzy Warszawą i Łodzią. Ale nie z tego nie będzie. Przeszło nam koło nosa.

Zapadła decyzja. Okęcie jest ciasne. Warszawa potrzebuje portu lotniczego z prawdziwego zdarzenia, więc... rozbuduje się Okęcie. Na zachód od obecnego lotniska znalazły się tereny i tam powstanie Okęcie II. Ma być to wielki port lotniczy. Razem ze starym portem, Okęciem I, będzie rocznie obsługiwał 5 milionów pasażerów. Można złożyć gratulacje naszej ukołchanej stolicy. Wymyślił sobie znakomicie. Ba! Nawet kolej mając sobie do tego lotniczego dworca podciągnąć, bo na ulicach — szczególnie na ulicy Zwirki i Wigury — ruch już duży. Będzie to gigant. I to niemal w sercu Warszawy. Cóż to bowiem 10 km od centrum, to prawie w centrum. Warszawa musi się przeciw rozwijać. Ludziom brakuje mieszkań. Skąd je wziąć. Trzeba będzie budować. Obym nie był złym prorokiem, ale nadejdzie taki czas, że z Okęcia będzie dalej do krańców miasta niż do centrum. Jeśli już nie jest.

Portu lotniczego nie buduje się na rok, dwa, ale na dziesięciolecie. Człowiek bogaty, gdy w coś inwestuje, to może sobie pozwolić na ryzyko. Straci, ale nie zbankrutuje, bo co mu jeszcze zostanie. Człowiek biedny musi dziesięć razy policzyć nim raz zaryzykuje. Jeśli już w coś inwestuje, to z całą pewnością, że nie ponosi wielkiego ryzyka, że to będzie sukces. Czy rozbudowa Okęcia nie jest nieporozumieniem?

Dla Łodzi komunikacja lotnicza nie jest bez znaczenia. Ułatwia i rozszerza kontakty. Tak krajowe, jak i zagraniczne. Jest czynnikiem przyczyniającym się do rozwoju miasta, wymusza pewne inwestycje. Łódź ma

szanse na to, aby targi wielokrotnie odbyły się tutaj nie tylko w 1987 roku, nie jeden raz zatem, kiedy ciasno zrobiło się w Poznaniu. Brak lotniska może być argumentem dla przeciwników lokowania tych targów w Łodzi.

Ale stało się. Do połowy grudnia zbiera się oferty firm zagranicznych, które mają budować Okęcie II. Może to przykre, co napiszę, ale przeżywały partycularne względy stolicy. Warszawska prasa zachłystuje się z radości. Rozumiem ją, ale sądziłem, że można wnieść się ponad partycularyzmy i zobaczyć, że remont Okęcia nieczęsto nie załatwia. Problem lotniska z prawdziwego zdarzenia pozostanie. A argument, że dojazd do lotniska byłby czasochłonny — nie jest żadnym argumentem. Takie są prawidła nowoczesności.

W prasowych informacjach z Okęcia II nie ma ani słowa, że będzie on miał połączenie z budującym się metrem, co wydawałoby się zupełnie naturalne. Widać trasy metra i rozbudowa Okęcia szły różnymi torami. Pierwotnie być może, gdy wytyczano trasy metra, przeważała koncepcja budowy lotniska z dala od Warszawy.

Gdy wiele lat temu modernizowano dworzec Łódź-Fabryczna, byłem decydującym przeciwnikiem, uważając, że kosmetyka nie zastąpi się budowy nowego dworca. I wyszło na moje, ale nie mam z tego żadnej satysfakcji.

LUCJAN BOGUSZ

2 Felieton pesymistyczny

- To takie nasze...

Drogi Panie Redaktorze!

W pierwszych słowach swego listu tradycyjnie się moc pozdrowień dla Pana i całego Zespołu Szanownego, a także słów kilka gwoi wyjaśnienia przyczyn mego nieobecności na tak zwanych łamach. Otóż — żadna niemoc to psychiczna ani fizyczna! Wyłączną winą obarczony być musi sanitariusz Józio, który zawsze zajmował się przemysłem naszej korespondencji i nie tylko. W ubiegłym tygodniu, na imprezie z okazji imienin prezesa Janusza, „wysypał się”, iż moich materiałów nie wysłał na złożę zresztą. Nie wstawiłem się za nim bowiem, gdy próbował swych sił w ramach Klubu Młodych Poetów. Dobre sobie! Chłop stary — po pierwsze, a poza tym wszyscy wiedzą, że przepisuje wiersze ze starych numerów „Odgłosów”. Tak czy owak korzystam już wyłącznie z pośrednictwa naszej siostry Halinki, przełożonej zresztą i wierzę, że niespodzianek nie będzie.

U nas teraz cicho i spokojnie, atestację przeskończyliśmy dosyć zgrabnie i nikomu nie udało się udowodnić, iż stan zdrowia wymaga natychmiastowego skierowania go do domu. Teraz już pełen relaks, bo wiadomo, że w Starym Roku żadne komisje ani kontrole niepokole nas nie będą, jako że ważniejszą sprawą, typu szynka czy choinka mają na głowie. Rozkreśliłmy na dobre nasz Klub Czwartkowy: raz w tygodniu, w takie leniwe i śniące popołudnie, fundujemy sobie w naszej salce telewizyjnej prawdziwą „burzę wziewną”. Większość kolegów początkowo sceptycznie podchodziła do tego kulturalnego novum, ale obecnie tak się rozpędziło towarzysstwo, że i po nocach — bywało — dyskutujemy, personel też nas wizytami zaszczyca z ordynatorem Łysolem na czele.

Dziś też ostro się zaczęło, choć tradycyjnie — ostrą krytyką telewizji jako takiej i pozycji jej niektórych.

— Tak sobie koledzy myślę — zaczął wdzięcznie dość magister B. — że z tych dzienników telewizyjnych to naprawdę bardzo mało wynika, no bo spójrzcie na te ich informacje: ten się z tym spotkał, tamci się odwiedzili, ów był w fabryce. Cóż z tego konkretnie wynika?

Nie lub prawie nie. Żeby nie mazał w Odrze, to nie byłoby potrzeby włączać telewizora. Nawet satelitarne prognozy im nie wychodzą, jedynie „dobranocki”...

— „A kiedy strzyżesz owieczki — opowiadaj im bajeczki” — rzucił ktoś zjadliwie zza rozpostartej gazety. W pierwszej chwili nie rozpoznałmy człowieka, bo rozpętała się istna burza...

— Bzdury kolega, niestety, plecie! — prezes Lameta aż poczerwieniał. — Ja bardzo lubię te niektóre ich kawałki. Kilka dni temu choćby podali wszystkim i wobec, że jakiś facet dostał tysiące grzywny za wyświetlanie w swoim mieszkaniu filmów porno na wideo. I jeszcze mu to wideo przepała! To jest zła informacja? Przecież na czasie i słuszną bardzo...

— „Warto jest chwalić głosi baranie, jeśli się za to wełny dostanie.” — to znów ten głos z kąta, ale nie było komu za gazetę zajrzeć, bo znów kolejny mówcy skoczyli sobie do oczu.

— No niech mi ktoś powie zle słowo na „Teleekspresz” — huknął inżynier i przed twarzami najbliższych potrząsał zaczął dłońmi niczym spora kielnia. — Jak oni zresztą umieją z codziennej prasy wyłowić co smakowitsze kaski. I tempo mają doskonałe i zawsze zdają dołożyć choć zdanie kaśliwego komentara.

— Racja! — wyraźnym altem włączył się do dyskusji siostra Halinka, choć miejsce miała nieszczególnie, za palmą: — Wczoraj choćby, słyszeliście o tej aferze z telewizyjną audycją „Lato 86”? Krakowski oddział Komitetu Przeciwalkoholowego zwrócił się do prokuratury o wszczęcie postępowania w sprawie niedozwolonego reklamowania napoju alkoholowego w tym programie. Chodzi o piwo i „Skautów piwnych”...

— No, nie! Ale numer! — zaczęliśmy się przekrzykiwać, bo wielu ta informacja zresztą jakoś umknęła.

— „Ktoś tam klaszcze pod borem: to dewotki — ozorem”, ale teraz już siedzący najbliżej magister B. nie zdrzyty i zdzi mi tu zastane. No i prozę! To nasz sanitariusz Józio tak deklamował zresztą, a mnie od razu oślniło kim się tym razem tak zgrabnie podparł. Oczywiście, nieocenionym panem Janem...

Jeszcze długo w noc trwa nasz uroczysty sejmik, wszak każdy chciał choć kilka razy zabrać głos. W rzeźnej sprawie ustaliliśmy, że wystąpimy do komitetu przeciwalkoholowego (wszystko jedno którego), o donos w sprawie filmu o Stefanii Harperskiej i jej Edenie. Też już po fakcie, a tam dopiero pili i propagowali!

Przecież mawiał Mistrz: — „Płujmy sobie nawzajem w kaszel! To takie polskie, to takie nasze...”

STEFAN ŻYCIOWY

3 Opowieści wschodnie

Końska tolerancja

Było to za czasów, które regenci lubią nazywać „perszeronijskim Renesansem” — panujący po sobie kolejno Rudogrzywy i Konik Garbusek rozwinieli bardzo wysiłek oraz satyrę. Tak zwykli pisać historycy dworscy. Lud natomiast pamięta, że Rudogrzywy kazał okaleczać swych wysiłowców rywali a Garbusek za dręczał cały kraj — nieustannie, obowiązkowym śmiechem. Z własnych — oczywiście! — utworów.

Jest w życiu narodu perszeronijskiego pewna, uznawana tam za wstydlivą, sprawa. Przed laty, za panowania bardzo cenionego i do dziś wspomnianego regenta Przewalskiego, wydano dekret „O tolerancji”. Postępowy ów akt prawny dopuszczał do pełnych praw dotychczasowe mniejszości w społeczeństwie Perszeronii — dyskryminowane do-

tań osły, wielbłądy, zebry i kucyki zostały uznane za prawdziwych obywateli. Z realizacją dekretu różnie bywało a i dotąd różnie bywa, jak to w krajach, charakteryzujących się bujnym życiem politycznym...

Dekret ów zawierał szczególny przepis, dotyczący praw obywatelskich mułów i wałachów. Otóż muły również uzyskiwały pełnię praw a wałachom, jako ofiarom ludzkiego szowinizmu i ludzkiej polityki traktowania koni instrumentalnie przyznano nawet przywileje. Jednym słowem wałachy jako ofiary ucisku konia przez człowieka miały coś w rodzaju statusu kombatanów. Wiele z nich piastowało poważne urzędy przy dworze i w administracji terenowej. Powszechnie uchodziły za osobniki o spokojnym z natury charakterze, uregulowanym trybie życia i umyśle może niezbyt refleksyjnym, ale za to z utrwalonymi wieloma pozytywnymi cechami, cenionymi przez wszystkie bez wyjątku dynastie: wierność, posłuszeństwo i lojalność oraz przywiązanie do istniejącego porządku społecznego. Były także pracowite i prostolinijne.

Regulacja problemu wałachów i mułów spowodowała zwrócenie uwagi na pewne delikatne sprawy z dziedziny innych mniejszości, których innosć miała również podłoża natury seksualnej. Były bowiem i są nadal w Perszeronii ogiery, które niezbyt lubią klacze, choćby najdородniejszego a wykazują — czy to ze względów genetycznych czy innych — skłonność do osobników tej samej płci, najczęściej jedno-, dwulatków, co to już wyrosły z wieku żrebięcego, ale daleko im do kategorii „starych koni”.

Skłonności te nie są w Perszeronii, jak zresztą w każdym cywilizowanym kraju, uznane za przestępstwo. Tym niemniej nierzadko spotyka się ostracyzm i różne drwinki pod adresem tej mniejszości. Wywołuje to zrozumiałą reakcję: grupa ta zamyka się we własnym kręgu i popiera wzajemnie. Zdarzyły się, że jeden z młodych, dzielnych koni, o pięknej, rudej grzywie wygrał doroczny konkurs artystyczny w mieście Ellops. Konkurs ten ma charakter krajowy i jego zwycięzcy startują później w konkursie międzynarodowym, odbywającym się w reprezentacyjnym nadmorskim kurorcie Topos. Tam występ miedzianogrzewego spotkał się z ogromnym aplauzem. Jednak konserwatywna (obycajowo konserwatywna) prasa zaczęła robić różne docinki i puszczając oko do czytelników, dając do zrozumienia, że ów artysta nie byłby tak entuzjastycznie przyjmowany i sownie nagradzany, gdyby nie to właśnie, że należy do „mafi” samcolubów. (Słowo „homoseksualizm” nie jest w Perszeronii używane, bo kojarzy się mylnie z gatunkiem ludzkim).

Problem żaden, zwłaszcza że na te złośliwości pozwalały sobie pisma prowincjonalne, nieskonakładowe. Zaczął się wtedy, kiedy z wyrazami oburzenia dla tych ciemnogrodzich postaw wystąpił czytany w całym kraju pismo satyryczne pt. „Hacele”. (Przy okazji: ciekawostką jest, że obydwie pisma humorystyczne w Perszeronii mają masochistyczne nazwy: „Hacele i „Kierat”).

Oburzony publicysta „Hacele”, stając pozornie w obronie prywatnego życia miedzianogrzewego gwiazdora, rozreklamował na cały kraj jego intymne nawyki...

Oczywiście, zdarzyć się to mogło wyłącznie w Perszeronii, kraju dość jednak prymitywnej kultury. W Europie, a zwłaszcza w Polsce — nie do pomyślenia. Tu przecież nie ma konserwatywnych, tepawych wałachów w środkach masowego przekazu!



BEN GRUNDIK

Agonia w błysku słońca

Jacek Sawaszkiewicz

(28)

FFF to najprostsza droga do zbawienia.
FFF jest twoim przeznaczeniem.

Z „EWANGELIARZA ELIASA”

Do dziewięćdziesiątej szóstej sekundy po godzinie „C”.



5 kilometrów od punktu „0”.
Brzask, który rzucałymi promieniami wpadał tu przez szczeliny i szpary w ścianach zdemolowanych szybów obu wind, z wolna przysyłał i mroczniał, ale nie dla Gary’ego. Jego oczy, owszem, dostrzegały tę zmianę od początku, umysł jednak podpowiadał mu chytrze, że jest to tylko podstęp Marymarzy Niebieskich majstrujących coś przy świetlistym trapiu i cumach. Wiadomo, o co im chodzi: chcą go ponaglić. Już nam obrzydło to czekanie — dają mu do zrozumienia. — Wciążamy trap z powrotem, zwijamy cumy. — No, starego wygi nikt nie nabierze na takie bajery.

— Zapalisz skręta, Billy-Frank?

— Zapalę — odpowiedział William Frankley.

Te brzęczenia, szumy i dzwonki... już je kiedyś słyszał, na jakimś egzotycznym cmentarzu — buddyjskim czy mahometanistycznym. Na jakiejś nekropoli... I mimo brzęczenia, szumów i dzwonków panowała tam przejmująca, tajemnicza cisza.

Tu także robiło się coraz ciszej.

Umysł wzrastającą odległością grzmiący łoskot rozlegał się teraz tak słaby jak pomruk odrzutowa, który przelatuje gdzieś ponad chmurami.

Coraz ciszej, coraz ciszej.

Ale też miejsce to, cały ten rozciągający się trzy poziomy wyżej obszar o powierzchni stu kilometrów kwadratowych nie był niczym innym jak nekropola.

Tuż obok siebie, ramie przy ramieniu, Frankley oraz Gary leżeli bruchami na betonowej posadzce, paląc skręty. Cat...

— Cat...

— siedział oparty o metalowe butle po sprężonym powietrzu. On nie palił skręta. Z zakreconym zaworem wodociągu mógł być to niemowlę.

Coraz ciszej, coraz ciszej, coraz ciszej...



11 kilometrów od punktu „0”.
Coraz ciszej robiło się także w publicznym schronie, gdzie Rebby Courgan, ślepa, głucha, sparaliżowana i bez zucia po atomowej anestezji leżała na grzbiecie, rodząc i jednocześnie umierając. Wirujące wokół, w gesty ciemności, płatki sadzy, drobiny kurzu i pyłki popiołu osiadały na jej obnażonym ciele jak puszysty całun.

Robiło się tu coraz ciszej nie tylko dlatego, że hałaśliwa fala uderzeniowa (pędząc przed siebie, wciąż pędząc przed siebie) oddalała się stąd o dwadzieścia pięć kilometrów (dwadzieścia pięć kilometrów i trzysta sześćdziesiąt siedem metrów, dwadzieścia pięć kilometrów i siedemset trzydzieści trzy metry, dwadzieścia sześć kilometrów i dziewięćdziesiąt osiem metrów... — i tak dalej), ale również dlatego, że wszyscy ludzie w tym publicznym schronie już wykrzyczeli i wypierdzieli z siebie nadmiar powietrza wtłoczonego w nich przez podmuch, a teraz spoczywali nieruchomo i w milczeniu.

— Wszyscy w tym publicznym schronie.

Oprócz Rebby Courgan, naturalnie.

Chociaż nie, chwileczkę... O, już! Tak, teraz rzeczywiście:

— Wszyscy w tym publicznym schronie.

Bez wyjątku.

Stwierdzenie to zachowa

aktualność jeszcze przez czterdzieć sekund, bo za czterdzieć sekund Szkrabulek, który częściowo (od pasa w górę) przebywał na tym świecie, zanonansuje początek swojego życia pierwszym krzykiem i wtedy znów trzeba będzie pisać...

— Wszyscy w tym publicznym schronie

... z zastrzeżeniem:

Oprócz Szkrabulka Courgana, naturalnie.



17 kilometrów od punktu „0”.
Echa salwy honorowej oddanej z blanków Raju Bogaczy zamierzały nad gośćmi klubu „Enklawa przyrody”...

— Goście klubu „Enklawa przyrody”.

... nad wszystkimi w pobliżu...

— Wszyscy w pobliżu

...ale na ich zwiłki ze Sclan i Pafonu Niebios nadal spadały okrucy stulki. Spadały także dokoła Adama, który w blagiej nieświadomości leżał na dnie dziury po wyrwanym fundamencie.

Niedobrze, bardzo niedobrze. Chłopak powinien oprzytomnieć jak najprędzej, bo przecież ma do odegrania dziejową rolę reproduktora. Wprawdzie jego dzieci urodzą się martwe, ale jedynie pierwszy dwunastoletni. Trzy kolejne będą potworkami nawet trochę podobnymi do ludzi.



26 kilometrów od punktu „0”.
Jeszcze nie tak dawno, w ciągu minuty, tyle się wydarzyło, a teraz właściwie nie działo się nic. Przynajmniej w Świątyni Przeciwności Pułkownika Dowda. Obaj — dziadek i wnuczek — zdawali się na coś czekać.

To, na co czekali, nadeszło dwadzieścia pięć sekund po fali uderzeniowej. Przez betonowy strop o grubości metra, przez pokrywającą go półmetrową warstwę mieszaniny torfu z mialkim żwirtem i z gliną do schronu wtargnęła krótki grzmot, jakby w przyległej komorze rozprężania zawieszony wróg zdetonował największy okaz z ich kolekcji pocisków artyleryjskich; po nim nastąpiły grzmoty dalsze.

Posadzkę, podłogę Świątyni przeniknęło pełne respektu drżenie.

— Nie muzeum? — zza grubej, spłukiwanej brudnym deszczem szyby ponowił swoje pytanie maty Eddie. — Na pewno... ssa... sir?

Pan pozwoli, pułkowniku, że na chwilę się wtrączę. — Otóż, Eddie, zapewniam cię, że wasze muzeum nie wyleciało w powietrze. Co ciekawse, na razie nie wybuchł żaden z eksponatów. Podmuch tylko rozrucił je na ograniczonym obszarze wraz z nadpalonymi szczątkami szopy, w której były one składane. Później jednak, kiedy na nowo wzmogą się tutaj pożary, wiele z tych pocisków oczywiście eksploduje, ale wówczas nie będzie to miało większego znaczenia. — Dziękuję panu, pułkowniku Dowd. Musiałem pana wyreć, bo pan zaraz poczuje się słabo i nie znajdzie w sobie dość siły, by wykrztusić choć słowo.

Pułkownik Dowd wypuścił z dłoni latorę. Nagle oblat go zimny pot, nogi zmiękły pod nim i cała krew odpłynęła mu z twarzy. Oparł się ramieniem o ścianę.

Wiedział, co to oznacza — objawy wstrząsu hipowolemicznego znał nie tylko z teorii, poznał je także w praktyce; parę lat temu uległ poparzeniu w trakcie ćwiczeń z napalmem. Ale żeby wystąpił tak szybko? Ile od tamtego minęło czasu? Minuta? Dwie? Trzy? Skurwysyny... skurwysyny...

38 kilometrów od punktu „0”.
...i siedem susów oraz trzy drobne kroczki (na wyhamowanie) w prawo, cztery susy w przód i nareszcie — ooh, tam! tam jest ten parking! — niezliczona ilość susów w lewo, kończących półkę galopkę, którą Lucy wykonała na podjeździe za motel. Plask!-plask!-plask! — bosymi stopami po asfalcie — plask!-plask!-plask! — podbiega ona do swojego Charger. Stając przed jego maską i dysząc otworzyła torebkę, by spośród drobniaków wyciągnąć kluczyki.

I w tej chwili maszynowy ulomek masztu telewizyjnej anteny wyruszył do niej w konkur.

Lucy mogłaby nawet zaobserwować jego lot podowy, gdyby podniosła oczy. Mogłaby zobaczyć, że elewacje motelu są częściowo szczeniaki, że nie ma w nim szyb ani zasłon, lub w oknach wiszą ich zwęglone strzępy, i że wszystko wokół: stacja benzynowa po przeciwnej stronie szosy, hala handlowa, kawiateria, kiosk „Kentucky Fried Chicken”, wieżyczka Howarda Johnsona, drzewa, ogrodzenia, barierki, samochody, trawniki, nawet ziemia, jakby została wyjęta z pieca. Gdyby podniosła oczy, mogłaby zobaczyć za pokój placu, coraz miastem pęczniła chmura o meduzowatym kształcie, nadciągająca niebotyczna ściana zho-mogentzowanych szczątków w szyszkach. Była to Atomowa Swatka.

Atomowa Swatka potrzebowała niespełna jednej sekundy, by pokonać trzystumetrową odległość dzielącą ją od Lucy. Obcesowo cisnęła ona tę kabinę (niezależną, z temperantem, całkiem seksowną i stosunkowo młodą) plecami na maszynę Charger i zadarta jej sukienkę aż po pachy, a nawet skloniła ją do rozrzużenia nog. Jeszcze żadne biuro matrymonialne w tym kraju nie potrafiło tak literalnie swoich obowiązków.

Sieczone piaskiem, żwirem, plastikowo-szkłaną stuczką, drzazgami drewna i miałem gipsowym Lucy, waląc z huraganowym naporem wiatru i ze spowijającym jej głowę materialem sukienki, wita się wznowo na karoserii samochodu przez dziesięć sekund — tyle,

ile maszynemu ulomkowi metalowej rury zajęło przebycie drogi utorowanej mu przez Atomową Swatkę. Maszynowy ten ulomek metalowej rury z dziką jurnością uderzył się w jej ciało, przedziurawił je na wyłot i przyszedł do maski Charger.

Fala uderzeniowa pędząc przed siebie, wciąż pędząc przed siebie, przepadała za linią horyzontu, a napór wiatru zelał, podczas gdy Lucy...

— Lucy...
...bez majtek i bez biustonosza od Dewlapa, pokryta piaskiem, żwirem, sieczką drewnianą, odpryskami szkła, plastiku, gipsu i wapna, cała w krwawe cętki, pozostała rozkrzyżowana, przyspilona do maski samochodu — jak motyl w strzaskanej gąblocie.



50 kilometrów od punktu „0”.
Mniej więcej w tym samym momencie, w którym maszynowy ulomek masztu telewizyjnej anteny ugodził Lucy w serce, Florence dopadła turystycznej torby i zaczęła upychać do jej przepastnego wnętrza to, co parę minut wcześniej wypakowała, by dostać się do swoich sekretnych opalaczy z lukrowanym napisem: DLA CIEBIE na figach. Na łap-capu zgarnęła też trochę prowiantu i rzeczy rozłożonych na trawie przez panią Leinster, zanim odjechała ona do miasta... po co? Ach, po wodę i tort lodowy...

Przelotne to wspomnienie wypłynęło na powierzchnię chaosu jej myśli i sprawiło, że Florence spojrzała w kierunku koryta wyschniętego strumienia, w którym pan Leinster, Poległy Na Polu Chwały...

— Pan Leinster.
...leżał ze skróconym karkiem. — Tuto! Jeezul Tatoo! — wrzasnęła.

Tymczasem pięcioletni Powell dzielnie maszerował po wertepach i brnął przez śnieżące białych i różowych płatków fruwających mu przed oczyma — wyznaczający sobie azymut stu trzydziestu dziewięciu stopni, czyli taki, który prowadzi go prosto pod kapelusz grzyba atomowego. Kapelusz ten, ciągle jeszcze będąc w stadium embrionalnym, nadal roz-

raszał się i formował, nadal też nie posiadał nóżki i sprawa ta trochę... nie za bardzo, ale trochę... niepokoiła Powella. Bo na tych filmach o bombie wodorowej dzieje się to zawsze dużo szybciej. Raz-dwa i jest już po wszystkim. No, wiadomo chociaż, że tam, pod tym kapeluszem na pewno się pali. I to nie na jakieś marne cztery fajerki, ale na sto milionów tysięcy fajerek. A mama, rany kóguta, pojechała przecież tam.

WRESZCIE NA MIEJSCU!

W Coral Gables właściciel „Muszli Pacyfiku”, pan Russtas, przechadzał się po swoim hotelu uprzejmie uśmiechnięty i promieniujący spokojnym zadowoleniem. Połowę pokoi było już wynajętych, wczoraj rano do książki gości wpisał się ten słynny reżyser z telewizji i jego (powiedzmy) asystenci obojga pici, a dzisiaj wypłynęły trzy nowe rezerwacje. Czy nie jest to więc dowód, że powraca okres prosperity? — myślał. — Niech pan Bliss, kimkolwiek on tam jest, krzaczek sobie zdrowo o utracie znaczenia tych powabnych i urzekających rejonów Florydy i w ogóle, każdemu wolno mieć własne poglądy... dopóki płaci za pokój. — I przechadzał się po hotelu, uprzejmie szczerząc zęby, promieniując spokojnym zadowoleniem.

W przeciwieństwie do pana Russtasa Brian B. Bliss przez ostatnie dwa dni chodził ponury i zirygowany, i jeśli do kogoś już szczerzył zęby, to właśnie pod wpływem irytacji. Placąc za pokój placąc, coraz skrajniejszym jednak przelizał dolary, zwłaszcza że placąc także za pokoje członków swojego zespołu, a ten Onassis w nieskonczonym wydaniu, z rekinim uśmiechem przebakiwał coś o podniesieniu opłat od następnego poniedziałku.

Przedwczoraj w dzienniku wleczornym rzecznik władz wojskowych podał długą oczekiwaną oficjalną wiadomość o faktycznych przyczynach zamknięcia terenów „położonych na zachód od trójkąta, który wyznaczają miasta Hialeah, Miami i Homestead, i sięgających aż do Parku Narodowego Everglades”... i wiadomość ta rzeczywiście spieprzyła Briana — wszystko. Nazajutrz rano jakby wiatr jakiś złośliwy, nieprzychylny dla interesów i niosący komplikacje, powiał od Atlantyku: zdmuchnięta nim zniknęła większość tabliczek z napisem „Na sprzedaż”, a pozostałe zdawały się wołać: to-nem stanowczo mniej rozpaczliwym, sugerując potencjalnym nabywcem, że targi z właścicielami tych posesji nie będą łatwe. I nie były. W ciągu minionych dwóch dni Brianowi udało się kupić tylko jedną parcelę.

Inna rzecz, że jest to parcela śliczności, leżąca blisko brzegu, w pięknej okolicy, i dostatecznie duża, by wzniesie na niej luksusowy pensjonat dla samotnych pań i panów Worów Ziła. Kosztowała go przy tym śmiesznie mało i nawet nie trzeba jej było długo obstawiać. Sprawę załatwiło siedmiu ludzi z jego zespołu, którzy w wolnych chwilach osiem razy zrobili hipisowski najazd na ten teren, sześć razy rozpalili tam ognisko, dwa razy wszczęli burdę i trzynaście razy dobijali się nocą do domu właściciela.

Zdobyc ta przyniosła Brianowi ulgę w cierpieniu, zlagodziła ból rany zadanej mu... no właśnie. Wczoraj otrzymał on od Twiggie dotkliwy cios — tak głęboki i precyzyjny, że ostrze jej nikczemności omal nie drasnęło jego serca. Oto Paul Sacco donosił mu konfidencko, że ta wyrachowana dziwka na własną rękę i po cichutku nabyła małą działkę, z wyraźną intencją ordynarnego przywłaszczenia jej sobie. Mała, bo mała, ale

działka ta zlokalizowana jest w samym środku skupionych przez niego gruntów, które on oczami wyobraźni widział skomasywane i przeznaczone pod budowę kondominium. Ponadto zdobył wreszcie niezbite dowody, że Twiggie uniemożliwiała mu przeprowadzenie kilku ważnych transakcji, uprzedzając w porę posesjonatów wytypowanych przez niego do wstępnej obróbki psychologicznej.

— W co ty grasz, dziewczyno? — spytał ją tego samego dnia wieczorem, w jej pokoju. Twiggie, która zdejmowała z siebie strój roboczy (choć nie składnie jej to szło), by po powrocie z miasta wziąć odświeżającą kąpiel, uniosła brwi z rozkosznym zdziwieniem niewinnej panienki.

— O co chodzi? — Przycupnąwszy na brzegu łóżka, zaczęła zsuwać z tydek podkolanówki rolując je zrecznymi ruchami dion.

Brian wydołał z kieszeni złożoną we czworo topograficzną kartę i rozpostarł ją na stoliku. Nowo kupione przez niego tereny obramowane tam były czerwona linia zamknięcia w ował, wewnątrz którego widniała brązowa plama oznaczająca tę przeniewierczą działkę.

— O to.

— Co to jest?

— Ufam, że ty wyjaśnisz to

mnie.

Druga podkolanówka upadła na podłogę obok pierwszej i Twiggie stanęła przed nim tylko w prześwitującym staniku i w szortach, z ręką na suwak ekiera.

— Nie mam czasu na szarady, panie Bliss. Jestem padnięta. Przez te łachy nawet tu w barze nie mogę chwili posiedzieć spokojnie, żeby mnie jacyś nie zaczepiali. I to na dodatek wojaż! Chcę się umyć i przebrać.

— Wygląda to jak dziura w zadku — podjął Brian pochylając się nad stolikiem, wściekły i upokorzony. — Skończ z tą zgrzywą, Twiggie, i pogadajmy otwarcie. Dla kogo pracujesz?

— Dobrze, pogadamy otwarcie. Nie pracuję dla nikogo. Pracuję dla siebie — Obrzuciła tę topograficzną kartę przelotnym spojrzeniem i uśmiechnęła się także przelotnie. Był to jednak uśmiech mściwy. — Wygląda jak dziura w zadku, bo jest dziura w zadku. Pafskim, panie Bliss.

— Twiggie... — Brian zebrał krótko cugle rosnące w nim gniewu. Spytał zimno: — Panie Twiggie, jaką właściwie prowadzi pani grę?

— Żadnej gry już nie prowadzę. Zgarnęłam już swoją pulę i wstałam od stołu.

— Co to, do diabła, znaczy? Twiggie wzruszyła ramionami.

— Już nie pracuję dla pana. To wszystko.

— Nie przeczę.

— Wszystko? To jest najwzwyklejsza kradzież.

— Co?

— To jest najwzwyklejsza kradzież, tak jak pan powiedział. Moja matka też została najwzwyklejsz okradzona. Pamięta pan tę posesję na Drużej Alei przy Dziewięćdziesiątej w Nowym Jorku? Przylegała do niej taki wielobranżowy sklep o nazwie „Rozmaitości dla każdego”. Właścicielem był Peter Woodruff, starszek. Firma ThreeB’s toczyła z nim rozmowy...

— Chwileczkę! — warknął Brian. — Nie rozumiem, co to ma do rzeczy. Ja...

— ...ale Peter Woodruff zbyt był przywiązany do swojego sklepu, żeby go sprzedać bez względu na cenę, więc do akcji wkroczyli pańscy ludzie. Zaczęli się włamać, podpalenia, napady...

— Co to znowu za insynuacje?

C.D.N.

Tytuł pochodzi od refleksji. Tytuł autora „Sian zagrozenia”.



Rys. Janusz Szymański-Glona